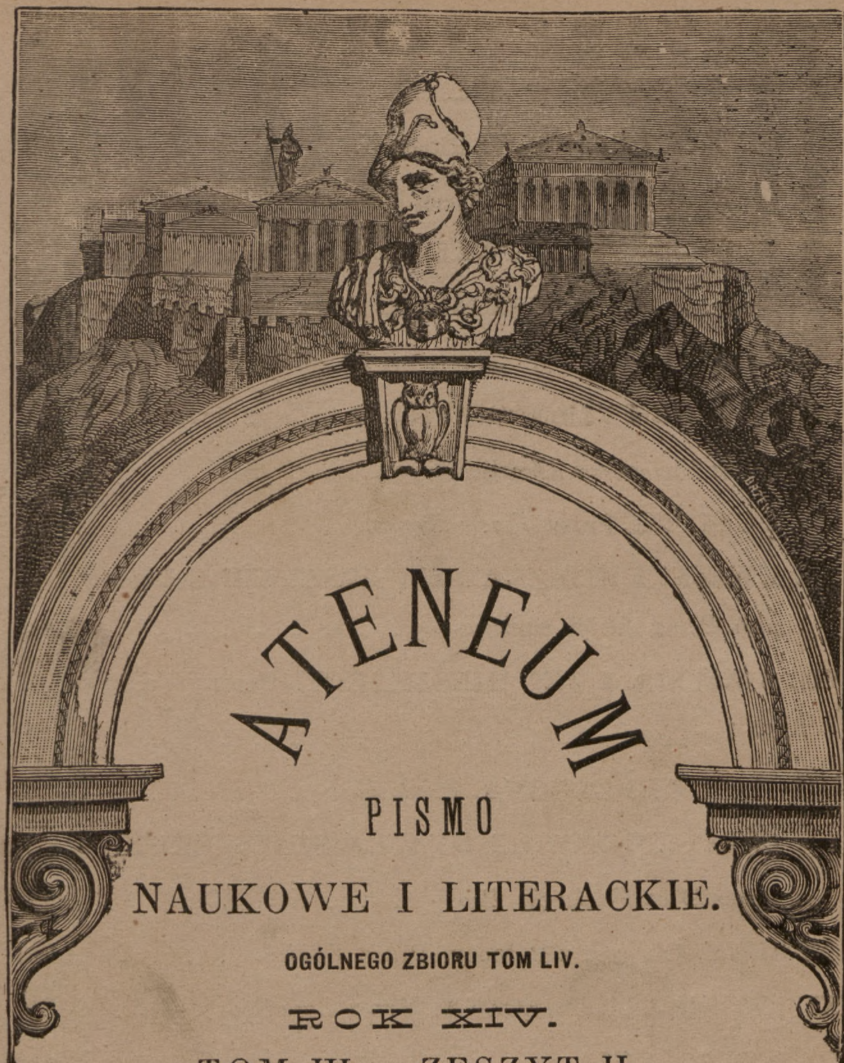


ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LIV.

ROK XIV.

TOM III. — ZESZYT II.

Sierpień

WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1889.

SPIS RZECZY.

Do tego zeszytu dołączono arkusze 5-ty i 6-ty Spisu rzeczy, zawartych w XIII rocznikach „Ateneum".

Druk ukończono 3 Sierpnia 1889 r.



SŁUŻBA I PAŃSTWO.

Bodaj-to te dawne czasy! Wszystko było lepsze i służba lepsza, niż dzisiejsza. Gdzie dziś spotkacie służącego, lub służącą, którzyby w jednym domu, u tych samych państwa, w téj saméj rodzinie przesłużyli pół, lub przynajmniéj ćwierć wieku? Jeżeli się przypadkiem tacy służący znajdą, otrzymują publiczne nagrody z zapisu dobroczyńców, bo cnota stała się tak rzadką, iż ją trzeba nagradzać publicznie. Czém się to stało, że służba teraźniejsza jest tak zła, taka ladaco? Skargi na nią są tak powszechne, zwłaszcza po większych miastach jak np. Warszawa, że niemasz chyba nikogo, któryby ich, chcąc czy nie chcąc, nie słyszał. Tylko ci, którzy sami sobie usługują, nie skarżą się na siebie. Jest ich wprawdzie bardzo dużo, ale i tych, co innym służą, jest także nie mało. Przypuszczam bez żadnych danych urzędowych, że w kraju naszym służących wszelkiéj nazwy jest z półtorasta tysięcy, jeżeli się mylę, to wina statystyki, która ich nie obliczyła choćby w przybliżeniu. Bądź-co-bądź, służących jest u nas mnóstwo, jako zabytek po lepszych czasach próżniactwa i pańszczyzny. Dla rozerwania tedy czytelnika w letnie upały, kiedy snucie politycznych kombinacyi jest dla głowy mozolne, a wełna i pszenica już sprzedane, pomówmy o téj ladaco służbie.

Zaczniemy tę lukubracyą od ogólnego zdania, że prawie wszyscy ludzie nawzajem sobie służą, a to tak dalece, że całe życie społeczne polega na wymianie usług. Urzędnik potrzebuje krawca, szewca, zduna, stolarza itp. a znów oni potrzebują urzędnika, nauczyciela, lekarza itp. Gdyby jednakże ktoś nazwał dyrektora banku służącym, zapewneby go obraził i przez słuchaczów nie byłby rozumiany. I tak jest rzeczywiście; bo chociaż prawie wszyscy sobie służymy, jednak zwyczaj odróżnił służących komuś bezpośrednio

od tych, którzy pośrednio oddają sobie usługi w znaczeniu ekonomicznem. Tak więc jedynie o tych bezpośrednio komuś służących mamy mówić i zaraz na początku odpowiedzieć na pytanie, skąd oni się wzięli?

Hrabicz Artur i baronówna Idalia utrzymują, że kucharze, lokaje, garderobiane, stróże, pomywaczki a nawet guwernerowie i guwernantki powstali równocześnie ze stworzeniem świata, wtenczas kiedy się porodzili hrabiowie i baronowie. Tego samego zdania są córki i synowie zamożniejszych piekarzy, szynkarzy, kamieniczników, oraz szlachciców pieczętujących się kozią głową. Już państwu Adamostwu w raju posługiwały chamskie dzieci i do końca świata będą służyły ich potomki Adamowiczom, potomkom Adamowstwa.

Taka jest socyologia inteligentnych panów, pań, paniczów i panienek. Dziwić im się trudno, skoro taki uczony Greczyn jak Arystoteles uważał niewolnictwo za stan przyrodzony człowieka niewolnego. Panowie zaś, panie i paniątka, jakkolwiek inteligentni, mniéj się zajmują służbą, niż ów Grek niewolnikami. Możemy ich zatém upewnić, że panowie i służba nie istnieli od początku świata, a czy do jego końca istniéć będą, o tém nie mamy żadnego proroctwa.

Więc to nie od stworzenia świata datuje się służba? Na pewno można twierdzić, że nie. Stan służebny, jak każdy inny, ma swój historyczny rozwój. Rekrutował on się najprzód z niewolników, potém z ludności pańszczyźnianéj, do ziemi przykutéj, aż nareszcie gdy pańszczyznę zniesiono, stał się wolnym i teoretycznie równym innym stanom. Dzisiejszy służący jest człowiekiem wolnym, może się zobowiązać do pracy takiéj, lub owakiéj, na czas jaki zechce, a gdy ten upłynie, szukać pracy u innych państwa. Stosunek zatém teraźniejszy między państwem, a służbą zmienił się radykalnie w porównaniu z dawniejszym, gdy służący był niewolnikiem bez prawa, niemal rzeczą, gdy należał do familii wraz z bydłem i innemi rzeczami. Dzisiaj służący jest najmitą wolnym; może się nająć do roboty, a jeżeli zechce może umierać z głodu. Tak on sam siebie uważa, tak go i państwo traktują; dawna zależność jego od państwa i dawna samowola państwa względem niego ustały. O téj kardynalnéj zmianie stosunków służebnych dzisiejsi państwo, jakby nie wiedzieli i nie chcieli jéj rozumiéć. Ztąd narzekania i roskoszne wspomnienia tych dobrych czasów, gdy na skargę paniątka lub pani radczyni nie umiejącéj radzić, pan radca policzkował i poszyjkował harde Małgorzaty. Dziś zaraz ciągną do sądu, trzeba się tłómaczyć, wysłuchać nauki moralnéj o trzymaniu rąk przy sobie, za-

płacić często nawiązkę i wrócić do domu z konfuzyą. Wtedy pani radczyni nie ma dość mocnych wyrażeń swojskich i cudzoziemskich, ażeby pomstować na bezecną służbę. Wtórują temu wylewowi oburzenia wszyscy domownicy, czekający na obiad, który przecież sam się ugotować nie chce, a pani radczyni ugotować go nie umié. Krupi się to ostatecznie na panu radcy, który pierwszy raz usłyszał, że przecież wziął sobie żonę, nie zaś kucharkę. Źle się dzieje, panie dobrodzieju, o bardzo źle! chyba koniec świata.

Jeżeli stosunek między służbą a państwem tak się skrzywił — czemu bynajmniéj nie przeczymy— pytanie, kto temu winien? Sąż tylko służący winni, czy może i panowie? Od kogo powinna wyjść inicyatywa polepszenia i sprostowania tego, co się skrzywiło i jest tak dokuczliwe? Nad tém się nieco zastanówmy; rzecz warta uwagi, bo przecież wszyscy sami sobie nie będą usługiwali, a przynajmniéj jeszcze to nie prędko nastąpi; przecież obiad smaczny to grunt życia.

Zaznaczmy najprzód, że w porównaniu z narodami zachodniemi, mamy zawiele służby. Takie jest powszechne zdanie tych, którzy wiele podróżują i pozbyli się pańsko-próżniackich narowów. U nas do dziśdnia zamożność, dobry ton, pozycya społeczna, mierzą się, między innemi, ilością służby. Trąci to jeszcze Azyą, ale jest dobrym tonem. Więc dwa draby zwane lokajami—jeżeli z pańska, a przynajmniéj jeden — jeżeli z szlachecka; potém klucznica, inaczéj gospodyni, daléj kucharz i kuchcik, jeszcze daléj garderobiana i pokojówka, a nareszcie kozaczek w szerokich, żółtych okolicznościach. Co za roskosz dla pańskiego serca taki kozaczek! Niestety, roskosze mijają, i teraz już nie można trzymać kozaczków. *O tempora!* Wszystko to minęło, ażeby już tylko żyć w poezyi, lub gawędzie. Nie minęła przecież próżność, bo potrzeby nie ma — do otaczania się mnóstwem darmozjadów, niby służących, o ile i póki reszta topniejącéj fortuny dozwala.

Nie inaczéj się dzieje w domach urzędników, kupców, przemysłowców, możniejszych rzemieślników, nauczycieli i t. d. I tu spotyka się w większéj części wypadków nadmiar służby, albowiem spanoszone mieszczaństwo zupełnie naśladuje fantazye i głupstwa dawnéj arystokracyi rodowéj. Z jednéj strony próżność, z drugiéj wstyd pracy ręcznéj, jako niewolniczéj, sprawiają, że każdy, chcący uchodzić za pana, musi hodować, koło siebie i swoich, czeredę próżniaków.

Jaka, albo raczéj jakie tego przyczyny? może wielość i rozmaitość prac domowych, wymagających mnóstwo służby? Nie; a co do przyczyn, te zdają się być następujące. Oprócz wzmiankowanéj

próżności, trzeba najprzód wymienić lenistwo. Tak jest, bezwstydne lenistwo. Pani, dajmy na to, urzędniczka, co to kupuje „za dwa drzewa, za grosz świéczkę“, sama się nie zajmie ani porządkiem w domu, ani koło dzieci; panienka, nie umié się ubrać, ani posprzątać swoich gałganków; panicz, nie oczyści sobie obuwia i ubrania: wszystko to muszą zrobić cudze ręce. Żadne z tych państwa nie wstanie i nie pójdzie o kilka kroków, żeby się wody napić. Czytelnik, któryby tych obyczajów nie spostrzegł, niech raczy pamiętać, że nie mówimy o wyjątkach. W klasie nazywanéj zbiorowym wyrazem inteligencya, tak się dzieje pospolicie.

Powtóre, przyczyną jest wstręt do pracy ręcznéj dla tego, że ciężka, i że ci, co pracują fizycznie, panami być nie mogą. Tak jest, wstręt do pracy fizycznéj, chociaż i do umysłowéj nie masz wielkiéj ochoty. Panie, panny i panicze, wtydzą się szczotki, ściérki, igły. A broń Boże, nużby kto zobaczył, że panienka ściéra kurz ze sprzętów, chodzi ze służącą na rynek po wiktuały, słowem, że coś robi. I któżby się z nią ożenił, pyta truchlejąca mama; przecież ona nie żadna córka stróża, lub szewca. Bywa i papa tak dobroduszny, że nie pozwala się pospolitować aniołkom i wziąwszy torbę pod pachę, idzie do miasta po przysmaki dla nerwowéj mamy i córki. Już to nerwy, którym brutale mężowie i ojcowie nie chcą wierzyć, to istna plaga naszego wieku. Nie chcą wierzyć, bo ich w szkołach o nerwach nic nie uczono i nawet nie wiedzą, gdzieby ich szukać. Mówią tedy po prostu: nie nerwy tu winny, lecz najobrzydliwsze lenistwo. Potém następują spazmy i domowa kapela; nareszcie przeprosiny i spokój do jutra.

Wstręt do pracy fizycznéj nietylko pociąga za sobą potrzebę licznéj służby i nieproporcyonalne do przychodu wydatki, lecz prócz tego zwyrodnienie całego organizmu pod względem fizycznym i umysłowym, wygórowanie czuciowości, znudzenie, *spleen* i cały orszak psychopatycznych objawów.

Ale jak tu się wziąć do roboty fizycznéj z mandaryńskiemi paznogciami? połamią się. A co się stanie z koafiurą i tiurniurą? Przecież kowal ma na to cęgi, żeby sobie palców nie parzył, a państwo trzymają służbę na to, żeby sami nic nie robili. Organa zaś nic nie robiące zanikają, trzeba je sztucznie lekarstwem podtrzymywać, do „badów“ jeździć, długi zaciągać, wyrzekać, kwaśniéć i gorzkniéć, a wszystkiemu winna ta ladaco służba, która zuchwalstwem swojém rozdraźniła nerwy paniom i panienkom.

Nareszcie, niejedna z tych nerwowych pań, gdy zacznie rozumu nabiérać, lub gdy biéda do domu zajrzy, możeby się i wzięła do roboty, ale cóż kiedy nic nie umié, na niczém się nie zna i na-

prawdę sił jéj brakuje. Skończyła pensyą; uczyli ją ekonomiki, higieny, anatomii, fizyologii, stu i oka nauk; a tu trzebaby dziecku i sobie koszulę uszyć, obiad tak za dwa złote ugotować i obok tego jeszcze trochę porządku w mieszkaniu zrobić. Poszłaby na lekcyą, żeby mężowi dopomódz, ale cóż, kiedy o lekcye tak trudno, bo coraz więcéj tych istot wykolejonych modą, szukających zarobku w pedagogii. Nie masz lekcyi; trzeba w palce chuchać i rozumu po niewczasie nabywać. To jedna strona kwestyi; druga zaś jest taka.

Najczęściéj skłopotany ojciec, czy mąż słyszą w podobnych razach wyrzut: nie na toś mnie wziął, ażebym była szwaczką, praczką i kucharką. Zgoda, mówi skonfundowany mąż: nie potrzebuję tego, mam z łaski Boga czém zapłacić szwaczce, praczce i kucharce, tylko trzeba dojrzéć robotnic, wskazać, poprawić, nauczyć. Pięknie; ale jak tu doglądać, poprawiać i uczyć, gdy się nic nie umie, na niczém nie zna, gdy się jest lalą do buduaru, nie gospodynią? Jak tu przerwać w najciekawszym ustępie romans Zoli, lub nieśmiertelny „Potop“? Już zaś służba, chociaż to prostactwo, wnet miarkuje, że pani na niczém się nie zna, i żeby uchodzić za znawczynią, zawsze gdéra, czy źle czy dobrze zrobiono. Tylne schody do kuchni musiała chyba kucharka jaka wymyśléć, żeby jéj nie powściągały oczy pani, które i tak ani umieją, ani chcą patrzéć na te nizkości ziemskie. A więc próżność, wstręt do pracy, szczególniéj fizycznéj, lenistwo i nieuctwo, są przyczynami prowadzącemi za sobą mnóstwo i nic wartéj służby.

Kto temu winien? Częścią rzeczona zmiana stosunków ekonomicznych i wyzwolenie wszelkiéj pracy, a częścią sami państwo.

— Tak? państwo? tj. panowie i panie, panicze i panienki?

Najniezawodniéj: zaraz postaramy się dowieść tego paradoksu.

— Ależ to destrukcyjne teorye, to „warszawska negacya“; stało się modą téj prasy składanie winy za wszelkie biédy, na inteligencyą, na umitrzonych.

Nie mając nominacyi na prokuratora, tylko roztrząsamy, nie oskarżamy. Rozważmy zatém wspólnie *affirmative* i *negative*, po krakowsku i po warszawsku, czém się stało, że dzisiejsza służba nic nie warta.

Powieściarze nasi opowiadają, że dawniéj było lepiéj pod względem stosunku służby do państwa, czyli, że dawni słudzy byli pracowitsi, wierniejsi, posłuszniejsi, przywiązańsi, słowem lepsi od teraźniejszych. Jeżeli to prawda, trzeba koniecznie przypuścić jako pewnik drugą połowę wniosku, że i państwo ówcześni musieli być lepsi od teraźniejszych. Tak téż mówią. Jeszcze na początku

bieżącego wieku, panie były gospodyniami, nie wstydziły się ani kuchni, ani obory, ani kurnika, które przecież milflerem nie pachną; znały się na krosnach i kądzieli, na bieliźnie i praniu, na ogrodzie i miodzie, umiały i lubiły doglądać, uczyć i kierować, tak, że bez akademii kucharskiéj, nie brakło jednak służących zdatnych do pomocy w gospodarstwie.

Pod okiem matek-gospodyń zaprawiały się córki do zarządu domem, jako główném zadaniem przyszłych żon i gospodyń. Czasu miały aż nadto, nie trapiono ich bowiem długoletnią, a powierzchowną edukacyą, wiedząc, że malowaną pieczenią najeść się, ani rysowaną koszulą odziać się niepodobna. Było tedy państwo, panie i panienki, bardziéj, niż dzisiejsze przygotowane do prowadzenia domu i kierowania służbą. Tak sobie objaśniamy twierdzenie powieściopisarzy o idealnych sługach dawnego autoramentu. Były lepsze, bo państwo byli lepsi.

Czyżby ta jedna okoliczność wystarczała do objaśnienia faktu? Czy przypadkiem i sama służba nie była lepsza bez względu na charakter i wartość panów? A zatém najprzód zkąd, z jakiéj sfery ludności pochodziła dawna, a z jakiéj teraźniejsza służba? Prawie z téj saméj warstwy. Dawna służba po większych miastach i dworach szlacheckich rekrutowała się z miejskich biedaków i włościan bezrolnych, poddanych. Podobał się panu dziedzicowi gracki chłopak wiejski; brał go do koni i kreował na forysia, lub stangreta, innego na ogrodniczka, lub lokaja. Podobała się pani dziedziczce wiejska dziewucha, brała ją do dworu na piastunkę, pokojówkę i t. d. Panicze także wybierali sobie podług gustu. Dzisiaj o tyle się rzeczy zmieniły, że nie można włościanom konfiskować dzieci, ale dzisiejsza służba dworska z téj saméj klasy włościańskiéj pochodzi.

Po miastach dostarcza jéj żywioł ubogi, miejscowy a także w znacznéj mierze i włościański. Córki stróżów, woźnych, ubogich rzemieślników idą pospolicie gdy brzydsze do służby, gdy gładsze do baletu. Ze wsi napływa téż niemało służących obojga płci do miasta, bo w mieście, zwłaszcza dużém, o szczęście łatwiéj (o nieszczęściu nie myślą) i przyjemności więcéj. Zdaje nam się zatém, że warstwa, z któréj pochodzi teraźniejsza służba, jest ta sama co i w przeszłym, lub na początku bieżącego wieku: ani lepsza, ani gorsza, jednako ciemna, leniwa, łakoma. Byłoby to więc bujaniem po utopii, gdybyśmy w imie jakiejś fałszywéj demokracyi chcieli sobie idealizować dzisiejszą klasę służebną. Jest ona taką, jaką być musi w tych warunkach i okolicznościach, w jakich się znajdują społeczeństwa europejskie. Że jest złą po większéj części, nietylko

u nas, lecz i gdzieindziéj, tego chyba nikt nie zaprzeczy; jeżeli u nas jest stosunkowo gorszą, niż w społeczeństwach zachodniéj Europy, to możnaby przypisać samym państwu, wedle staréj i dobréj maksymy: jaki pan, taki sługa.

Wszakże to jeszcze nie wszystko; zwalić winę na jednego łatwo; ale ten jeden, pan, zły czy dobry, nie stanowi całéj przyczyny złego. Oto, co na jego obronę można przytoczyć. Dzisiejsza służba tak wiejska, jak i miejska, dzięki wyzwoleniu, zbliżyła się bardzo do zwyczajnych najmitów we wszelkich gałęziach pracy, powiększyła szeregi proletaryuszów. Służący, lub służąca poszukują służby. Co umiész? pytają państwo. Wszystko: gotować: szyć, prać, prasować. To jest egzemplarz do wszystkiego. Pokaż książeczkę służbową. Na jednéj stronie pani Kirszbaumowa zaznaczyła krótko: „dobra, ale buła piskata"; na drugiéj, hrabina Odrzywolska: „*mauvais sujet*". Nieszczególne masz świadectwa; zresztą, zobaczymy, przyjdź na próbę: po miesiącu może zostaniesz na dłużéj.

Człowiek, który na własność ma tylko ręce do najcięższéj i najwstrętniéjszéj roboty; którego po miesiącu, a może prędzéj oddalą i za stłuczone talerze z mozolnie zapracowanego zarobku do połowy obedrą; człowiek, który sypia w norze, zwanéj kuchnią, i ciągle słyszy zrzędzącą panią z panienkami; człowiek, który jada resztki z talerzów, pija słomianą herbatę, przegryza kromką chleba posrebrzonego, a częściéj pozłoconego masłem, kromką tak delikatną, żebyś ztąd Kraków przez nie zobaczył—pytam się, czy człowiek taki, nawet gdyby był aniołem, nie zacznie zgrzytać, k o s z y k o w a ć i cynicznie drwić z „ciarachów", mieniących się panami? Po miesiącu: nie masz służby, zabiéraj manatki i wynoś się. Dlaczego? dlatego, że Jagusia poszła raz na Saską kępę i tak się zatańcowała, iż wróciła o północy, a tu państwo bez herbaty i nastawić samowara nie umieli; dlatego, że mruczała, gdy spracowana legła i nie zaraz otworzyła drzwi, jak pani z panienkami wróciła z teatru o północy, a pan z paniczami z lamparteryi o 2 w nocy. Jagusia próżniak, ladaco, włóczęga. Moralności ich, panie dobrodzieju trzeba uczyć, moralności; ksiądz proboszcz miałby cudowny temat do kazania. Ale gdzie tam, prawią im androny, a w cyrkule humanitaryzm pokasował miotełki. Źle się dzieje.

I tak służąca zabrawszy chudobę poszła z nauką moralną w drogę na poszukiwanie miesięcznéj służby, ażeby po miesiącu znów innéj szukać. Nareszcie, stérana pracą i wiekiem, wzięła koszyk z s i ó d e m k ą i poszła szukać pereł w śmiecisku; że jednak nie miała wykupionego patentu gildyjnego i ta nadzieja ją zawiodła. Co się z nią stało? Któż-to wié? Alboż się o śmieci troszczymy? Wymiata się je i kwita.

Możeż, w teraźniejszych warunkach pracy służebnéj powstać trwały stosunek między państwem a służbą? Dawniéj, służący należeli niemal do rodziny, zżywali się z jéj dolą i niedolą, spotykali w chlebodawcach swoich opiekunów, życzliwych nauczycieli, pamiętających o ich starości. Tak mówią i w znacznéj mierze wierzymy temu. Dzisiaj, państwo i służba są dla siebie najzupełniéj obcy, a często wrodzy; wzajemny stosunek zmienia się ciągle jak w kalejdoskopie. „Nie będziesz ty, będzie druga“. „O la Boga, to i ja sobie inne państwo znajdę“. Tém się kończy pożegnanie stron obu niegdy mocno związanych uczciwą opieką z jednéj, a przychylnością z drugiéj strony. Rzeczy bardzo się zmieniły i nie na lepsze; zwiększył się proletaryat i wyrosły skargi. Czyżby w tych nowych stosunkach nie można probować zmniejszenia złego zamiast powtarzać stereotypowo, że służba ladaco? Najłatwiéj byłoby ułożyć projekt, zawiązać stowarzyszenie do poprawy złych służących, byłyby prezesowe, sekretarki i woźnowe, posunęłoby się obu płci równouprawnienie.

Inicyatywa do poprawy złych sług powinnaby wyjść od dobrych państwa, a to w rozmaitych kierunkach. Najprzód potrzeba, ażeby panowie i panie sami znali się na tém, czego od służby wymagają. A zatém powinniby się zajmować więcéj domem, niż sportem końskim, teatrem, koncertami i protegowaniem artystów i artystek. Pod okiem czujném świadomych rzeczy państwa sługa się wyrobi i w swojém rzemiośle i w obyczaju; przestanie koszykować i okłamywać, bo jéj na to nie pozwolą. Oko pańskie konia tuczy. Kradzież i okłamywanie zdarzają się nietylko pośród służących. Morał na temat uczciwości nie poskutkuje, gdy szwindel stanowi atmosferę domu.

Przeciążanie pracą, gdzie służby mało, a próżniactwo tam gdzie jéj dużo, stanowią ujemną stronę stosunku służby do państwa. Wałęsającym się z kąta w kąt i ziewającym paniom zdaje się to fraszką, nie robotą, gdy jedna służąca musi być cały dzień na nogach, gotować, prać, prasować, sprzątać i biegać od szwaczki do modniarki, z rynku do apteki po lekarstwo dla Milusia, potém znów po temat ćwiczenia dla Niuni do koleżanki, bo Niunia leniła się sama go zanotować. Potém, gdy się panie radczynie, lub naczelnikowe spotkają na herbatce opowiadają sobie bez końca o próżniactwie służących. „Bo i co one robią? Nawet kurz z fortepianu muszę sama ścierać. Okropność!“

Daléj, niedbalstwo państwa o los służących nietylko wtenczas, póki są zdrowi, lecz głównie, gdy są chorzy i starzy. Mówią w takim razie, że weźmie ich szpital albo dobroczynność. Jakoż, biorą

ich póki mogą. Ale, czyliż nie byłoby sprawiedliwszém, a więc i uczciwszém, ażeby ci, u których zużyli zdrowie i siły pamiętali o nich, zamiast zwalać ten ciężar na fundusz gminny wsi, lub miasta? Dobroczynność i szpitale stękają pod naciskiem ubóstwa, a ci, którzy ze służby wyssali młodość, zdrowie i siły, wzruszają ramionami i pytają na co idą olbrzymie (a zawsze olbrzymie) sumy z balów, koncertów i loteryi fantowych. *Zła służba, a czy jesteśmy dla niéj dobrzy?*

Nareszcie, nic może nie budzi tyle niechęci służby do państwa, co grube, brutalne traktowanie. Ubogi ma poczucie godności własnéj, chociaż nie nazywa tego honorem. Tymczasem, począwszy od panicza, który jeszcze gila nie umié złapać, aż do papy i mamy, wszyscy go tykają. Cokolwiek zginie w domu, zaraz słychać: Katarzyna ukradła; trzęsą jéj kuferek, wzywają pomocy władzy sądowéj. Nic się nie znalazło. I to nie skutkuje; ona ukradła. Słyszy to panicz, który podebrał mamę i papę, ale nic nie mówi, bo cóż tam honor służącéj! Jego honor to klejnot czystéj wody.

Nie jest to może takim paradoksem jakby się zdawało, że służba jest taka, jak i państwo. Chcąc ją miéć lepszą, trzebaby zacząć poprawę od siebie. Służący nie kończą gimnazyów, ani uniwersytetów; rzadko czytać i pisać umieją. Rosło to jak dziczki w ogrodzie; nikt się o nich nie troszczył, a teraz narzekamy, że są źli. Skąd się mogli dobrego nauczyć w dzieciństwie? Jeżeli zaś i późniéj, gdy jako najmici pracują, nie znajdą u chlebodawców nauki, życzliwości, opieki, a szczególniéj dobrego przykładu, muszą pozostać dzikimi. Będziemy narzekali w nieskończoność; a w stosunku służby do państwa nic się nie zmieni, jeżeli początkowanie do zmiany nie wyjdzie od tych, którzy mogą i powinni przyłożyć rękę.

Powinni? Ściśle biorąc dzisiaj państwo nie mogą być prawem zmuszeni do życzliwości, wyrozumiałości i dobrego przykładu względem tych, którzy za nich odrabiają najcięższe i najwstrętniejsze roboty. Tam jednak, gdzie się prawo kończy, zaczyna się obyczaj, przykazania etyczne. Otóż, nie kodeksowa, lecz etyczna sprawiedliwość i w znacznéj mierze własny interes wymagają, żeby panowie, panicze, panie i panienki zamiast pomstować na służbę, pamiętali, że i służący są ludźmi, odczuwającymi i wzgardę i krzywdę, i głód i poniewierkę; że takie traktowanie służby, jakie się na szeroką skalę praktykuje, musi pociągać z jéj strony złośliwość, nienawiść, niedbalstwo; nareszcie, że to najzupełniejszy przypadek zrządził, iż Salka usługuje Zenobii, a Maciek Alfredowi. Ten sam przypadek może zmienić stosunki i zmieniał je nieraz tak, że Alfred został kelnerem, a Zenobia śmieciarką. *K.*





NAD HORYNIEM,

POWIEŚĆ.

Pogawędźmy sobie, czytelniku; ja będę pisać, ty czytać, i tak myśli nasze spotkają się z sobą. Historya którą, ci opowiem, nie jest ani „na tle prawdziwego zdarzenia osnuta“, ani „ze znalezionego rękopisu przedrukowana“, może jednak uznasz ją za prawdziwą. Będzie w niéj trochę z tego, co się śniło, i z tego, co się widziało lub słyszało, i z tego co się przeżyło, odczuło, przecierpiało; ponieważ zaś ty i ja żyjemy na téj saméj planecie, więc i sny nasze są jednéj rzeczywistości odbiciem, i o wzrok a słuch nasz obijają się podobne rzeczy, i to wszystko, cośmy oboje przeżyli, przecierpieli, ma z sobą wiele wspólnego. Jeśli więc spotkasz się w mojéj opowieści z jaką myślą jakby z twojéj głowy wyjętą, jeśli poznasz jakie drgnienie serca, które twoją piersią poruszało, jeśli zobaczysz wydobyte na jaw, to co się gdzieś—kiedyś—w głębi twojéj istoty miotało, powiesz wtedy, że moja historya jest prawdziwą, i będziesz miał słuszność, bo nie wątek rzeczywistego zdarzenia stanowi prawdziwość opowieści, lecz oddanie tych drgań wewnętrznych, które wstrząsają moją, twoją i wielu innych duszą.

Ślicznaś ty, jak marzenie, moja ziemio ukochana! Oto zamykam oczy i patrzę na ciebie zdaleka, z za siedmiu gór, z za rzek siedmiu, a widzę cię tak blisko—bo w sercu...

Pod jasném niebem, na rozległéj przestrzeni, rysują się śmiałe i szerokie linie krajobrazu, którego główną cechę stanowi rozmaitość. Wziął on coś ze stepu i coś z górskiéj okolicy, nie mając nużącéj jednostajności pierwszego, ani rozkiełznanéj fantazyi drugiéj. Te błonia rozległe jak step, wznoszą się i opadają jak góry,

płynąc falą spokojną, bardziéj szeroką, niż wzniesioną, tak daleko w przestrzeń, że ostatnie linie toną w opalowéj mgle i nie dojrzéć w niéj krańca, którym ziemia styka się z niebem. Wsi rozrzuconych po téj przestrzeni nie zliczyć na palcach, choć jedna od drugiéj daleko. Ta przytuliła się między dwoma wzgórkami i okryła bujną zielenią sadów, tamta wyszła na górkę i błyska z niéj złotemi kopułami cerkiewki, inna, rzucona na pochyłości, czépia się urwistych załomów, niknie w jarze, wybiega z wąwozu i staje nad stawem, co mruga w słońcu oczkiem błękitném jak niezabudka. Z za pagórka wysuwa się ciemna smuga lasu, i urywa nagle, zakończona kurhanem, drzémiącym pod dębowemi gałęźmi, a daléj, na wysokim obrywie, wśród wałów i okopów sterczą rozwaliny zamczyska; w gruzach zostało jeszcze parę okien, te patrzą, jak jamy oczne ze spróchniałéj czaszki. Z pod stóp zamczyska wyrywa się rzeka; wązka, głęboka, bystra, srebrnym wężem wciska się między załomy wzgórzy, wije się, skręca zuchwałemi zwrotami, za górką zniknie, z za drugiéj błyśnie, na łące rozleje się w spokojne jeziorko, okryte szerokiemi liśćmi grzybienia, i gwałtownym pędem leci daléj, krusząc skały i żłobiąc parowy. To Horyń.

A nietylko piękna jest ta ziemia wołyńska, lecz żyzna i bogata. „Wszystko jéj dałeś co dać mogłeś, Panie“. Powietrze tam zdrowe i czyste, właściwe miejscowościom wyniosłym, wolne od trujących miazmatów, unoszących się nad bagnami nizkich okolic, woda tryska z pod skał zimna jak lód i płynie czysta jak łza, bo przy bystrym prądzie, zielone pleśnie nie mają czasu zamącić jéj kryształu, bujna trawa soczysta, zarasta ługi nadrzeczne, wypasając rosłe bydło, złota pszenica i płowe żyto, jak okiem zajrzéć, falują pełnemi kłoskami. A wśród tego przepychu piękna i bogactwa rośnie lud krzepki i dorodny, natury zdrowe, mające w piersi dużo świeżych sił, w krwi kozaczéj dużo ognia, w prostym umyśle dużo poezyi; materyał surowy, ale wart dłuta mistrza. Czar piękna, rozlany dokoła· przenika swemi promieniami te ciemne umysły, budzi w nich bezwiedne pragnienia i marzenia, wciela się w tęskną dumkę, ujawnia w czarodziejskiéj baśni, wyobraźnię zaludnia ideałami, które nie mogąc jeszcze przybrać wyższéj formy, objawiają się żywą wiarą w rzeczy nadprzyrodzone, nazywaną przez trzeźwe umysły przesądem, a przez marzycieli potrzebą ducha, nieświadomém poczuciem istnienia jakichściś mocy nadprzyrodzonych. Więc w bujnych kłosach pszenicy chowa się rusałka z rozplecioną złotą kosą, w wieńcu z bławatków i maku, z głębiny rzecznéj topielec patrzy szklanemi oczyma, wilkołak nocą wybiega z gąszczy leśnéj, złe wabi na moczary, a upiory pławią się w blasku księżyca. Więc

znachor rzuca i odczynia uroki, zawiązuje i rozwiązuje zakrętki w zbożu na dolę lub niedolę, wiedźma zna ziele na rozkochanie i zapomnienie, zadaje danie, od którego człowiek schnie ciałem a tęskni duszą, czarownica póki młoda chłopców durzy, na starość nieczystą siłą ludziom i bydłu szkodzi. Więc wszystkie niezwykłe fenomeny natury, wszystkie zdarzenia, wynikające z niedocieczonéj przyczyny, wszystkie psychologiczne zagadki serca ludzkiego, wyjaśniają się jednym, tłómaczącym niewytłómaczone wyrazem — czary. Śmieszny wyraz, niegodzien nawet logicznéj krytyki, wszak prawda? Czy przecież lepiéj tłómaczy i więcéj wyjaśnia nieznany absolut albo bezwiedna wola? Lud ma swoję filozofię, jedną w treści, choć różną co do formy z bardzo wielu systematami; bo poznawszy doświadczeniem, że są rzeczy na niebie i na ziemi, których nikt nie wyjaśni, przypuszcza istnienie czegoś nieokreślonego, niepojętego i nieujętego, co zaplątuje i rozplątuje wiele rzeczy na świecie. Śmiesznem się wydaje, jeśli to coś nazwą czarami, mądrém—jeśli nieświadomą wolą, a przecież jak pierwsze tak drugie, objawia tkwiące w umyśle różnych ludzi różne pojęcia o jedném, o konieczności istnienia niewidzialnych przyczyn, spowodowujących widzialne skutki. Główna różnica tych dwu odrębnych pojęć leży tylko w tém, że prostak usiłuje rozciąć węzeł tajemnicy przeczuciem wyobraźni, a mędrzec naukowém badaniem. Obaj domyślają się, że „coś w tém być musi“, tylko jeden szuka tego czegoś sercem, drugi rozumem, i obaj błądzą — bo poszukiwanie prawdy potrzebuje wytężenia nie jednéj lecz wszystkich zdolności człowieka, zarówno instynktów uczucia, jak władz umysłu.

Jednym z warunków wpływających potężnie na rozkołysanie wyobraźni mieszkańców téj krainy czarów, są hojnie wszędzie rozsypane pamiątki przeszłości, których nie zdążyła jeszcze zatrzéć praktyczna ręka cywilizacyi, niwelująca wszystko do poziomu czasu teraźniejszego. Rolnik krając w skiby ziemię, wyoruje z niéj tatarską strzałę, zardzewiałą we krwi nieznanego bohatera, i opowiada wyrostkowi co sam kiedyś od starszych słyszał, o strasznych czasach, „kiedy orda chodziła“. Ślepy dziad grając na lirze, jak Homer przed wiekami, śpiéwa rapsody z kozackich wojen, a jego narodowéj epopei nie brak i tego co stanowi główną piękność Iliady: wspaniałéj grozy w hajdamackich postaciach, prostoty i dosadności, jakie daje prawda, uroku pociągającego słuchacza tém, że śpiewak kochał i wielbił to, o czém pieśni składał. Kurhany sterczące na każdéj obszerniejszéj równinie, która była pobojowiskiem, opowiadają wymowném milczeniem przebrzmiałą dawno sławę, a horodyszcza i zamczyska, każde z przyrosłém do siebie podaniem,

przywodzą na pamięć stare dzieje, bo na ich widok kojarzenie się wyobrażeń wciąż maluje w myśli żywe obrazy minionych wypadków. I dziwnie na téj ziemi złączyły się z sobą wspomnienia i nadzieje: młoda, dziewicza, nie wyzyskana jeszcze ręką ludzką, ma ona przed sobą przyszłość może wielką, bo zasobna jest we wszystko z czego wielkie rzeczy urosnąć mogą; a przecież pomimo swéj młodości przeżyła już tyle, że od Buga do Bohu duch przeszłości osnuł ją całą pamiątkami.

Wśród typowego wołyńskiego krajobrazu, któremu nie brak rozległych błoni, wysokich wzgórzy, i jarów i kurhanów i ruin zamczyska, leżą Horyńce, duża wieś, rozrzucona na kilku falowatych wyniosłościach, z których największą, przypierającą do Horynia, wieńczy biała fasada pańskiéj rezydencyi, otoczonéj ciemną zielenią parku.

W pogodny dzień letni przed zachodem słońca, z bramy dworskiego dziedzińca wytoczył się lekki faetonik jednokonny i spuszczał wolno z góry, drogą wiodącą od pałacu ku wsi.

W jednokonce siedziały dwie ładne, eleganckie kobiety, z których starsza wyglądała na mężatkę, młodsza na pannę, nietyle dla różnicy wieku, nie zdającéj się znaczną, jak dla jednéj z tych cech kobiecości niedającéj się wyraźnie określić, która sprawia, że na pierwszy rzut oka wzrok—męski zwłaszcza — odgadnie czy nieznajoma kobiéta jest panną czy mężatką, i prawie nigdy nie pomyli się.

Jechały więc te panie od pałacu ku wsi. Starsza zasłaniała się parasolką od ukośnych promieni słońca, zazierających niedyskretnie pod szerokie skrzydła jéj kapelusza; młodsza powoziła, a kary koń, wygiąwszy piękną szyję, biegł szybkim, równym kłusem, jak chodzą bystre konie, gdy czują kierującą niemi śmiałą i wprawną rękę. Droga od bramy schodząca w dół na mostek, za mostkiem wspięła się pod górę i weszła między pierwsze chaty. Tutaj cugle ściągnęły się, a kary poszedł stępa; bo było trochę błota, jak zawsze prawie we wsi wołyńskiéj, któréj trzeba dłuższéj suszy, aby słońce zdołało wypić wszystką wilgoć, ściekającą zewsząd na nieokopaną ulicę i wsiąkającą głęboko w lepką, tłustą ziemię.

We wsi było cicho i pusto. Co żyło i pracować mogło, poszło w pole z sierpami, zostały tylko małe dzieci i zgrzybiali starcy, niby pod wzajemnym swoim dozorem, a właściwie jedne i drudzy na bożéj opiece.

Główna ulica wiejska nie szła prosto przed siebie, szeroka i monotonna, jak w krajach płaszczyzn i porządku, lecz zakręcała się fantastycznie na prawo i na lewo, niby jaka leśna drożyna, wbie-

gała w doły, wybiegała na wzgórki, a miejscami ginęła pod kałużą zzieleniałéj wody. Chaty, po obu stronach drogi rozłożone, były nizkie, koślawe, poszyte zczerniałą i omszoną słomą, ale każda czysto wybielona, przybrana w czerwone pęki kaliny zatknięte nad małem okienkiem, miała przy sobie z jednéj strony długie grzędy warzywne, z drugiéj wiśniowy sadek i stała opodal od sąsiedniéj, na osobnym, sporym kawale ziemi, jakby pysząc się własnością i swobodą. W każdym sadku był cień głęboki i bujna trawa, pod każdą ścianą od ulicy przyzba szarą gliną czysto wylepiona. a przy niéj ogródek, pstrzący się żółtemi nogietkami, czerwoną piwonią i rozłożystym barwinkiem; najuboższa chałupa musiała być przyozdobiona, czémśkolwiek, zapożyczoném od żywéj natury: drzewkiem, kwiatkiem, choćby snopkiem jarzębiny albo liśćmi tataraku, bo ten lud wykołysany na łonie młodéj, pięknéj matki, czuje nieświadomą potrzebę przyozdobienia swojéj ubogiéj siedziby czémś, coby jéj powierzchowność robiło milszą dla oka. Ten mieszkaniec nędznéj chaty instyktowie niecierpi brzydoty; ona myśli zachmurza i zasępia serce. Kiedy ciekawy podróżny wda się w gawędę z jaką babą przędącą na przyzbie, baba, nawijając szarą nitkę na wrzeciono, popatrzy z dumą na zielone sady, na chaty bielejące w ich cieniu, na daleką perspektywę wzgórzy roztopionych w sinym tumanie i powié niezawodnie: „a co, panie, prawda jak tu u nas wesoło?“ Wesoło, znaczy u niéj pięknie, bo piękno rozpogadza jéj duszę i cieszy serce.

Za czwartą górką, po trzecim zakręcie, ulica wyrównała się, wyprostowała i pobiegła w pole po lekkiéj pochyłości, wśród rzednących chat i ogrodów. Na końcu wsi stał gromadzki magazynik zbożowy, z dębowych krąglaków zbity, a przed nim, na paru porzuconych kłodach drzewa, z pod których wyrastały wysokie pokrzywy, siedziało kilku kwaterujących we wsi żołnierzy. Pykali dymem bakunu z krótkich fajeczek, spluwając głośno, dla nadania sobie pewnego marsowego szyku, a gromadka dzieci przysiadłszy nieopodal na trawie, przypatrywała im się z trwożliwą ciekawością błękitnemi oczkami, błyskającemi z pod przystrzyżonych nad brwiami płowych włosów.

Naprzeciw magazynu, o kilkanaście kroków od drogi, z równego gruntu wystrzelał w górę garb ziemi, widocznie ręką ludzką kiedyś usypany, a na nim cerkiewka czerwono i żółto malowana, ze świecącemi kopułkami, w zielonych ramach kilku starych lip wyglądała jak jaskrawy obrazek bizantyjski. Przed cerkwią ziemia darnią porosła, zapadała się w podłużne zagłębienia, ślady dawnych mogiłek, wśród których tkwiło jeszcze kilka nizkich ośmiokątnych

krzyżów, grubo wyciosanych z szarego piaskowca, porosłych popielatemi mchami zgrzybiałéj starości. Za cerkwią chował się domek popa, czysto wybielony, świéżo słomą poszyty, z gankiem na słupach, o dwóch ławeczkach i czterech schodkach, a na ganku wyciągnął się jak długi kundys biały w czarne łaty, z pewnością Rabczyk, jak każdy pies téj maści na całéj Rusi. Posłyszawszy zdaleka turkot, Rabczyk zerwał się w pół ziewnięcia i położywszy głowę na przednich łapach, nastroszył uszy, czając się jak do skoku.

Jednokonka dojeżdżała do cerkwi. Starsza z pań, która dotąd bawiła się parasolką, wodząc dokoła roztargnionym wzrokiem, teraz widząc przed sobą równą i prostą drogę, wzięła cugle z rąk młodszéj i trąciła niemi konia. Koń wnet poczuł niepewną rękę, więc zamiast ze stępa przejść w kłusa, zaczął podskakiwać jakimś nierównym chodem własnego pomysłu, co bardzo bawiło powożącą. Powozik równał się z cerkwią, gdy w tém Rabczyk, który miał skryty i złośliwy temperament, milczkiem, a szybko jak kula stoczywszy się z pagórka, wpadł nagle pod nogi koniowi. Kary chrapnął, w bok skoczył i ruszył z kopyta, a powożąca upuściła cugle, i krzycząc, zakryła sobie oczy rękami. Wtedy młodsza jéj towarzyszka chwyciła zsuwające się lejce, stanęła wyprostowana, w tył trochę przegięta i silnie ściągając konia, wołała nań spokojnym, podniesionym głosem. Ale kary nie czuł i nie słyszał; chrapiąc i wierzgając, pędził prosto przed siebie, stuliwszy uszy, a rozczochrana grzywa miotała się gwałtownie. Na szczęście droga była równa, szeroka, i prosto jak strzała szła między dwoma łanami zboża, ku domkowi gajowego, bielejącemu w dali, ale za nim ginęła w gąszczy drzew, tam więc dopiéro zaczynało się prawdziwe niebezpieczeństwo, na zakrętach leśnéj drożyny, wśród pni i korzeni.

Straszny jest widok człowieka, króla stworzenia, wydanego na łaskę i niełaskę brutalnéj siły zwierzęcia, z całą potęgą ludzkiego rozumu, unicestwioną przez siłę jednego konia. Straszną jest kruchość téj glinianéj lampki, w któréj gore płomień życia ludzkiego, świat olbrzymi uczuć i myśli, chwiejący się za lada podmuchem, gasnący, gdy lada błahy wypadek glinianą lampkę stłucze...

Ale na przyźbie przed domkiem gajowego siedział młody wojskowy z papierosem w zębach i książką na kolanach. Zobaczywszy zdaleka rozbieganego konia, zgasił papierosa, zamknął książkę i wyszedł spokojnie na sam środek drogi. Zadudniło, wzbił się kłąb kurzawy— koń nadbiegł szalonym pędem, lecz człowiek szybko i śmiało pochwycił zwierza cugle tuż przy wędzidle, a koń zaskoczony niespodzianie wspiął się, przysiadł na tylnych nogach, i stanął jak wryty, dysząc tylko ciężko i drżąc całém ciałem.

W chacie gajowego gwar zrobił się wielki; gajowa wybiegła łamiąc ręce, i lamentowała głośno:

— Hospody Boże! pani grafinia! panna Maryjka!

Panna Maryjka rzuciła cugle, wyskoczyła z powoziku podbiegła do młodego człowieka, i z serdeczną wdzięcznością ścisnęła jego dłoń obiema rękami, zarumieniwszy się przytém od szyi po włosy. Skinęła potém na gajową i z jéj pomocą wyniosłszy na ręku wpółomdlałą towarzyszkę, usadowiła ją na przyżbie i poiła wodą z blaszanéj kwarty.

— Możeby grafinia napili się lepiéj gorącego mleka doradzała gajowa.

Hrabina widać już przyszła do siebie, bo uśmiechnęła się na tę naiwną propozycyą, i zaraz potém z szybką zmianą usposobienia właściwą wrażliwym temperamentom, wstała poprawiła rozrzucone włosy i zwróciła się do młodego wojskowego, który oddawszy konia żołnierzowi, stał teraz trochę na boku, w tém niepewném zakłopotaniu, któremu podlega choćby najśmielszy wobec rozhukanego konia mężczyzna na widok roznerwowanéj i płaczącéj kobiéty, nie wiedząc, co robić z nią i ze swoją osobą w podobnym wypadku.

— Doprawdy,—zaczęła, pan znalazł się tak bohatersko, że.....

— Niech mię pani nie upokarza przesadzoną pochwałą, przerwał; każdy mężczyzna na mojém miejscu zrobiłby to samo. Proszę nie domyślać się we mnie bohatera, bo stoi przed paniami najzwyczajniejszy śmiertelnik, Adam Skrzyński, podchorąży 4-go pułku dragonów.

Ukłonił się—obie panie podały mu rękę—on mówił daléj.

— Koń jest jeszcze tak rozdrażniony, że ani myśléć o tém, aby panie wracały nim do domu. Jeśli wolno—mój służący odjedzie powozikiem do dworu, a ja przeprowadzę panie pieszo.

— O, dobrze! zawołała hrabina. Już nigdy w życiu nie pojadę tym koniem. Przejdziemy się chętnie, jeśli pan zechce wziąć nas pod swoją rycerską opiekę. Ale we wsi jest trochę błota... Spojrzała na swoje wycięte pantofelki.

— Można obejść wieś łąkami; odezwała się Maryjka. Ja będę przewodnikiem.

Zbiegła z drogi w dół na ścieżkę, która pod ścianą zboża wiodła ku ługom nadrzecznym. Oficer szedł za nią, podając rękę hrabinie. Rozmowa wiązała się dość ciężko, jak zwykle między nieznajomymi, niewiedzącymi jeszcze o czém i w jaki sposób mówić z sobą mogą. Przedmiotem jéj był naturalnie świeży wypadek, ale rozbierając wszystkie jego szczegóły, nikt nie wspomniał o tém, co każdy miał w myśli,—że wybryk znarowionego konia zbliżył nagle

do siebie osoby, które mieszkając w bliskiém sąsiedztwie choćby przez czas dłuższy, nie byłyby przecież nigdy nawet kilku słów z sobą zamieniły. Ścieżka, doprowadziwszy do końca łanu, zagięła się na lewo, ku rzece. Idąca dotąd naprzód Maryjka przystanęła, i zrównawszy się z sobą weszli razem w bujną trawę zlekka przygiętą niewyraźnym śladem rzadko deptanéj ścieżki.

Ług zielony roztoczył się daleko i szeroko, jak spokojne jezioro falując drżącemi kitami bylicy, różowemi pączkami smółki i lśniącemi główkami złocienia. Wyraźny choć słaby szmer kołyszących się roślin uwydatniał głębokość zalegającéj te przestrzenie ciszy. Słońce spuszczało się powoli za dalekie, sine wzgórza, a blaski, wonie i cisza choć tak różnorodne co do swojéj natury, zlewały się przecież z sobą w jedną cudną harmonią piękna i spokoju.

Hrabina opowiadała cały przebieg minionéj katastrofy z tą pewnością i łatwością wysłowienia, jaką mają osoby przywykłe być z uwagą słuchanemi. Adam słuchał uważnie ale jednocześnie spoglądał z ciekawością na obie panie, rozbierając badawczo wszystkie szczegóły ich powierzchowności.

Hrabina należała do tego kobiecego typu, który oczów nie ściąga, ale je zatrzymuje. Średniego wzrostu, szczupła, miała w ruchach i ułożeniu to umiejętne połączenie prostoty z odrębnością, skromności z pewnością siebie, stanowiące główne cechy tak zwanéj dystynkcyi. Wytwornie udrapowana suknia z fijołkowego fularu uwydatniała wszystkie zalety jéj postaci a każdy szczegół ubrania był harmonijną cząstką obmyślanéj całości, która tchnęła elegancyą, to jest zręczném skojarzeniem wymagań mody z estetycznie wykształconym smakiem. Z pod dużego kapelusza spuszczał się węzeł włosów jasnych, popielatego odcienia, właściwego blondynkom stref północnych, twarz blada nie miała młodzieńczéj świeżości, ale w konturach drobnych rysów było coś niemal dziecinnego, tak że z połączenia tych dwóch sprzeczności można było równie dobrze domyślać się lat mniéj niż dwudziestu, jak więcéj niż trzydziestu. Główny wdzięk téj twarzy stanowiły kąciki ust, wyginające się coraz to innym wyrazem i spojrzenie ciemnych oczów, dużych, lecz głęboko pod ciemnemi brwiami osadzonych. Te oczy, przysłonięte zmrużoną trochę powieką i długiemi rzęsami, były jednemi z takich, co to pociągają tajemniczym urokiem przepaści, kryjącéj na dnie niby jakieś rozkoszne obietnice i bolesne zagadki, jakieś nieokreślone tęsknoty i nieświadome pragnienia, jakieś pełne znaczenia lecz nigdy niedomówione wyrazy, które każdy domówić sobie probuje i nie potrafi. Takie spojrzenie miewają albo wyrafinowane kokietki, albo nierozumiane marzycielki, albo wątłe

kobiety u których rozstrojony system nerwowy wytwarza chorobliwą wrażliwość. Hrabina musiała łączyć w sobie po części te wszystkie trzy cechy, bo oczy jéj miały ów charakter podniesiony do trzeciéj potęgi.

Adam znużywszy się badaniem tego sfinksowego spojrzenia, z przyjemnością przeniósł wzrok na towarzyszkę pięknéj pani.

Na zieloném tle łąki Maryjka wyglądała jak kwiat świeżo rozwinięty na wysokiéj mocnéj łodydze. Była słuszna i silna lecz zręczna, miała rysy wydatne, cerę nie bardzo delikatną lecz zdrową i rumianą, włosy ciemno-żółte, koloru dojrzałéj pszenicy, spuszczały się grubym warkoczem poniżéj safianowego paska obciskającego niebieską bluzkę, ruchy gibkie i elastyczne nie miały już nieśmiałéj sztywności dziewczęcéj, i nie miały jeszcze miękkości dojrzalszego wieku; oczy jasne i spokojne pogodnie rozjaśniały twarz całą, patrzą na świat i ludzi razem z prostotą dziecka i powagą myślącego człowieka, a choć także głębokie, nie kryły w sobie żadnych ciemnych zagadek bezdennéj przepaści, lecz były szczere jak niezmącone jezioro, pod którego falą przezroczystą widać dno doskonale, a na dnie piasek złoty. Téj wiek dawał się na pewno określić odrazu: musiała miéć lat dwadzieścia—najpiękniejszy czas dla kobiety, w którym przeżyła już dosyć aby poznać życie, a za mało jeszcze aby zniechęcić się do niego. Świeżość, zdrowie i krzepkość młodzieńcza jak woń od kwiatu biły od téj dziewczyny z postawą lilii a twarzą polnéj róży, i Adam patrzył na nią z rozkoszą botanika odkrywającego gdzieś na łące czy w lesie wspaniały okaz ojczystéj flory. Ona także dosyć ciekawie patrzyła na towarzysza, ale tylko wtedy gdy zwracał się do niéj w rozmowie; hrabina zaś obserwowała go ciągle, lecz tak żeby tego nie spostrzegł. Kobiety umieją patrzéć prosto przed siebie, a widziéć z boku. Zauważyła więc w ten sposób, że młody człowiek posiada dosyć przyzwoitą, niczém zresztą nie uderzającą powierzchowność, że nie można go nazwać ani *joli garçon*, ani *bel homme* a przecież jest w nim *un je ne sais quoi*... co niby znaczy w naszym poczciwym języku, który szczerze każdą rzecz po imieniu nazywa, że może się podobać nie wiedziéć dla czego. Maryjka pomyślała także, że taki mężczyzna podobać się może, ale odrazu wiedziała dlaczego. Oto dlatego, że miał silną postać, śmiałe ruchy, energiczy profil, linią rysów pewną i stanowczą; męzkość zaś charakteru, ujawniająca się w twarzy i postawie jest właśnie tém *je ne sais quoi*, które najbardziéj pociąga kobiety.

Hrabina zbadawszy powierzchowność, zapragnęła sięgnąć głębiéj, to jest zbadać rodzaj inteligencyi młodego człowieka, aby

ocenić jaką sumę przyjemności można wydobyć z jego rozmowy. Mężczyzni należący do jéj sfery towarzyskiéj mieli zwykle spory zasób dobrze wyuczonych, mniéj więcéj zręcznych formułek, i nabytą umiejętność stosowania ich mniéj więcéj właściwie; co sprawiało, że rozmowa z każdym z nich przedstawiała dla niéj zawsze pewną sumę mniejszéj lub większéj przyjemności, będąc jeśli nie wymianą zdań i pojęć, to przynajmniéj wykwintném dowcipkowaniem. Ale człowiek z innéj sfery musiał wyżéj stać umysłem od przeciętnego dobrze wychowanego młodzieńca, aby rozmowa jego, nie świecąc powierzchownym blaskiem, mogła samą swoją treścią obudzić zajęcie i dostarczyć chwilowéj rozrywki.

Skończywszy więc opowiadanie o świeżym wypadku, prowadzone właściwym sobie lekkim i żartobliwym sposobem, przeszła nagle w ton cokolwiek poważniejszy, i rzekła:

— Widocznie przez intuicyą nadałam właściwe imię sprawcy dzisiejszéj katastrofy; mój kary nazywa się Kaprys, i bardzo stosownie, kiedy tak rozgrymasił się jak nerwowy pieszczoszek. Czy pan przypuszczasz większą nerwową wrażliwość u koni wyższéj rasy? Adamowi wydało się, że wzmianka o wyższości rasy zamyka w sobie cokolwiek złośliwéj intencyi; miał swoje demokratyczne uprzedzenia, nie zawsze słuszne, choć na pewnych podstawach oparte, i często nie będąc rzeczywiście zaczepianym stawał w obronnéj pozycyi, jak zwykle ludzie różnych warstw społecznych, wiecznie jedni względem drugich podejrzliwi, i wskutek tego nigdy porozumiéć się nie mogący. Teraz więc zmarszczył brwi i odpowiedział trochę ostro:

— Z koniem dzieje się to samo co z człowiekiem: koń tabuński i prosty człowiek, mają silne nerwy i dzielny temperament; lecz jeśli postawią konia w anormalnych warunkach bytu, wtedy powoli po szeregu pokoleń chowanych w sposób przeciwny naturze, osłabiający siły i każący temperament, staje się on rasowym, to jest wydelikaconym, nerwowym, zepsutym przez różne nabytki tak dziedziczne jak osobiste, przydatnym do bezużytecznéj zabawy jedynie,—i jest tyle podobnym do tęgiego tabuńczyka, ile buduarowa kapryśnica do dzielnéj wieśniaczki.

Hrabina uśmiechnęła się trochę ironicznie.

— Pan jest zwolennikiem polnych kwiatów—rzekła; a ja znajduję, że cieplarniana hodowla wytwarza żywsze barwy, wykwintniejsze kształty i zapach subtelniejszy.

— Cieplarniana hodowla psuje roślinę, bo zwraca jéj siły żywotne na fałszywą drogę. Pełne kwiaty nie wydają nasienia; przeznaczone na to soki przechodzą w barwne płatki dla zabawki oka.

I takie wykolejone twory nie mają żadnéj energii życiowéj; ta oto anemiczna róża wpięta we włosy pani zapewne przed godziną, już uwiędła, kiedy tymczasem to—zerwał różową smółkę, i włożył ją sobie w dziurkę od guzika—ma taki zasób sił, że nawet po zerwaniu przetrwa świeżo aż do wieczora.

Hrabina zamyśliła się.

— Biedna róża...—westchnęła po chwili; cóż ona winna, że ją w cieplarni wypielęgnowano?

— Ja też jéj nie obwiniam—odparł; tylko zamiast roztkliwiać się nad niemocą istot nieprawidłowo rozwiniętych, wolę zwrócić całą moję sympatyą ku naturom normalnym i krzepkim.

— Mówmy bez przenośni: krzepkie natury u ludzi są grube i tępe, niezdolne nawet zrozumiéć wszystkich subtelnych uczuć i pojęć takiego człowieka, któremu wychowanie rozpieściło wprawdzie nerwy, ale może właśnie wskutek tego wyrobiło giętszy umysł i większą wrażliwość uczucia.

— Nie nazywam krzepką naturą człowieka grubych uczuć i ciężkiéj myśli, lecz tego który w zdrowém ciele ma trzeźwy umysł i proste serce; który nie mąci sobie pojęć zbytniém ich rafinowaniem, subtylizowaniem uczuć nie wypacza nerwów sobie, nie rozdraźnia gorączką pożądań i zwątpień, który nie marzy—ale myśli, nie pragnie—ale działa. Taki ma naturę krzepką, to jest siłę w charakterze, a trzeźwość w sądzie o rzeczach.

— Taki więc jest istotą myślącą; a czyliż myśląca istota potrafi zatrzymać się nad brzegiem otchłani własnego ducha, na któréj dnie leży tyle ciemnych tajemnic, palących pytań, drażniących zagadek, których roztrząsać nie podobna bez subtylizowania, bez walk, burz i zwątpień?

— Podług mnie, człowiek nie po to ma byt, żeby tonął w czczych abstrakcyach, szukając czego nikt przed nim nie znalazł przez długie lat tysiące, nie po to żeby ślęczał próżno nad zagadkami bytu, unicestwiając się w gnuśném budyjskiém marzycielstwie,—lecz po to żeby przyjąwszy byt po prostu i w dobréj wierze, żył rzeczywistością i zużytkował całą energią myśli i dzielność czynu na wyciśnięcie ze swego istnienia wszelkich możliwych korzyści dla siebie i społeczeństwa. Praca nad własnym i drugich pożytkiem—to prawdziwy cel życia i rozwiązanie zagadki bytu;—a człowieka zajętego pożyteczną pracą nie zdołają pociągnąć bezcelowe mrzonki w ową otchłań filozoficzną, w któréj nic nie znajdzie, a wszystko może stracić.

— Więc pan nie przyznaje filozofii racyi bytu?

— Jest-to konsekwencyą wypowiedzianych przezemnie przekonań. Ani jeden system filozoficzny nie może drogą doświadczalną przejść z hypotezy w pewnik, więc ani jeden nie ma racyi bytu.

Hrabina uczuła że jéj się grunt z pod nóg usuwa. Inteligentna i oczytana, lubiła czasem zabawić się w poważniejszą dyskusyą, lecz nie sięgając głęboko i nie wyczerpując kwestyi, bo chwiejna zawsze i we wszystkiém, nie miała zdań wyrobionych i stałych przekonań, nie mogła więc przeargumentować silnego przeciwnika. A że lubiła miéć ostatnie słowo w dyspucie, więc zwykle nie doprowadzała jéj do końca, aby nie zostać pobitą. Teraz więc przerwała rozmowę, zwracając się do towarzyszki:

— Cóżeś taka dziś milcząca, Maryjko? jesteś o sto mil od naszéj dyskusyi.

— Przeciwnie, jestem od niéj o dwa kroki, bo słucham uważnie.

— Więc nam powiédz, kto z nas ma podług ciebie słuszność?

— Założyłbym się,—wtrącił Adam z uśmiechem, że pani powié, iż oboje mamy słuszność po części; panie zwykle w polubowny sposób załatwiają sprawy tego rodzaju.

— Przegrałbyś pan zakład—rzekła hrabina. Maryjka albo milczy, albo mówi co myśli; ona nie posiada wcale tego kobiecego talentu, co to umié i nie skłamać i prawdy nie powiedziéć.

— Więc w obecnym wypadku panna Marya zachowa milczenie, czy téż wypowié nam szczerze myśl swoję?

— Powiem szczerze, że oba zdania wydają mi się zbyt krańcowemi, myślę właśnie, że równie zgubném może stać się zatonięcie w idealnych abstrakcyach, jak uwzględnianie tylko potrzeb jak najmniéj wkraczających w sferę duchową. Zbyt subtelna analiza prowadzi do smutnego sceptycyzmu, zbyt pozytywna trzeźwość—do grubego zmateryalizowania; więc zdaje mi się, że chyba najlepiéj byłoby stanąć na równéj odległości między obiema temi ostatecznościami.

— W jaki sposób?

— Łącząc ideał z czynem; obierając sobie jakiś punkt środkowy, do którego schodziłyby się wszystkie myśli, lecz z którego także rozchodziłyby się pobudki wszystkich czynów.

— A tym punktem środkowym?...

— Jakaś szlachetna idea—gwiazda przewodnia, wskazująca drogę myślom, a pole działalności czynom. Może nią być dla jednych ludzkość, dla drugich ojczyzna, dla innych nauka albo wiara.....

Zamyśliła się i umilkła.

— A dla pani?—zapytał Adam.

Wyszli właśnie z łąki na drogę, wiodącą od rzeki ku dworowi. Przy drodze stał stary krzyż drewniany, Maryjka przystanęła, zrywając rosnący u stóp jego nieśmiertelnik.

— Dla pani?—powtórzył Adam.

— Dla mnie, to... — odrzekła, dotykając nieśmiertelnikiem krzyża, a z tego wszystko co jest powinnością człowieka.

Zamilkli wszyscy na chwilę. Po zamknięciu ożywionéj rozmowy, następuje zwykle reakcya milczenia, w czasie którego jedni lubują się rozpamiętywaniem tego, co się im dobrze powiedzieć udało, drudzy układają czego nie dopowiedzieli, żałując że im tak zręczne zwroty po czasie dopiero na myśl przychodzą, mała zaś liczba zastanawia się nie nad swoim tylko udziałem w rozmowie, lecz nad jéj treścią ogólną.

Hrabina pierwsza przerwała milczenie.

— Od jak dawna—zapytała, odbywa pan rekolekcye w dworku gajowego?

— Zdaje mi się, że od przedhistorycznych czasów,—rozśmiał się Adam.

— Tak się panu czas dłuży, w pięknéj okolicy i w piękną porę?

— Nie jestem zwolennikiem cichéj kontemplacyi. Lubiłbym naturę, gdybym miał z nią do czynienia; ale ponieważ nie sieję, nie orzę i nie zbieram do gumien, a nawet nie buduję mostu, albo nasypu pod koléj, więc moje paromiesięczne przymusowe bezrobocie obrzydziło mi już dostatecznie i te nieruchome góry i ten śpiący las i te milczące pola.

— Mnie te milczące pola mnóstwo ciekawych rzeczy opowiadają.

— Gdybym był na pani miejscu, słyszałbym także od nich mnóstwo ciekawych rzeczy; opowiadały by mi one wiele kóp pszenicy wyprodukować mogą.

— Ja nie samym chlebem żyję.

— Bardzo wierzę; pani musi żyć cukierkami i wodą sodową.

— A pan zapewne żywi się wyłącznie surowym rozbefem, dla zadość uczynienia duchowi czasu, nakazującemu człowiekowi asymilować sobie tylko pierwiastki jak najmniéj zmienionéj zwierzęcéj natury.

Adam uśmiechnął się tylko na to. Złośliwość ładnéj kobiety nie obraża mężczyzny, bo ją bierze za chęć zwrócenia na siebie jego uwagi, za jednę więcéj strzałę w kołczanie zalotności. Dopiero kiedy postarzeje, ta o któréj mówiono, że ma miły pieprzyk w rozmowie, zaczyna się nazywać nieznośną złośnicą.

— Pan zapewne mieszkał dotąd w mieście?—mówiła daléj hrabina, chcąc się czego dowiedziéć o przeszłości młodego człowieka, z którego rozmowy już wywnioskowała, że w jego towarzystwie znajdzie przyjemną rozrywkę, przerywającą jednostajność spędzanych na wsi letnich miesięcy.

— Tak, pani—odpowiedział. Wyjeżdżałem na wieś tylko w czasie wakacyi.

— Więc pan niedawno ukończył studya?

— W tym roku dopiero. Trochę to zapóźno względnie do mego wieku, ale przebywałem nauki z całorocznemi czasem przerwami, aby miéć o czém uczyć się przez rok następny. Rodzice moi byli niezamożni, pomarli zresztą nim szkoły skończyłem, więc wyższy zakład przebywałem o własnéj sile, i w znaczeniu intelektualném jestem sobie swoim własnym synem.

— Można panu powinszować takiego syna—odezwała się Maryjka,—który własnéj tylko pracy i energii zawdzięcza wszystko czém jest.

— Nie jest jeszcze niczém, proszę pani — ale będzie. Dziś jest tylko wykwalifikowanym technikiem, odbywającym powinność wojskową,—a to bardzo mało w stosunku do tego, na co go myślę pokierować.

— Piękna to rzecz—rzekła hrabina, wiara w przyszłość i we własne siły; ale życie prędko ze złotych marzeń budzi...

— Mnie nie zbudzi, bo nie śnię, tylko obliczam. Nie jestem marzycielem, rojącym o jakiémś nadzwyczajném szczęściu, które mu kiedyś samo spadnie z księżyca w otwarte w bezczynnéj zadumie usta; jestem człowiekiem obrachowującym rozważnie wszystkie szanse życia, i wiem że każdemu przechodzi nieraz drogę taka okoliczność, którą w porę i śmiało chwyciwszy za włosy, można nagiąć do swoich celów. To, co nazywają brakiem szansy, jest tylko nieumiejętnością wypatrzenia w życiu pomyślnych warunków, lub nieudolnością zwrócenia téj wody na swoje koło.

— A gdy ta woda, już przypłynie—ciekawam, jak ją pan zużytkuje.

— Usypię na niéj groblę, zwalczywszy przeciwne prądy, pobuduję młyn w pocie czoła, i będę mléć mąkę na obwarzanki dla siebie i dla dobrych ludzi.

— Czy i ja dostanę obwarzanek?

— Niezawodnie—jeśli go pani będzie potrzebować. Praca dla ludzkości, to podanie obwarzanka pierwszemu głodnemu, który go nie ma; naturalnie nietylko w znaczeniu zaspokajania najprostszych potrzeb.

— Więc ostatecznie, pański trzeźwy umysł roi ideały tak szczytne, jak poświęcanie się dla ludzkości?

— Ja się wcale poświęcać nie myślę; myślę tylko mieniać się z ludźmi wzajemném wypełnianiem społecznych obowiązków, i być użyteczną cząstką ogółu, przez dobre zrozumienie własnego interesu. Może mi pani powiedzieć, że pole mojéj działalności jest nazbyt ograniczoném, abym mógł na niém z korzyścią pracować dla siebie i ogółu; ale dlatego właśnie potrzebuję najpierwéj zdobyć taki motor, którego siła wyzyskiwana przez moje zdolności, będzie mogła wiele zdziałać.

— Cóż będzie tym motorem?

— To czém dziś najwięcéj zrobić można—pieniądz—rzecz tyle przez idealistów obmawiana, a rzeczywiście piękna i szlachetna, jeśli się téj potężnéj dźwigni używa rozumnie i uczciwie.

— Ale pozwoli pan sobie powiedzieć, że zawsze, a przy teraźniejszych ekonomicznych warunkach więcéj niż kiedykolwiek, zebranie majątku własną pracą z niczego, jest rzeczą bardzo trudną i rzadko widzianą.

— Ja też nie zamierzam składać grosz do grosza, aby miéć chléb gdy zębów nie stanie; tylko, jak już mówiłem—postaram się o wynalezienie takiéj okoliczności, która da sposobność zrobienia majątku w krótkim przeciągu czasu.

— Jak też pan uważa taką naprzykład szansę, jak wygranie na loteryi, lub ożenienie się bogato?

— Wszelki godziwy sposób nabycia majątku, wydaje mi się pożądanym. Ale wielki los w loteryi, jest rzeczą ślepego trafu, na który rozsądnie liczyć nie można; gdy tymczasem w tym drugim wypadku, decyduje nie traf, lecz własna umiejętność wyzyskania sytuacyi.

— A gdyby sposobność wyzyskania takiéj sytuacyi—stanęła przed panem w chwili, w któréj serce modliłoby się do jakiego obrazka bez złotych ramek?

— Proszę pani, zachcianki serca, to pański zbytek; kto nie ma na zbytki, nie powinien roić o szybkach z okna i gwiazdkach z nieba.

— Nie powinien!—wielkie słowo! a gdy gwiazdka mrugnie, już po niém.

— Nie powinien—to religia i kodeks uczciwego człowieka.

— Uczciwy człowiek powinien kochać, aby nie stać się zimnym samolubem. Serce potrzebuje przejść przez ogień uczucia, aby się w nim w drogi klejnot skrysztalić. Kto w swém sercu za młodu przytłumi jego najpierwsze naturalne porywy, ciągnące je do ja-

kiejś gwiazdki z nieba, ten w niém powoli zamorzy zdolność kochania kogokolwiek lub czegokolwiekbądź późniéj.

— Nie, pani; serce gimnastyki nie potrzebuje; bez wprawy i wyrobienia kochać potrafi, co mu się kochać każe. Zresztą, wyznaję, że w istnienie téj miłości o jakiéj pani mówi, najzupełniéj nie wierzę—a przynajmniéj nie wierzę w taką, jak ją pani zapewne pojmuje.

— W taką, która ma moc złamać życie, albo dać najwyższe możliwe szczęście na ziemi?

— Właśnie.

— Czémże jest, podług pana sympatya dwóch serc?

— Jest instynktem natury; ale ten nie może aż złamać życia, bo jeden przedmiot wyboru daje się łatwo drugim zastąpić.

— Więc wierność, stałość, to czcze słowa?

— Wierność w wielu wypadkach jest obowiązkiem społecznym, ze względu na związki rodzinne; stałość zaś—to tylko mrzonka rozbujałéj fantazyi poetów.

— Przeczy pan rzeczywistym faktom! wszak uczucie silniejsze nad wolę bywa nieraz przyczyną szaleństwa. lub nawet śmierci! to przecież dowód niezbity, że istnieje prawdziwa stałość w prawdziwéj miłości.

— Nie, pani. Owa miłość, silna jak śmierć, jest tylko tym samym fenomenem patologicznym, który miał miejsce w słabych nerwach i rozegzaltowanéj wyobraźni tego kogoś, co to wmówiszy w siebie, że jest szklanym i że stłuc się może, potknął się, upadł, i umarł naprawdę. Silne charaktery i zdrowe umysły rzadko podlegają podobnym zboczeniom; są one najczęściéj chorobą ludzi rozpieszczonych i rozpróżnowanych, u których wyobraźnia i nerwy grają we wszystkiém pierwszą rolę, a którzy—przez bezwiedną aspiracyę bezczynnych do czynu, zwracają ku próżnym mrzonkom swoje siły, za słabe na działalność w zakresie rzeczywistości.

Hrabina zmarszczyła brwi.

— Pan bluźnisz!—zawołała żywo; bluźnisz przeciw potędze, która na fibrach serca wygrywa najpiękniejszą z symfonii życia, która—wbrew słowom zimnych sceptyków—istniała i istnieć będzie, póki tylko duch ludzki rwie się w sferę ideału, póki tęskni za czémś wyższém nad materyalne korzyści i grube przyjemności, póki pragnie uniesień, jakich nic innego dać mu nie jest w stanie!...

Oczy jéj zaiskrzyły się, bladą twarz okrył rumieniec, w roztargnieniu zeszła z drogi w trawę i brodziła w pachnących ziołach po kolana, nie zważając na perlącą się już na nich rosę.

Adam spojrzał na nią badawczo.

— Zakochana—pomyślał—i naturalnie nie w mężu; małżeński afekt nie miéwa tylu stopni gorączki...

Po twarzy Maryjki przemknął jakby cień jakiś. Weszła także w trawę, objęła w pół towarzyskę i wyprowadziła ją na drogę.

— Rosa pada — rzekła — pani zamoczy nogi.

— Ta praktyczna uwaga — rozśmiał się Adam — pada także, jak zimna rosa na gorące słowa hrabiny. A pani — dodał—jak téż sądzi o miłości?

— Ja? — odrzekła spokojnie — nie wiem jeszcze; zobaczę...

Drożyna, którą szli, wpadła z boku, jak strumień w rzekę, w szeroką lipową ulicę, wiodącą ku dworowi. Lipy kwitły, wieczorny powiew, nasycony subtelną wonią miodową, płynął pod ciemném sklepieniem splecionych gałęzi, zmrok zapadał powoli, osnuwając przedmioty jakby pajęczyną, od strony wsi dochodziły dalekie głosy wracających z pola żniwiarzy, a piosenka małoruska, rzewna, śpiéwna, przeciągła, płynęła po rzece na ługi, i rozlewała się nad niemi razem z siwym tumanem, występującym zwolna po nad bujne trawy.

Hrabina zasłuchała się w tę prostą melodyą, którą czyjeś biedne serce skarżyło się wieczornéj ciszy, i słyszała jéj echo dźwięczące na jakiejś strunie własnego serca. Serce to czegoś drżało, gdzieś się rwało, za czémś tęskniło, a wszystkie te jego nieokreślone pragnienia ujmowały się w jedno ostateczne słowo: kochać—ach! kochać... wołały wszystkie nerwy wrażliwéj istoty, upojonéj wszystkiemi czarami letniego wieczoru.

I myśl jéj nieświadomie przeszła od tego pragnienia do prowadzonéj przed chwilą rozmowy. Mężczyzna ośmielił się powiedzieć jéj, kobiecie, która dotąd od każdego słyszała tylko, że jéj oczy nawet z głazu iskry-by wykrzesały — ośmielił się powiedzieć jéj, że w miłość nie wierzy, czyli, że nie dałby sobie głowy zawrócić, nawet gdyby ona tego chciała. Była to rękawiczka rzucona w taki sposób, że nie podjąć jéj nie mogła. Tak, ona powinna przykładnie ukarać zuchwalca za wypowiedziane bluźnierstwo; powinna przyciągnąć go do stóp swoich i dopiéro wtedy, przypomniawszy mu dziś wyrzeczone słowa, odwrócić się z pogardliwym uśmiechem. Przyszło jéj wprawdzie na myśl, że ten przestępca, którego przykładnie ukarać zamierza, był przecież jéj wybawcą, że mu winna wdzięczność za ocalenie życia; ale chwiejne umysły celują zwykle w przeprowadzaniu kompromisów między jakąś zachcianką a skrupułem sumienia. Łatwo więc rozplątała wikłający się motek, tłómacząc sobie w duchu: cóż mu się zresztą złego stanie? Zbudzą się w nim wprawdzie pragnienia, których nie zaspokoi, ale cierpiąc

przez uczucie, uwierzy w jego potęgę, a to mu wyidealizuje przekonania, uszlachetni poglądy i zostawi na całe życie miłe wspomnienie, choć jednéj poetycznéj karty w rachunkowéj księdze jego prozaicznéj młodości. Rozstrzygnąwszy kwestyą w ten sposób, zaczęła sobie szkicować plan przyszłego postępowania, czyli — mówiąc dobitniéj — bałamucenia Adama, i kreśliła jego kontury z zamiłowaniem wrodzonego talentu a łatwością nabytéj wprawy, lubując się szczegółami tego obrazka tak, jak przed chwilą wonią kwitnących lip i echem smutnéj piosenki.

Adam, idący obok zamyślonéj pani, myślał także o niéj, i był także podrażniony. Z uniesienia, z jakiém mówiła o miłości, wywnioskował, że ideał jéj marzeń jest obecnie wcielony w jakąś rzeczywistą postać, a przypuszczenie to psuło mu humor. W podobnym wypadku każdy prawie mężczyzna, tak wierzący w anielskość niewieścią marzyciel, jak zimno rozbierający *das ewig weibliche* krytyk, jest podobnym, przepraszam panów za trywialne porównanie, do owego pudla z bajki, co leżąc na sianie warczy na krowę, chociaż sam siana nie jada. Niech nawet obojętna komu kobiéta pokocha nie jego, lecz przyjaciela, pierwsze wrażenie, jakie dozna dowiadując się o tém, nie będzie przyjemném. Podobne podłostki psychologiczne odczuwa każde ludzkie serce; tylko szlachetniejsze wnet je precz wyrzuca, a mniéj szlachetne dłużéj zatrzymuje.

Adam nie miał wcale zamiaru ani chęci stać się bohaterem jakiego serdecznego kaprysiku pięknéj pani; ale teraz chęć ta przemknęła mu nagle przez głowę, wskutek przypuszczenia, że taki bohater istnieje. A ponieważ chęci rodzą zamiary, więc i on także zaczął snuć swój planik. Hrabina nie była zdobyczą łatwą; utrudniała sprawę różnica położenia towarzyskiego i przypuszczalny współzawodnik. Ale to właśnie dodawało bodźca energicznéj naturze Adama. Doświadczenie swojéj zręczności i wypróbowanie sił, stanowiło praktyczną stronę eksperymentu, jako ćwiczenia, które się późniéj w jakiém pozytywniejszém zastosowaniu przydać mogło, a przyjemna rozrywka na czas przymusowéj bezczynności była téż rzeczą pożądaną, nie groziła zaś żadném niebezpieczeństwem człowiekowi, który miłości nie brał na seryo. Rozważywszy to wszystko, Adam oddał się kombinowaniu środków, mających zamiar w czyn przeprowadzić.

A Maryjka, o czém myślała? Ta nic nie kombinowała, nie układała żadnych planów, tylko słuchała szmerów i dźwięków, wdychała świeżość i wonie, patrzyła w mrok przejrzysty, lubując się spokojną pięknością usypiającéj natury i miała w sercu głęboką

ciszę, bo zapomniawszy o własném istnieniu, zupełnie zjednoczyła się z przyrodą, rozpłynęła się w jéj wielkości jak kropelka w potoku. Takie czyste rozkosze, całkowicie od swego ja oderwane, pojące jakiémś pięknem zewnętrzném, odrębném, nie zostawiającém w duszy człowieka ani jednéj myśli o sobie samym, są źródłem natchnienia, zapału i poświęcenia. I dlatego to kult piękna jest drugą religią każdéj podniosłéj duszy, a rozbudzenie go w każdéj mniéj podniosłéj, oczyszcza ją i uszlachetnia. O, tak! przypatrujmy się cudom natury i arcydziełom sztuki, wracajmy często do barwnego kwiatka, do wdzięcznego obrazka, na którym z przyjemnością spoczęło nasze oko, ścigajmy myślą myśl wieszcza i artysty, bo lubowanie się wszelkiém pięknem przytłumia subiektywizm, wyprowadza nas po za samolubną sferę osobistych interesów, marnych pragnień i nędznych próżności, odrywa myśl naszę od nas samych, od nieustającego nabożeństwa przy ołtarzu własnéj adoracyi.

Długa lipowa ulica doprowadziła do bramy, splecionéj misternie z żelaznych prętów, zakończonych błyszczącemi ostrzami. Za bramą rozpościérał się obszerny dziedziniec, a właściwiéj trawnik, z klombami krzewów i bukietami kwiatów, porozrzucanemi z umyślném pominięciem wszelkiéj symetryi, co mu nadawało cechę niedbałego wdzięku, umiejętnie naśladującego niewymuszoną prostotę natury. Wysypana zwirem droga, zataczała się wielkim półkręgiem przed pałacyk, bielejący wesoło wśród ciemnéj zieleni drzew. Lekki i zręczny, nie miał on żadnego architektonicznego stylu, a przecież mile wpadał w oko, tak jak te kobiece twarzyczki o nieregularnych rysach, lecz pełne świeżości i wdzięku. Fronton ozdobiony tarczą herbową, opiérał się na sześciu wysmukłych kolumnach, a boczne balkony ginęły w festonach powoi.

Maryjka weszła jednym z tych balkonów do siebie, hrabina poprowadziła Adama schodami głównego wejścia. Wysoki przedsionek o długich oknach z kolorowemi szybami był już oświecony matowym globem lampy, unoszonéj wysoko rękami śpiżowego bożka, białe światło odbijało się od marmurowych płyt posadzki i migotało na stali starych rycerskich rynsztunków, rozwieszonych na ścianach na przemiany z myśliwskiemi trofeami. Salon tonął jeszcze w wieczornym półmroku. Długi, wysoki, miał obicie bronzowe w deseń z ciemnego złota, meble tak samo pokryte i takież draperye, spadające ciężkiemi zwojami grubego adamaszku u drzwi i weneckich okien, a żyrandol, kinkiety, ramy zwierciadeł i wszystkie ozdoby ze starego bronzu, nie przyczyniały się do rozjaśnienia tego przybytku, który robił wrażenie chłodnéj powagi, nakazującéj chodzić na palcach i mówić pocichu. Ale za portyerą drzwi w głę-

bi salonu, odkrywał się czarodziejski światek, nie mający ani cienia feodalnéj wspaniałości. Byłto niewielki salonik, błękitno obity i umeblowany, z błękitną lampą, zawieszoną u stropu na srebrnych łańcuchach. Jedna jego ściana cała oszklona, ukazywała zwrotnikowy przepych cieplarni, w któréj wysmukłe palmy tryskały kaskadami długich liści po nad gąszcz rzadkich roślin, na przeciwległéj zaś ścianie ogromne zwierciadło w kunsztownie rzeźbionych ramach srebrnych, dwoiło w oczach ten śliczny gaik podzwrotnikowy. Wytworny smak widniał w doborze artystycznych pieścideł, których tu było pełno. Wdzięczne obrazki rodzajowe uśmiechały się z oprawy srebrnych liści; na kominku, który sam był starożytném arcydziełem, stały przepyszne bronzy i porcelany, a konsole i gierydony unosiły skamieniałe ideały mistrzów dłuta. W jednym rogu salonika klomb ciemnozielonych liści rozlewał przejmujący zapach; były to same kwitnące cytryny, po nad których gałęzie osypane białym kwiatem, ulatywała alabastrowa bogini, przechylająca lekką postać ruchem wdzięcznéj greckiéj prostoty, a pod nią, wsuwała się w gąszcz wonną fantazyjnie wygięta błękitna kanapka, nizka, miękka i przytulna. Przed kanapką na mozajkowym stoliku leżał przywiędły bukiet polnych kwiatów na otwartej książce i maleńki naparstek, który potoczył się ku rzeźbionéj krawędzi, a rozpoczęty haft jakiś zsunął się ze stolika na wzorzysty perski kobierzec.

Wchodząc w to błękitne gniazdko, owiane jakby lekką chmurką półmrokiem szaréj godziny, hrabina odwróciła się do postępującego za nią Adama.

— To mój kawałeczek nieba na ziemi—rzekła—a oto—wskazała klomb i kanapkę—mój kraj, gdzie kwitną cytryny.

— Ach tam! o, tam! byłoby błogo... — powiedział Adam, i nie dopowiedział końca. Hrabina spojrzała na niego, zsuwając trochę brwi, ale jednocześnie uśmiech przeleciał po jéj ustach.

— Ten marsik — pomyślał Adam — ostrzega mię, że co nagle to po dyable; lecz uśmieszek dodaje, że śmiałym szczęście sprzyja.

— Kończę wiersz naturalnie tylko w myśli—rzekł głośno.

— Naturalnie—potwierdziła — gorące słowa poety nie powinny wymawiać się zimnemi ustami.

Przeszła wzdłuż saloniku i uniosła portyerę, obwieszającą fałdami błękitnych jedwabi otwarte drzwi szklane, przez które wionął świeży prąd wieczornego powietrza. Adam stanął za nią we drzwiach.

Długa werenda przykryta markizą z szarego płótna, biegła wąskim pasem od jednéj kraty oplecionéj dzikiem winem, do dru-

giéj takiéj saméj na przeciwnym końcu. Trzy szerokie stopnie spuszczały się ku tarasowi o lekkiéj pochyłości, po którym kręte uliczki rozbiegały się w głębie klombów, alei i gaików cienistego ogrodu. Tajemnicza gęstwina starych drzew, podesłanych szeroko rozpostartemi krzewami, zamykała widok z prawéj strony, z lewéj zaś kasztany i akacye rozstępowały się, usuwały na boki, zostawiając miejsce tylko obrzuconemu kępami kwiatów trawnikowi, po nad którym wzrok leciał w dal bez końca, na srebrny Horyń, na czarne ruiny sterczące u szczytu skały i na siniejące za niemi w odległéj perspektywie wzgórza.

Dokoła stołu ustawionego wzdłuż werendy krzątała się—zajęta przygotowywaniem herbaty—jedna z tych zasuszonych, obszytych w futerał wąskiéj sukienki istot, co to są do wszystkiego razem i do niczego specyalnie, które zawiadują całą ekonomią domową, nie mając praw władzy ani własności, które słuchają zwierzeń, posiadają tajemnicę, trzymają nieraz w ręku ukryte sprężyny życia swoich chlebodawców, nie mogąc pomimo to wejść z nimi w stosunek poufałéj przyjaźni, które połączone wszystkiemi węzłami swego istnienia ze światem, nie mającym z niemi nic wspólnego, należą doń jako maszyna, nie należą jako człowiek. Takie maszynki do pracowania za próżniaków i słuchania ich zwierzeń, nie robiąc im swoich, bywają zwykle złośliwemi intrygantkami, mszczącemi się skrycie za jawne upokorzenia, a czasem bohaterkami cichego poświęcenia, płacącemi poczciwą psią wiernością za każde łaskawsze obejście i uprzejmiejsze słowo.

Wyfrakowany kamerdyner wszedł bocznemi drzwiami z dżentlmeńsko-automatyczną sztywnością sługi pańskich domów i przesunąwszy się cicho jak cień, postawił lampę na stole. Blask popłynął wzdłuż werendy, i jasno oświecił ugrupowane na jéj końcu trzy ludzkie postaci. Młoda brunetka w ciemnéj sukni, siedziała na nizkiéj ogrodowéj ławeczce pod splotami dzikiego wina, obok niéj stał delikatny szatynek, śliczny jak obrazek, elegancki i wytworny, a trochę daléj rozpiérał się niedbale w bambusowym fotelu mężczyzna w średnim wieku, z twarzą jednostajnéj barwy, o szaro-bladéj cerze i szaro-blond faworytach, z przymglonemi oczami, i piękném, wysokiém czołem. Małe towarzystwo rozmawiało z sobą, ale się widać nie bardzo bawiło, bo brunetka była roztargniona, szatynek melancholiczny, a blondyn znudzony.

Hrabina tedy weszła na werendę. Adam przystanął we drzwiach. Brunetka zerwała się żywo.

— Co się stało?—zawołała, podbiegając ku wchodzącéj. — Konia odprowadził żołnierz, mówiąc, że panie idziecie pieszo, ale nie umiał wskazać, w którą stronę posłać po was.

— To cała historya — rzekła hrabina do wszystkich razem. — Kaprys dostał nerwowego ataku, ja także, Maryjka tylko utrzymała się przy zdrowym rozsądku, który jednak niewiele nam pomógł w tym razie, i niezawodnie byłybyśmy się stłukły jak porcelanowe figurki, gdyby nie nagłe zjawienie się *d'un paladin sans peur et sans reproche*, wskutek czego nastąpiło osadzenie na miejscu rozszalałego rumaka, uspokojenie wylękłych dam, przeprowadzenie ich przez bezdroża pod rycerską opieką; cała bohaterska epopeja. Pan Adam Skrzyński—dodała — mój wybawca, opiekun, a obecnie miły gość. Mój mąż — wskazała na blondyna, który podał Adamowi rękę.— Moja kuzynka—brunetka skinęła głową.— Nasz sąsiad, pan Henryk Zarzecki—szatynek ukłonił się.

— Bardzo panu jestem obowiązany — rzekł hrabia z chłodną uprzejmością do Adama. — Moja żona nie omieszka skorzystać z uratowanego życia, aby najdaléj jutro znów je narazić w jakiéj romantycznéj przygodzie.

— Pani Nina—objaśniła brunetka — lubi swawolne konie, głęboką kąpiel, przeciągi w ruinach i wszystko co wychodzi po nad niwelacyą powszedniości.

— A kosztując niepowszednich wrażeń, pani Nina lubi także karmić niemi życzliwych sobie, wystawiając ich na niepokój.

— Dodajcie państwo jeszcze— rozśmiała się hrabina, — że Janusz, Helenka i pan Henryk lubią rozmaitemi sposobami rozbudzać ducha sprzeczności pani Niny, wywołując przez to właśnie niebezpieczne zachcianki. Ale pani Nina w obecnéj chwili lubi tylko gorącą herbatę ze świéżą bułeczką, i myśli, że te rzeczy podchodzą o tyle pod niwelacyą powszedniości, aby najtrzeźwiejsze umysły nie raczyły niemi pogardzić.

Usiedli przy stole, Maryjka nadeszła także, samowar zaszumiał, aromatyczna para chińskiego ziela zakłębiła się nad saskiemi filiżaneczkami, a rozmowa popłynęła swobodna i ożywiona. Nic tak nie sprzyja wesołéj gawędce, jak te warunki rozmaite, które łączą się z sobą przy wieczornéj herbacie. Jest to pora dnia, w któréj umysł ludzki stoi na kulminacyjnym punkcie swego podniecenia, bo wszystkie drobne wypadki i wrażenia całodzienne naprężyły elastyczność funkcyi mózgowych i przyśpieszyły pulsacyą tętna; więc myśli żywiéj się snują, a słowa łatwiéj płyną, zanim z późniejszym wieczorem nadejdzie ociężałość, którą natura dopomina się odpoczynku. Przytém wesoła reakcya światła po smutnéj szaréj godzinie, ściślejsze skupienie się przy niém osób, które o dziennym blasku nie potrzebują szukać wspólnego jaśniejszego kącika, materyał do rozmowy w zakończonéj już kronice drobnych dzien-

nych wydarzeń, a nawet sama herbata, nie będąca sprawą odżywiania się na seryo jak obiad, lecz raczéj zabawką dla podniebienia, to wszystko razem wzięte usposabia bardziéj towarzysko, daje weselszy humor i chęć a łatwość dzielenia się myślami. A jeśli jeszcze takie kółko siedzące przy herbacie składają ludzie rozumiejący się i sprzyjający sobie, jeśli im nie brak chleba i książki, środków do życia i świeżych pism, téj sieci telegraficznéj, łączącéj cichy kącik z szerokim światem i społecznością ludzką, jeśli dzień im zszedł pożytecznie i nie przyniósł ciężkiego nad powszednie troski zmartwienia, wtedy taka godzinka, spędzona razem na wieczornéj pogadance, jest jedyną prawdziwą rozkoszą życia, rozkoszą zdrową, spokojną, uczciwą, która nasyca serce, nie wstrząsając nerwów, orzeźwia umysł, nie rozgorączkowując wyobraźni.

I mógłby używać tych rozkoszy, dostępnych dla bardzo wielu, każdy rozsądny człowiek, co nie żąda szybki z okna lub krokodyla z Nilu; a jednak... We dworze zazdroszczą świeżości uczuć i serdecznego ciepła dworku, w dworku mówią z westchnieniem o dostatku we dworze, i każdy widzi gdzieś szczęście, w jakiejś innéj sferze, pod czyimś tam dachem, tylko nigdy u siebie... Więc gdzież ono naprawdę mieszka? czy go ludzie zbudować sobie nie umieją, czy nie mają z czego. Podobno najczęściéj pierwsze, często drugie, a podobno zdarza się także, że ten niebieski ptaszek zlatuje na ziemię, ale go ludzie nie dostrzegą, bo nie chwaląc się sobą, siedzi cichutko w jakiémś sercu, które wiele przecierpiało i dla tego małém się zadawalnia.

Zdaje się, że niewiele znalazłoby się szczęśliwych w gronie osób pijących herbatę na werendzie.

Pani Nina była nerwowa i wrażliwa. Każdy z tych warunków pojedyńczo wzięty już może zatruć życie, a kiedy złączą się z sobą, co zwykle bywa, bo jeden z nich wytwarza drugi, wtedy istota, stanowiąca fizyczny punkt ich połączenia, nabiéra zdolności doznawania błogich uniesień, które szybko przychodzą i szybciéj jeszcze odlatują, a traci równowagę wewnętrzną i spokój ducha, bez których nie może być długotrwałego zadowolenia. Nina miewała chwile gorączkowych upojeń, ale bardzo krótkie, a przez resztę czasu trapiło ją rozczarowanie, zniechęcenie i męczący niepokój serca.

Hrabia Janusz prawdopodobnie już nie mógł doznawać gorączki żadnych wrażeń. Matowe jego oczy wyrażały przesyt, nudę i doskonałą na wszystko obojętność, która nie była przecież wynikiem apatycznego temperamentu, lecz późniejszym nabytkiem, bo czoło jego nosiło ślady minionych burz. Na twarzy téj wypisane było czytelnym charakterem: już mi się żyć nie chce.

Młoda brunetka, panna Helena, miała usta zagięte ku dołowi sarkastycznym uśmiechem. Taki uśmiech może przywrzéć do ust tylko wskutek długiego ciągu doznawanych goryczy, szarpiących ukrytemi burzami duszę, w któréj nie ma pobłażania ani cierpliwości. Ironia jest zewnętrznym wyrazem ciągłego wewnętrznego buntu przeciw ludziom, światu i warunkom życia; ona tłumi wybuchy kipiącego w sercu gniewu, aby go powoli przesączać w pogardliwe szyderstwo. Pogodzeni z losem, stoicy i prawdziwi chrześcianie, nie miewają nigdy sarkastycznego uśmiechu.

Pan Henryk wyglądał jak flakon musującego wina. Widocznie zakochany w Ninie, starannie to ukrywał i tém właśnie zwracał uwagę, że zanadto usiłował ją odwrócić. Ciągły niepokój wewnętrzny wstrząsał mu nerwy, malując delikatną twarzyczkę to na biało, to na różowo, i nadawał ślicznym oczom niebieskim wyraz cierpienia; widać uczucie, którego doświadczał, nie uszczęśliwiało go wcale.

Niech sobie co chcą mówią zwolennicy wolnéj miłości, a przecież prawdą jest, doświadczeniem wielu stwierdzoną, że miłość tylko wtedy prawdziwie uszczęśliwić może, kiedy nie jest wolną, kiedy ją uszlachetnią społeczne i religijne prawa, zmieniając namiętność w obowiązek, to jest modyfikując gwałtowność wzruszeń spokojem serca i sumienia. W przeciwnym razie, uczciwe instynkty, tkwiące w każdéj jeszcze na wskroś nie zepsutéj duszy, budzą się w niéj co chwila, aby sączyć niesmak w czarę upojenia. A ten niesmak sumienia towarzyszy nietylko czynom, lecz nawet chęciom występnym; bo chęć, jako stanowiąca moralną istotę czynu, jest z nim identyczną, a bezwiedna logika sumienia traktuje wolę złego tak samo, jak zło spełnione; dla tego więc serce opanowane występnemi pragnieniami nie ma spokoju, a więc i szczęścia zaznać nie może.

Twarz Adama była wyrazista, lecz troski życia, snać znoszone z hardą obojętnością, nie wypisały na niéj żadnych śladów cierpienia. Bystre siwe oczy patrzyły badawczo lecz spokojnie, była w nich myśl inteligentna, lecz ciepła uczucia nie było; żadne wrażenie nie zabarwiało żywszém krwi tętnem śniadéj cery i szerokiego czoła, ocienionego spadającemi na nie niedbale czarnemi włosami.

Maryjka miała także spokojny wyraz twarzy, lecz nie był to chłodny spokój obojętności; przeciwnie, ciepło serdeczne promieniało z tych błękitnych oczów, pogodnych jak niezabudki nad zdrojem, co radują się słońcem i rosą, nie pragnąc nic więcéj, cieszą-

cych się życiem jak wielkiem dobrém, którego może używać w pokoju każde serce czyste.

Rozmowa toczyła się tak swobodnie i wesoło w tém kółku złożoném przeważnie z malkontentów losu, jakby nikomu z nich nic nie dolegało nigdy. Wielkiém jest dobrodziejstwem wymaganie téj formy towarzyskiéj, która każe ukrywać przed obcymi zły humor, znudzenie, smutek i wogóle wydatniejsze uczucia. Cóżby to było, gdyby każdy odkrył przed drugimi swoję ranę, i jęczał na to, co go boli? Ulgi niktby w tém nie znalazł, bo jéj nie daje wywnętrzanie się przed obojętnymi, a tylko skwasił by sobie i drugim nawet te krótkie chwile, w których uciekając od samego siebie, człowiek szuka zapomnienia trosk swoich w towarzystwie innych ludzi, i bardzo często rzeczywiście zapomnienie znajduje. Bo serce potrzebuje samotności i ciszy, aby poić się żółcią; wielkie tylko boleści niczém przytłumić się nie dają,—lecz te powszednie smutki i zgryzoty dźwięczące fałszywą struną w każdym akordzie życia, tak cichną przy zewnętrznym gwarze, jak płaczące dziecko zabawione grzechotką.

Rozmowa na werendzie ożywiała całe towarzystwo, bo pani Nina posiadała dar uogólniania jéj, właściwy kobiétom światowym, chociaż i między niemi już coraz rzadszy. Przelatywano z przedmiotu na przedmiot, dotykając lekko kwestyi głębszych, podnosząc dowcipem płytsze, unikając znudzenia takiém urozmaiceniem tematów, że chociaż każda myśl wychodziła z poprzedniéj jak kółko w łańcuchu, lecz miała swoję odrębność, i do jeszcze odrębniejszéj prowadziła. W taki więc sposób mawiano o wypadkach dnia i nowościach literackich, o miejscowych ploteczkach i europejskiéj polityce, o modach i muzyce, o sztukach i gospodarstwie; rzucano przytém psychologiczne spostrzeżenia, przekonania moralne, osobiste poglądy i naukowe zdania; ale to wszystko było starannie poobwijane w różnokolorowe papierki dowcipu, aby utrzymać się na równéj odległości między pedanteryą a nieuctwem. Żart i dowcipkowanie odejmowało zbytnią powagę ważniejszym kwestyom,—wykształcenie zaprawiało atycką solą lekkie żarty i dowcipy.

Taka zabawka w rozumowanie, muskające z uśmiechem najgłębsze zadania, na które George Sand wymyśliła trafny określnik „*philosophailler*",—spotyka się dziś prawie zawsze w każdéj inteligentnéj sferze. Rzadko usłyszéć można dysputę na seryo; miejsce jéj zajęła lekka dyskusya, która robi *bons mots* z filzooficznych zagadnień, a eleganckie frazesy z naukowych teoryi, jakby wykrawując modną tualetę z klasycznéj tuniki. Nie myślcie przecież, moi państwo (do czytelników), że ja się oburzam na podobny sposób

prowadzenia rozmowy, że go potępiam bezwarunkowo. Broń Boże! Niech myśliciel i uczony przemawia z kapłańskiém namaszczeniem; a my, pospolici śmiertelnicy, gwiżdżmy sobie zlekka arye wielkich oper, jeśli ich zaśpiewać dobrą metodą nie potrafimy,—gawędźmy wesoło choćby o rzeczach poważnych, gwoli wypoczynkowi serca i umysłu,—tylko żartujmy ostrożnie, bo są tematy, na których tle nie godzi się dowcipkować, a my się dziś wszystkiém bawimy.

Po herbacie, Nina zeszła na stopnie werendy.

— Co za noc!—rzekła, oddychając mocno. Prawie żyć miło...

— Prawie?...—zapytał przeciągle Henryk.

Nie odpowiadając mu, zwróciła się do całego towarzystwa:

— Stwierdzamy na sobie w téj chwili—rzekła, przypowieść o perłach rozrzucanych przed kury, które wolą jęczmień: tam księżyc tak pięknie świeci, a my tu siedzimy przy mdłéj lampie. Myślę że wspólna przechadzka po parku nie będzie chyba żadną awanturniczą wyprawą? *Qui m'aime—me suive*!

Zbiegła ze schodów na taras, a za nią reszta towarzystwa. Szli najpierw razem, szeroką aleją ogrodu, ale daléj, na wązkich dróżkach parku, musieli rozdzielić się na pary. Henryk podał rękę hrabinie, hrabia Janusz Maryjce, Adamowi dostała się panna Helena. Wskutek tego rozmowa musiała z ogólnéj rozbić się na trzy części, prowadzone każda przez dwie osoby. Pierwsza para rozstrząsała jakiś epizod ze snu nocy letniéj, druga mówiła o zmianach mających się zaprowadzić w parku, trzecia o kierunku nauk w zakładzie, który Adam ukończył.

A drzewa gawędziły z sobą także, cichym, drzémiącym szeptem, a promienie księżyca kłóciły się z chwiejnemi cieniami drzew, a powiew od morza przynosił plusk fali, odrywającéj kamyk po kamyku ze skały co się wparła w jakiś zakręt rzeki. Natura w objęciach mgły i cienia rozmarzona, rozespana, szeptała przez sen jakieś tajemnicze słowa, które tylko rozkochane serce rozumiało, z pomiędzy kołyszących się lekko gałęzi zalotne mruganie gwiazd kapało srebrnym deszczem,—głęboki spokój owiał wszystko dokoła rozkosznném omdleniem letniéj nocy. Na kawałku nieba między dębem i brzozą przesunęła się spadająca gwiazda.

Henryk rzekł do swojéj towarzyszki.

— Nasz lud wierzy w spełnienie się życzenia zrobionego w chwili przelatywania meteoru. Włożyłbym chętnie sukmanę, gdybym wiedział, że mi z nią przyjdzie ta wiara...

— Cóżby pan zyskał na wierze—odrzekła, jeśliby nie sprawiła cudu?

— Nie wymagałbym wcale cudu. Moje życzenie żądałoby tylko konsekwentnego wyniku stanu rzeczy.

Zamilkł—i ona milczała; więc po chwili dodał:

— Pani mię nie zapyta, czegobym życzył?

— Nie koniecznie trzeba pytać, żeby wiedziéć,—odpowiedziała z uśmiechem.

— Pani to wié przez domyślność tylko, czy téż przez odczuwanie?

— Jak pan rozumié to ostatnie?

— Tak jak oddźwięk jednéj nuty na drugiéj strunie.

— Niech pan nie przeciąga struny, bo pęknie....

— Zawsze to samo!—zawołał żywo. Niech już raz pęka, to wolę... Dlaczego pani pozwala iść w pewnym kierunku, żeby przy samém wejściu zamykać furtkę?

— Bo za furtką urwisko...

— Więc jeśli kto niéma dosyć odwagi, aby skoczyć ze skały, dlaczego staje na pochyłości, i iść tam za sobą pozwala?

— Dlatego, żeby spojrzéć choć przez okno w zaczarowany pałac, do którego wejść nie wolno.

— Nie wolno? Dlaczego niewolno? Wszak tu wola pani wszystko stanowi?

— Moja wola kontentuje się dotąd patrzeniem przez okno.

— Dotąd... a późniéj?

— Późniéj...—któż odgadnie zagadkę przyszłości?...

— Pani odgadnie, i mnie powié.

— Może powiem, a może nie powiem. To zależy.

— Ale moje życie od tego zależy!

— Przypomina mi pan tę rozmowę między francuzem i anglikiem: „nie mogę żyć bez twojéj córki, milordzie!“ „to nie żyj pan“.

— Czy to ostateczne i stanowcze słowo?

— Niech panu na to własna intuicya odpowié. Mówił mi pan tyle razy, że mam za mało stanowczości, że dziś mówię tak, a jutro nie; może to prawda...

— Pani się mną bawi, jak dziecko wróblem na nitce!

— I ja jestem wróblem na nitce... nieraz chciałabym urwać się, i uleciéć w błękity szczęścia, do téj ojczyzny serca, za którą ono tak tęskni na wygnaniu; ale mam na to za mało stanowczości...

— Znowu mówi pani tak wiele i tak mało, jak zawsze. Tyle żeby pozwolić się czegoś domyśléć, lecz w taki sposób żeby domysłu nie upoważnić. A ja nie mogę już dłużéj skakać jak piłka od nadziei do zawodu, i naodwrót. Niech co chce będzie—musi mię pani wysłuchać i raz przecie kategorycznie odpowiedziéć.

— Więc słucham.

— Pani jesteś zachwycającą—któżby temu śmiał przeczyć? ale dlatego nie byłbym stracił głowy, gdyby mi jéj rozmyślnie nie zawracano. Pani mię wołała—więc przyszedłem,—i mam prawo zapytać po co mię wołano,—mam prawo wymagać, żebyś się pani przyznała do okrutnéj zabawki w kokieteryą na zimno, albo odpłaciła mi tą samą monetą jaką mi wzięłaś. Za serce—żądam serca, i mam słuszność za sobą, bo kto pożyczył, powinien oddać, albo wyznać bankructwo—brak serca.

— Pan był szczerym—teraz na mnie kolej. Nie jestem zimną kokietką, bo mam na to zawiele ciepła w sercu. Nie gram komedyi uczuć, bo ich rzeczywiście doznaję. Jeśli wołam, to wtedy kiedy sama chciałabym wybiedz na przeciw; a jeśli zrobiwszy parę kroków naprzód, znów się cofam, to może dla tego, że mam za mało odwagi, a może... może za wiele moralnego instynktu... Zresztą—nie myśl pan, że ja sama siebie rozumiem... pan mnie nazywasz Sfinksem, lecz ja nim jestem bardziéj jeszcze dla siebie niż dla kogo... Serce jak morze... fala pędzi śpieniona do brzegu, rozbija się, i wraca skąd przyszła, a zwierciadło wody leży znów ciche i nieruchome, dopóki go druga fala nie rozkołysze... Tak i w moich piersiach wzbiera fala uczuć, przypływa nie wiem skąd, odpływa nie wiem dlaczego, a ja daję się jednéj unosić na pełne morze, lecz z drugą wracam do brzegu. Niechże mi kto wytłómaczy, gdzie przyczyna porywów i uniesień, albo niechęci i zobojętnienia, którym poddając się z kolei ściągam na siebie zarzut komedyi uczuć, kiedy ja tylko właśnie szczerze okazuję te, które w danéj chwili odczuwam. Że z jakimś prądem wewnętrznym płynę na głębie, lub osiadam na mieliźnie,—czy moja w tém wina?

— Wina jest w tém, że sama płynąc z prądem, pani drugich ciągnie za sobą.

— Niech nie płyną.

— Ależ ja chcę płynąć, chcę utonąć z panią, tylko nie chcę już osiadać na mieliźnie! Niech już raz wiem na pewno—czy kochasz mię pani?

— Nie zrozumiemy się nigdy... przecież wyraźnie mówię, że jeszcze nie wiem tego sama, że jedna chwila przynosi mi tęsknoty, pragnienia, marzenia—a druga to wszystko ściera, zostawiając pustą białą kartę...

— Więc ja chcę wiedziéć, co w obecnéj chwili na téj karcie napisane!—zawołał żywo, prawie gwałtownie. Ona rozśmiała się.

— Ja chcę?—co za ton dyktatorski! a ja właśnie nie chcę, i nie powiem nic, lub chyba to tylko, że może właśnie w téj chwili ktoś starł na téj karcie napisane własne imię... Jestem *mimosa sensitiva*—zamykam się przed szorstkiém dotknięciem.

— Więc fala odpłynęła, i jesteśmy na mieliźnie?—rzekł ironicznie.

— Wróciliśmy do punktu wyjścia, okrążywszy zaczarowane kółko,—odparła śmiejąc się. Patrz pan, jak księżyc płynie po rzece „nabijaną światłem drogą“—dodała, stając na wzgórzu nad wodą; i zaczęła rozmawiać z resztą towarzystwa, które nadszedłszy, zatrzymało się także.

Wypowiedziano kilkanaście frazesów o piękności miejsca i grze światłocienia, poczém nastąpił odwrót w poprzednim porządku. Nina trzymała teraz rozmowę ze swoim towarzyszem w ścisłym zakresie przedmiotów obojętnych, zostawiając mu w niéj miejsce ledwie na monosylaby, żeby nie mógł wrócić do poprzedniego tematu. Raz tylko, kiedy podniosłszy głos, zwróciła się z zalotną uprzejmością do Adama, mówiąc, że zrobi dla niego specyalnie nową wycieczkę do parku, aby w dzień pokazać mu lepiéj wszystkie piękności tego labiryntu, w którym będzie jego Ariadną, Henryk rzekł ironicznie:

— Czy Ariadna doprowadzi go także tylko do furtki labiryntu?

— Więc pan przypuszczasz—odparła, że taka Ariadna mogłaby zajść daléj z takim Tezeuszem?

— Nie robię przypuszczeń; tylko, jeśli mam wierzyć wszystkiemu, co pani przed chwilą mówiła, wnioskować muszę, że i obecna kokieterya nie jest zabawką, lecz porywem uczucia.

— Porywem uczucia! *où le sentiment irait-il se nicher*!

— Dylemat bez wyjścia: ani fałsz — ani prawda; więc cóż to jest?

— Może sprawiedliwa Nemezys, mszcząca się za cały ród niewieści. *Imaginez*—że tém młodzieniec śmié w miłość nie wierzyć!

— A! więc pani podjęła wzniosłe zadanie nawrócenia go na tę wiarę?

— Nie podjęłam jeszcze; ale gdyby tak było, pan znówby mię nie zrozumiał, biorąc apostolstwo za kokieteryą.

— Co za szczytne poświęcenie się dla idei!

— Co za dziwaczne branie farsy *au tragique*! Zastanów że się pan raz rozsądnie: jabym na tém nic nie straciła, a on wieleby zyskał—co najmniéj ogładziłby się—*le pauvre garçon est si gauche!*

I mówiła daléj o tym biédnym chłopcu z takiém lekceważeniem i umyślną przesadą w żartowaniu z jego mniemanych śmieszności, że Henryk zupełnie odzyskał dobry humor i zapomniawszy o podnoszonym przed chwilą buncie przeciw tyranii czarodziejki, powrócił znowu do stanowiska wróbla uwiązanego na jéj włosku.

Kiedy hrabina podniosła głos, zwracając się do Adama, hrabia usłyszał jéj słowa i rzekł do idącéj z nim Maryjki:

— Zdaje się, że Nina ma dosyć ananasów i chce orzeźwić sobie podniebienie leśném jabłkiem.

Maryjka oburzyła się.

— Zawsze pan patrzy przez okopcone szkiełko i widzi wszystko czarniejszém niż jest!

— Widzę tylko, że Nina jest lekkomyślną kokietką; w tém chyba nie ma mego uprzedzenia, bo wszyscy to samo znajdują.

— Wszyscy! któż to wszyscy? tłum obojętnych, dalekich, często nieżyczliwych, którzy sądzą z pozorów, bo nie mają dosyć bystrości, a choćby sposobności, aby wejść w głąb duszy ludzkiéj.

— Ależ ja znam Ninę przecie.

— Znać, to nie znaczy przeżyć z kim czas jakiś; znać to rozumiéć.

— Jakże ty ją rozumiész?

— Rozumiem ją, jako istotę o wydelikaconéj do zbytku subtelności uczucia. Podległa ciągłym porywom serca, nie ma dość mocy ducha, aby je przytłumić w sobie, lub skierować gdzie potrzeba, więc wymarza ideały, szuka bratnich dusz, zawodzi się na nich i przechodzi do innych, aby zawieść się znowu. A ludzie ten szereg smutnych omyłek, biorą za zimną i wyrachowaną kokieteryą!

— To, co mówisz, nie zgadza się z twojemi zasadami. Wszak podług ciebie, żona powinna być wierną, niezależnie od tego czy kocha męża i czy jest kochaną?

— Hrabina nie złamała wiary; jestem pewną, że nikt nigdy nie zbliżył ust do jéj twarzy.

— Więc flirtowanie nie sprzeciwia się obowiązkom żony?

— Podług mnie, sprzeciwia się im bardzo; lecz nie każda ma to przekonanie, a sędzia sprawiedliwy nie na czyn patrzy, lecz na pojęcie o nim. Hrabina nie ma za występek tego, co nazywa związkiem dusz i sympatyą serc, więc nie jest winną nawet wobec najskrupulatniéjszéj ze wszystkich religii, która mówi, że nieświadomość grzechu nie czyni. Doszliśmy już przecie do tego, że w procesach kryminalnych wyprowadzamy okoliczności łagodzące z psychologicznych danych oskarżonego; bądźmyż konsekwentni, zastosowując do wszystkich te same uwzględnienia.

— Więc pewnie znajdujesz Ninę godną nietylko pobłażania, ale nawet litości?

— Naturalnie: żal mi niespokojnego ducha, który miotając się w klatce, sam wyrywa sobie własne piórka.

— Pociesz się tém, że lekkomyślne istoty cierpiéć nie mogą; cierpienie potrzebuje poważnego skupienia ducha, a Nina jest przecież prawie zawsze wesołą.

— *Souvent on se hâte de rire, pour ne pas se mettre à pleurer.* Skoro umysł rozgorączkowany, rozdrażnione czémś nerwy potrzebują wybuchnąć, wybuchają śmiechem, gdy łzami nie wypada; można przez całą noc bezsenną skupiać myśl wkoło jakiegoś bolesnego punktu, a przez cały dzień odurzać ją drobnemi przyjemnościami. Jak nędzarz rozpija się, aby zalać robaka, tak ludzie innéj sfery często rozbawiają się w tym samym celu. To tylko kwestya wrażliwości temperamentu i słabości charakteru. Niech mi pan wierzy, że hrabina dla tego za wiele się bawi, bo ma smutne serce.

— Przez imaginacyą.

— To nie zmienia rzeczy; czy przyczyna cierpienia jest wymarzona, czy rzeczywista, cierpienie jednakowo boli. A przytém, nie zawsze jest mrzonką, co się nam być nią wydaje. Prostaczek doświadczający realnych przykrości, śmiałby się z filozoficznych cierpień myśliciela, co nie dowodzi przecież, żeby były fikcyjnemi. Tak samo analizie myśliciela wymykają się niektóre drgnienia kobiecego serca, dlatego, że ich przyczyna nie wydaje mu się logiczną.

— Jeśli tak usprawiedliwiasz innych, powiédz mi, czy w położeniu Niny postępowałabyś tak samo?

— O, nie, nigdy! nigdy! Dla mnie nie byłoby okoliczności łagodzących winę, bo mam mocne nerwy, silną wolę i zdrowy chłopski rozsądek. Moje pojęcia są nakreślone liniami prostemi, nie gnącemi się w arabeski sofizmatów, więc po nich prosto chodzić muszę. Dla mnie mały grzeszek hrabiny byłby wielkim występkiem, wychodząc zawsze z téj zasady, że wielkość winy jest proporcyonalną do sposobu widzenia i zasobu energii winowajcy. To téż mam nadzieję, że ze mnie świat i życie nie zrobią tego, czém być nie chcę, gdy tymczasem z niéj każdy mógł co chciał zrobić. O! jaka szkoda, że ten miękki materyał nie dostał się w ręce takiego mistrza, który zadałby sobie pracę zrobienia z niego arcydzieła!

— Widzę z tych słów, że całą odpowiedzialność za postępowanie Niny składasz na moje barki. Myślisz, choć przez delikatność nie domawiasz tego, że do mnie należało utrzymać porywy jéj serca przy domowém ognisku, i nie dać mu zapragnąć innego szczęścia, uszczęśliwiając swojém przywiązaniem. W teoryi masz słuszność; w praktyce—różnie bywa... Posłuchajże jak było, i osądź: Pobraliśmy się z przywiązania; małżeństwo nasze było pod każdym

względem dobrane, i zgadzaliśmy się we wszystkiém, prócz w jedném tylko — w sposobie pojmowania uczucia. Ona kochała wyobraźnią i nerwami, ja sercem i rozumem, głęboko, ale bez zapału świeżych uczuć, których nikt z nas już dziś, żeniąc się, do małżeńskiéj spółki nie przynosi. Po bardzo niedługim czasie, mnie znużyły jéj kapryśne i fantastyczne uniesienia, ją zanudził mój umiarkowany spokój. Chcąc zbudzić w mężu tragicznego kochanka, zaczęła drażnić moję zazdrość, i dokazała tego, ale tylko w połowie, bo doznając zazdrości, tłumiłem ją w sobie, aby jéj nie zrazić brakiem szacunku i zaufania. No, i nie zrozumieliśmy się... Ona, biorąc ufność za obojętność, wynagradzała to sobie rozbudzaniem miłości gdzie się dało, ja zrażałem się tém coraz bardziéj i doszedłem powoli do tego, że już mi dziś wszystko jedno. Niech się bawi, jak chce; wiem, że zachowa formy przyzwoitości, bo ją do tego wychowaniem wdrożono, więc cześć moja wyjdzie cało przed światem, o resztę mi nie idzie, *et tout est perdu*, *sauf l'honneur*...

— Czemuż nie było pomówić z nią otwarcie, porozumiéć się jakoś?

— Próbowałem, ale widać za późno, bo mi powiedziała, że już mnie nie kocha, i że zgasłéj iskry nie rozdmucha, choćby chciała. Mówiła, że w jéj sercu fala uczuć przypływa i odpływa niezależnie od jéj woli, więc ona temu nie winna, i nic na to poradzić nie może.

— Musiała przecież bardzo cierpiéć, nim ta fala odpłynęła.

— A ja?... Może myślisz, słysząc jak spokojnie i obojętnie o przeszłości mówię, że zawsze wszystko spływało po mnie, jak woda po kamieniu? Dziś już spływa, ale kamień nim zastygł, był lawą... I ja wiem co to walki i burze wewnętrzne, niepokój ducha, zawody i złudzenia... Znałem już je nawet dosyć, kiedym się żenił z Niną. Już wtedy byłem trochę rozczarowany przez życie, trochę przesycony światem, zniechęcony do ludzi, a wskutek rozmaitych wpływów nastrojony o tyle sceptycznie, że zacząłem już wszystkiemu niedowierzać, jak dziś każdy, co żył, czuł, myślał i czytał. W jedno jeszcze wierzyłem bez krytyki, w serce kobiéty i jego wpływ zbawienny na męskiego ducha. Gdybym był znalazł takie, któreby chciało i umiało stać się wzmacniającém lekarstwem na tę anemię moralną, którą we mnie, jak w tylu innych, rozwinęły obecne prądy myśli i warunki bytu, życie poszłoby inną koleją... byłbym sobie teraz zdrowym, rozsądnym szlachcicem, który szczerze się śmieje i pożytecznie pracuje, zamiast jak dziś, roznerwowanym i zgorz-

kniałym próżniakiem, co zbiéra numizmaty i studyuje Schopenhauera dla zabicia resztek świadomości...

— Mnieby się zdawało, że bolesne zawody życia nie powinny poważniéj myślącego człowieka pogrążać w obojętną apatyą, lecz przeciwnie, zwrócić umysł jego do szukania pociechy w czynie, w pracy, w oddaniu się jakiemuś pożytecznemu celowi.

— Zapewne; ale nie bierzesz tego w rachunek, że jedna przyczyna w różnych naturach różne wywołuje skutki. Cierpienie silniejszych hartuje, słabszych łamie. Wszak Ninę usprawiedliwiasz, choć także miała zamało mocy ducha, aby pocieszać się nie zabawą lecz pracą: a przecież i ja byłem w podobném z nią położeniu. I mnie wychowano powierzchownie, nerwy rozpieszczono, przekazano dziedzicznie delikatny organizm i słabą wolę. W takich warunkach niezadowolenie z życia prowadzi zwykle kobiétę do odurzania się czém można i nie można, mężczyznę zaś do bezczynnego rozmyślania nad ujemnemi stronami bytu. Rozmyślałem téż, rozgoryczałem się coraz bardziéj własnemi myślami, czytałem przytém dużo, a że najłatwiéj trafia do przekonania co się najbardziéj zgadza z usposobieniem chwili, więc filozofia rozpaczy padła w moim umyśle na dobrą rolę; rozpiłem się pesymizmem, i dziś już choćbym chciał, nie oderwę ust od tego kieliszka, bo mi się zdaje, że może w nim jednym prawda na dnie... Tak, nie ma chyba prawdziwszéj prawdy nad tę, co się eksperymentalnie sprawdza co chwila, że wszystko jest niczém, że żyć nie warto, że jedynym rozsądnym celem bytu, dążenie do niebytu, że jedyném dobrem — nirwana.....

— O, niech pan tak nie mówi! niech pan tak nie myśli! Czemuż ja nie mogę dać panu choć trochę téj mojéj prostéj wiary, która nie potrzebuje rozumować, bo czuje, nie wątpi, bo kocha, nie dopuszcza do rozpaczy, bo jęk jéj tłumi głosem obowiązku!... Czemuż ja nie byłam wtedy na jéj miejscu!...

Janusz pochylił się ku niéj i spojrzał w oczy w których łzy błyszczały. Ona spostrzegła, że ją współczucie za daleko uniosło, że w dziewiczéj niewinności swojéj, powiedziała za wiele, i szybko odwróciła głowę. Ale on wziął ją za rękę i rzekł wzruszonym głosem:

— Maryjko, posłuchaj mnie jeszcze: głęboki sceptycyzm ma to w sobie, że wątpi nawet w pewność zwątpienia; ja w téj chwili nie dowierzam zupełności mojéj niewiary, bo wierzę w ciebie, i może uwierzyłbym jeszcze na nowo w życie, w szczęście w przyszłość, gdybyś tylko ty tego chciała... Czy mnie rozumiész?...

— Nie, nie rozumiem — rzekła żywo, wysuwając rękę z pod jego ramienia. — Rozumiem tylko, że pesymizm nie przeszkadza pozostać uczciwym człowiekiem...

On powiódł ręką po czole, i zamilkł. Po chwili rzekł spokojnym, chłodnym, jak zwykle tonem:

— Dziękuje ci, moje dziecko, żeś mnie nie chciała zrozumiéć. Niech gaśnie ostatnia iskra w popiele, skoro znajdujesz, że tak być powinno... Ja cofam moje słowa, a ty wróć mi swój szacunek.

Podał jéj znów ramię, które ona przyjęła, ale już żadne z nich nie powiedziało więcéj ani słowa.

(*D. c. n.*) *Julia Terpiłowska.*





NOWSZE POGLĄDY

NA DZIEDZICZNOŚĆ I ZMIENNOŚĆ ISTOT OŻYWIONYCH.

Przed dwoma laty, w tomie 3-im niniejszego pisma z r. 1887 (str. 387—413), zamieściłem dosyć szczegółowe sprawozdanie z poglądów niektórych badaczy na źródło dziedziczności i zmienności u istot ożywionych.

Treść tych poglądów jest następująca:

Według Karola Darwina i Brooksa, dziedziczność ma polegać na tém, że produkty płciowe samcze i samicze (nitki nasienne, pyłek kwiatowy, jajka) są wyciągiem całego organizmu rodziców, oraz jeżeli nie wszystkich, to przynajmniéj bardzo wielu dawniejszych przodków, gdyż każda cząstka wszelkiéj istoty żyjącéj, wydziela ziarnka czyli zalążki, gromadzące się w pierwiastkach płciowych, a następnie wytwarzające nowego osobnika. U tego ostatniego, każda, choćby najdrobniejsza cząstka ciała, powstaje z zalążków wydzielonych przez taką samą część ciała dalszych lub bliższych przodków. Jest to zasada teoryi p a n g e n e z y, która upadła już z powodu oczywistéj niemożliwości gromadzenia się niesłychanie licznych zalążków w tak drobnych utworach, jak pierwiastki płciowe, a właściwie tak drobnych, jak ich jądra.

Nägeli, w ciele roślin i zwierząt, jako téż w ich pierwiastkach płciowych, rozróżnił dwie składowe substancye czyli plasmy: plasmę o d ż y w c z ą czyli s o m a t y c z n ą, służącą do podtrzymywania życia danego osobnika i i d i o p l a s m ę, tj. plasmę rozrodczą, w któréj są nagromadzone wszystkie właściwości i znamiona gatunku; jest to więc materyalna podstawa dziedziczności.

Podczas rozwoju osobnika, idioplasma nagromadzona w jajku rośnie, aż do chwili wydania płodu, poczém rośnie daléj w młodym osobniku, rozpościéra się po jego ciele i przybiéra charakter plasmy somatycznéj, a następnie po zupełném ukończeniu rozwoju

osobnikowego, ta ostatnia plasma znowu zamienia się na idioplasmę, zawiérającą wszystkie właściwości i zdolności gatunku. Tak więc, według Nägelego, odbywa się obieg plasmy, gdyż idioplasma zamienia się na plasmę somatyczną, a ta znowu na idioplasmę. Ponieważ ze spostrzeżeń E. van Benedena i E. Strasburgera, okazuje się, że w zapłodnieniu biorą udział same tylko jądra, które tém samém są jedyném siedliskiem dziedziczności, przeto są one też jedyném siedliskiem idioplasmy.

August Weismann wystąpił przeciwko obiegowi plasmy tj. przeciwko przechodzeniu idioplasmy z plasmę somatyczną i na odwrót, a natomiast rozwinął własną teoryą j e d n o c i ą g ł o ś c i p l a s m y r o z r o d c z é j. Mianowicie zaś, według niego, podczas rozwoju każdego osobnika pewna, maleńka część plasmy rozrodczéj bez zmiany przechodzi na potomka i głównie gromadzi się w jego pierwiastkach płciowych, lecz może być domieszana i do innych komórek ciała. Pozostała część plasmy rozrodczéj zamienia się podczas rozwoju osobnikowego na plasmę somatyczną, która już nie może zmienić swego charakteru i w żadnym razie nie może przeobrażać się na rozrodczą.

Wymienieni badacze rozmaicie się też zapatrują na przyczyny zmienności.

Karol Darwin i Brooks przyjmują dziedziczność zmian, nabytych przez rodziców podczas ich życia osobniczego, czy to skutkiem wpływu zewnętrznych warunków bytu, czyli też wzmożonéj wprawy lub bezczynności pewnego organizmu.

Nägeli, ze względu na rośliny, lekceważy bezpośredni wpływ warunków bytu (pomiędzy innemi pokarmu i klimatu), lecz co do istot niższych, ciągle według niego powstających drogą samorództwa, oraz co do zwierząt ssących uznaje potęgę tego wpływu, twierdząc np. że zimno, będące wynikiem klimatu, jest bezpośrednim powodem rozwijania się obfitego futra; jest więc w sprzeczności z samym sobą.

Główne źródło zmienności upatruje on w zmianach z p r z y c z y n w e w n ę t r z n y c h, tj. wynikających z własności idioplasmy, a prowadzących do coraz wyższéj organizacyi. Jest to broniona przez niego mistyczna z a s a d a w y d o s k o n a l e n i a. Nadto dużą rolę w zmienności przypisuje on pośrednim wpływom zewnętrznym, czyli b o d ź c o m, tj. wpływom wywołującym oddziaływanie dotkniętego niemi organizmu. Tu należy rozwój kłów i rogów u zwierząt, skutkiem podrażnienia pewnych okolic ciała podczas walki; heliotropizm, geotropizm, hydrotropizm roślin, powstawanie wijących się łodyg i t. d.

Według niego, wybór naturalny jest hypotezą niepotrzebną, ale sam przyjmuje walkę o byt, którą nazywa konkurencyą, oraz zgadza się na istnienie wyboru naturalnego, nie przyznaje mu jednak zdolności wyrabiania i doskonalenia znamion, lecz uważa go za siłę usuwającą jedynie pewne formy, przez co powstają przerwy pomiędzy grupami organizmów.

Weismann, opierając się na wielkiéj stałości znamion, powstaje przeciwko dziedziczeniu własności nabytych podczas życia osobnikowego rodziców i wogóle przodków, wyjąwszy tylko długoletni wpływ ciągle działających zewnętrznych warunków bytu. Według niego, źródłem zmienności jest to, że pierwotne, jednokomórkowe organizmy, rozmnażające się drogą podziału, przekazują potomstwu wszelkie zmiany jakie w nich zachodzą skutkiem działania wpływów zewnętrznych. Tym sposobem powstają osobniki jednokomórkowe rozmaitéj budowy, a gdy w ich potomstwie rozwinie się rozmnażanie płciowe, wówczas niejednakowe osobniki łącząc się z sobą wydają coraz bardziéj różnorodne potomstwo, którego drobne, indywidualne różnice dostarczają wyborowi naturalnemu coraz nowego materyału do dalszego rozwijania i potęgowania odmienności form.

* * *

Streszczone teorye, głównie teorye zmienności, zwróciły na siebie uwagę wielu badaczy, głównie Teodora Eimera profesora w Tybindze, który poglądy swoje szczegółowo rozwinął w obszernem dziele: *Die Entstehung der Arten auf Grund von Vererben erworbener Eigenschaften nach den Gesetzen organischen Wachsens. Ein Beitrag zur einheitlichen Auffassung der Lebewelt.* (Jena, 1888. 8⁰. Str. XII, 461). Streszczenie tego zajmującego, chociaż w ciężką formę ujętego dzieła, stanowi przedmiot niniejszego sprawozdania.

Teorye dziedziczności mniéj zwróciły na siebie uwagę uczonego profesora. Wykazuje on brak podstawy w teoryach Nägelego, sprowadzających się do tajemniczéj siły żywotnéj, która właściwie niczego nie tłómaczy i niczego nie uczy. Teoryą Weismanna jednociągłości plasmy rozrodczéj stara się osłabić uwagą, że plasma rozrodcza nie może być bardzo odmienna od somatycznéj, skoro u różnych istot każdy kawałek ciała może odtworzyć całość organizmu. Jestto szczególniéj widoczne u wielu roślin, lecz zdarza się także u niższych zwierząt. Te fakta mają prowadzić do wniosku, że siedliskiem dziedziczności oprócz plasmy rozrodczéj jest także plasma somatyczna. Wniosek ten upada wobec oświadczenia Weismanna, że plasma rozrodcza może być domieszana do komórek nie bę-

dących w ścisłém znaczeniu rozrodczemi, co tłómaczy nam zdolności rozwojowe różnych części ciała, nawet pojedyńczych komórek somatycznych. Zatém zarzut Eimera w niczém nie osłabia teoryi jednociągłości plasmy rozrodczéj i jéj zasadniczéj różnicy od plasmy somatycznéj.

Rozbiór przypuszczalnych przyczyn zmienności stanowi główną treść w mowie będącego dzieła, temu więc przedmiotowi musimy poświęcić szczególną uwagę, tém bardziéj, że poglądy Eimera odznaczają się wielką oryginalnością i często stoją w sprzeczności ze znanemi poglądami Weismanna.

Zasadą teoryi Eimera jest dziedziczność zmian nabytych przez organizm rodzicielski, skutkiem czego wszelkie tego rodzaju nabytki utrwalają się i prowadzą do powstawania nowych form. Podobnie jak w teoryi Weismanna, głównym dowodem na korzyść teoryi jest jéj zgodność z rozmaitemi i licznemi grupami faktów, które powinna bez naciągania tłómaczyć.

Eimer w następujący sposób rozwija swoje poglądy.

Fizyczne i chemiczne zmiany, na jakie organizm jest wystawiony podczas swego życia osobnikowego skutkiem wpływu otoczenia: światła i ciemności, powietrza, ciepła, wody, wilgoci, powietrza, pokarmu itd., jako też własności samego organizmu, są źródłem rozmaitych przeobrażeń w jego ciele. Jako wzrost osobnikowy autor uważa wszelkie tego rodzaju przeobrażenia dotyczące prawidłowéj, fizyologicznéj, nie zaś chorobliwéj lub przypadkowéj zmiany składu ciała; zmiana jest trwała, albo w ten sposób przejściowa, że przygotowuje dalsze stopnie rozwojowe.

Wzrost może tedy nie pociągać za sobą widocznych zmian, gdyż polega także na zmianach przygotowujących powiększenie objętości ciała, albo nawet polega na samém tylko przestawieniu cząstek, nie prowadzącém do rozrastania się organizmu. Przestawienie składowych cząstek może wywoływać tylko zmianę kształtu, nawet zmniejszenie objętości ciała. Ponieważ wszelki bodziec może powodować zmianę w ułożeniu cząstek ciała, zatém może być przyczyną wzrostu, przeto ten ostatni nie zawsze bywa wynikiem pobierania pokarmów.

Do urzeczywistnienia wzrostu potrzeba dwóch warunków: danego składu istoty żyjącéj (w a r u n k ó w k o n s t y t u c y o n a l n y c h), oraz wpływu zewnętrznych warunków bytu (b o d ź c ó w), do których pomiędzy innemi należy pokarm.

Ponieważ istoty żyjące rozmaitego są składu, przeto bodźce rozmaicie na nie działają, a tém samém istoty rozmaicie rosną.

Ten swoisty skład ciała, nadzwyczaj ważny dla sposobu wzrostu, jest rzeczą odziedziczoną po przodkach, oraz w małéj części nabytą przez daną istotę podczas jéj życia osobnikowego, albo téż jest skutkiem pomieszania płciowego (krzyżowania). Ta mała cząstka wyłączności, wynikająca z tych dwóch ostatnich przyczyn, wytwarza indywidualną zmienność, nadzwyczaj ważną jako główne źródło ciągłego przeobrażania się istot żyjących.

Jeżeli wzrost osobnikowy w znacznéj przynajmniéj części wynika z działania bodźców na plasmę, tedy biorąc pod rozwagę organizm pierwotny, z którego powstały wszystkie późniejsze istoty ożywione, musimy przyznać, że ten wzrost w pierwszéj zaraz chwili musiał się odmiennie ukształtować skutkiem działania bodźców w rozmaitych, odmiennych warunkach. Każdy taki nabytek został odziedziczony, a wybór naturalny spotęgował go. Tak więc wzrost osobnikowy każdego zwierzęcia i rośliny jest krótkiem, raptownêm powtórzeniem wszystkich wpływów wywartych przez bodźce zewnętrzne na plasmę przodków danego osobnika (p r a w o b i o g e n e t y c z n e). Pojedyncze szeregi przodków têm krócéj i niedokładniéj powtarzają się w rozwoju osobnikowym, im są dawniejsze, im mniéj były ważne lub krócéj trwały. Wreszcie, pojedyncze ogniwa mogą zupełnie znikać w ciągu rozwoju, a starsze skracają się na korzyść młodszych. I obecnie najwyższe nawet istoty rozwijają się z komórki, można więc wnioskować, że cały świat organizmów rozwinął się, czyli wyrósł, z pojedynczéj komórki.

Przyczyny wewnętrzne, tj. swoisty skład istot żyjących, mogą wytworzyć takie same własności organizacyi, jak walka o byt. Własności powstałe z przyczyn wewnętrznych nigdy nie mogą być stanowczo przeciwne darwinistycznéj zasadzie użyteczności, ale zresztą mogą być obojętne, nawet szkodliwe, ale tylko w takim razie, jeżeli istnieją obok własności pożytecznych daleko większego znaczenia.

Bądź-co-bądź, pierwszym powodem wytwarzania rozmaitości form świata organicznego są bodźce zewnętrzne, czyli warunki bytu, rozmaite w różnych czasach i miejscach, skutkiem czego ten sam gatunek bywa wystawiony na odmienne wpływy. Ztąd powstaje niejednostajność przeobrażeń fizyczno-chemicznych, a têm samêm wyrabiają się nowe formy życia.

Gdy nowe właściwości, dające się sprowadzić do skutków zmienionego wzrostu, utrwalają się skutkiem ciągłego ich dziedziczenia, a odpowiednia grupa organizmów traci łączność z pozostałemi istotami pokrewnemi skutkiem wyginienia form pośrednich, wówczas mówimy o odrębnych gatunkach. Zatém nowe postaci organiczne,

tj. odmiany i gatunki, są wyrażeniem zmienionego wzrostu. Innemi słowy, powstawanie gatunków podlega tym samym prawom co prosty wzrost; jest ono wynikiem nieskończonego, niejednakowego wzrostu istot żyjących, odbywającego się w zmienionych warunkach, jeżeli tylko następuje trwałe rozdzielenie niejednakowych ogniw świata tych istot.

Rozmaite grupy form świata organicznego są poprostu zbiorami osobników, stojących na rozmaitych szczeblach rozwoju, czy to skutkiem tego, że pewne istoty szybko się rozwijając, wyprzedziły swych towarzyszy, czyli téż że ci ostatni pozostali z tyłu po za innemi. Ostatni ten sposób powstawania gatunków, polegający na zatrzymywania się pewnéj liczby osobników na niższym stopniu rozwoju, gdy tymczasem inne pokrewne istoty daléj się posuwają, nadzwyczaj jest ważny w rozdzielaniu gatunków i otrzymał nazwę *genepistazy*. Odpowiednich przykładów dostarczają niektóre zwierzęta Ameryki północnéj, pod wieloma względami stojące niżéj od pokrewnych, zastępczych zwierząt Europy, jako to renifer starego i nowego lądu (*Rangifer tarandus* i *R. caribou*); niedźwiedź brunatny i niedźwiedzie Ameryki północnéj i środkowéj (*Ursus arctos* i *U. americanus*, oraz *U. ferox*); jeleń właściwy i kanadyjski (*Cervus elaphus* i *C. canadensis*); żubr europejski i bizon, czyli żubr amekański (*Bison europacus* i *B. americanus*).

Wzrost, tj. rozwój rozmaitych skupień, czyli wzrost rodowodowy (*filetyczny*), jest sumą zmian urzeczywistnionych przez wzrost osobników pewnego szeregu. Te zmiany przedstawiają się jako twory, które skutkiem oddzielenia od form pokrewnych występują jako nowe skupienia układnicze.

Odmienność warunków zewnętrznych, tj. bodźców, i konstytucya swoista osobników, w połączeniu z krzyżowaniem (pomieszaniem płciowém) musiała doprowadzić do rozmaitości wzrostu, a tém samém do rozmaitości form, a w razie rozdzielenia jednociągłego łańcucha form organicznych na poszczególne ogniwa, musiała doprowadzić do powstawania rozmaitych gatunków. Tym sposobem można mówić o wzroście gatunków czyli wzroście filetycznym (rodowodowym).

Wzrost osobnikowy każdéj istoty jest więc pewnym stopniem rozwoju filetycznego; oba te wzrosty są właściwie tém samém zjawiskiem i w istocie swojéj rozdzielić się nie dają.

W objawach zmienności daje się spostrzegać pewna prawidłowość.

Rozwój własności, postępujących w danym kierunku okazuje pewne, określone, prawidłowe stopniowanie. Np. rysunek na po-

wierzchni ciała zwierząt często występuje pierwotnie jako pręgi podłużne, potém jako czarna plamistość, następnie jako upstrzenie czarnemi kółkami, w których ostatecznie powstaje czarny środek.

Nowe własności zawsze pojawiają się w pewném miejscu ciała, zwłaszcza z tyłu, i podczas rozwoju osobnika (lub gatunku), posuwają się z wiekiem ku przodowi, gdy tymczasem z tyłu nowe pojawiają się własności; starsze własności mogą z czasem znikać na przedniéj części ciała. (Rozwój falowaty; prawo falowatości. *Gesetz der Wellenförmigen Entwicklung*; *Undulationsgesetz*). Za przykład może służyć wzorzystość skóry jaszczurek, u których z wiekiem rysunki jeden za drugim przesuwają się od tyłu ku przodowi, jak gdyby następujące po sobie fale.

Przedstawiwszy ogólny zarys teoryi, pozostaje mi jeszcze rozpatrzyć wywody autora co do poszczególnych przyczyn zmienności, przyczém zmuszony będę powoływać się na liczne fakta tak dla bliższego wyjaśnienia rozbieranych poglądów, jako téż dla ich uzasadnienia.

B e z p o ś r e d n i e w p ł y w y z e w n ę t r z n e. Jak już nadmieniłem, Eimer uważa wpływy zewnętrzne, czyli bodźce, za najpierwszą przyczynę zmienności, tj. wytwarzania rozmaitych form organicznych, ale koniecznym warunkiem trwałości jest nadzwyczaj długi przeciąg czasu, jak się to okazuje z niesłychanie uporczywego dziedziczenia znamion, chociażby już zupełnie bezużytecznych, czasami nawet do pewnego stopnia szkodliwych.

Doświadczenia Nägelego z roślinami alpejskiemi, które po przeniesiu do tłustego gruntu w ogrodzie botanicznym, monachijskim, uległy zmianie, lecz wysiane na ubogiéj, krzemienistéj glebie powróciły do dawnego stanu,—niczego nie dowodzą, jako prowadzone zbyt krótko i jednostronnie, oraz sprzeciwiające się naturalnemu rozwojowi roślin. Skutkiem nadzwyczaj długiego trwania pewne określone kierunki rozwojowe utrwalają się i dany organizm staje się niejako przygotowanym do zmian w pewnym kierunku. Sztuczna hodowla może dopomagać temu kierunkowi rozwojowemu, a wówczas wywołuje stałe zmiany, które się utrzymują pomimo ustania sztucznego wpływu. Z drugiéj strony, hodowla przeciwna naturze istoty żyjącéj niczego nie może dokazać i po ustaniu sztucznie wytworzonych warunków bytu albo sama hodowana istota, albo jéj potomstwo powraca do pierwotnego stanu. Doświadczenia Nägelego zdają się należéć do téj ostatniéj kategoryi i tém mniejsze mają znaczenie.

Wątpliwości Weismanna co do wpływu zewnętrznych warunków bytu, gdyż plasma rozrodcza jest do tego stopnia wytrzymałą, że nasiona przechowane obok mumii egipskich wydały takie same zboża jak dzisiejsze, a mumifikowane zwierzęta Egiptu nie różnią się od dzisiejszych, nie dostarczają stanowczego dowodu, bo przeciąg czasu mógł tu być niedostateczny do wytworzenia widocznych różnic. Nadto tenże uczony twierdzi, że od owéj epoki dziejów egipskich do dnia dzisiejszego plasma rozrodcza we wszystkich potomkach ówczesnych roślin i zwierząt rozrosła się do nieskończoności nie ulegając zmianom. Otóż trudno pojąć jakim sposobem ta plasma mogła się tak dalece rozróść nie doznawszy wpływu ze strony odżywiania całego zresztą ciała.

Własności nabyte wskutek bezpośrednich wpływów zewnętrznych bardzo są, według zajmującego nas dzieła, liczne.

Powstawanie barwnika zależy od światła i ciepła. W Afryce w miarę zbliżania się do zwrotników ludzie są coraz ciemniejsi, a niedaleko równika mieszkają koczujący Biszari hebanowo-czarnego koloru, których twarz, czaszka i cała budowa ciała jest stanowczo typu kaukaskiego. Dzieci murzynek posiadają jasną skórę, skąd można wnioskować, że przodkowie murzynów jasną mieli skórę, która pod wpływem klimatu ściemniała. Eimer osobiście śledził stopniowe ciemnienie ludzi téj saméj rasy w dolinie Nilu aż do Dongoli, podobnie jak to można uczynić w Europie postępując od Niemiec do Kalabryi.

Powstawanie ciemnéj barwy skóry można wytłómaczyć w ten sposób, że pod wpływem ciepła i światła barwniki osadzają się w skórze skutkiem większego przypływu krwi. Obfitość krwi w pewnéj okolicy skóry może wywołać osiadanie w niéj barwnika bez współudziału światła, np. w brodawkach sutkowych, pod pachami itd.

U gadów z powodu spotęgowania obiegu krwi pod wpłwem ciepłych promieni słońca powstają silne barwy, znikające w zimnie, które wybór naturalny utrwalił w skórze południowych gatunków jako stały, jaskrawy koloryt skóry.

Podrożec (*Arion empiricorum*) jest w wilgotném powietrzu, bardziéj czarny, jako to podczas wilgotnéj pory roku i w wilgotnych miejscowościach. Koło Hamburga także jest ciemny, co należy przypisać wilgotnemu klimatowi morskiemu. Prawdopodobnie dla tego samego powodu koło Bonn i niżéj wzdłuż Renu występuje ciemna, kakaowa odmiana *Helix nemoralis*. Dla téj saméj przyczyny na drobnych wyspach morza Śródziemnego żyje czarna

odmiana jaszczurki *Lacerta muralis*, a motyle są na małych wyspach oceanu Indyjskiego ciemniejsze od form pokrewnych, mieszkających na lądzie. Wzniesienie nad poziom morza także wpływa na ciemniejsze zabarwienie podrożca. Nawet żmija gór, jest ciemniejsza (*Pelias prester*), co się i w Tatrach powtarza, bo na ośm żmij, jakie miałem w ręku, tylko jedna była jasnego, stalowego koloru (*Pelias berus*). Zresztą, jak się zdaje, suchość powietrza może zrównoważyć wpływ wyniesienia nad poziom morza.

Zwierzęta, mieszkające w ciemnościach, bardzo często są bezbarwne, co nie może wynikać z panmiksyi, bo w takim razie powinnyby posiadać rozmaite kolory: zielony, żółty, niebieski lub czerwony. Że mamy tutaj do czynienia z wpływem ciemności, dowodzi zachowanie się proteusza, który jest bezbarwny, jako mieszkaniec ciemnych jaskiń, ale będąc hodowany w świetle, staje się ciemniejszym. Utratę barwnika w ciemnych jaskiniach i wogóle podziemiach ułatwia ta okoliczność, że za młodu wiele zwierząt jest bezbarwnych, np. kiełże (*Gammaridae*), i dopiéro późniéj powstają w nich barwniki; zatém zwierzę będzie bez koloru, gdy te ostatnie rozwinąć się nie mogą. Właściwie w podobnych razach chodzi nie o zanik, lecz o niemożność wytworzenia go.

Wpływ ciepła na rośliny, okazuje się z odmiennego ich ukształtowania w rozmaitych pasach klimatycznych ziemi, a wpływ światła uwydatnia się w kierunku rozrostu łodygi i korzenia (heliotropizm). Niektóre rośliny zwrotnikowe np. *Bougainvilleae* Ameryki południowéj, dla braku światła nie mogą kwitnąć w cieplarniach europejskich.

Zmieniający wpływ klimatu objawia się także w odmiennem zachowaniu osobników tego samego gatunku, stosownie do miejscowości, w któréj je wychowano. Tak mianowicie rośliny wyhodowane w zimniejszym klimacie są wytrzymalsze na zimno i wiosenną porą wcześniéj się rozwijają, aniżeli pochodzące z cieplejszych miejscowości.

W miarę posuwania się ku północy i w górę nad poziom morza, spotykamy kwiaty, liście i nasiona coraz ciemniéj zabarwione. wprawdzie barwność kwiatów podlega wyborowi naturalnemu, gdyż podczas krótkiego lata najbardziéj jaskrawe z pomiędzy nich są największą przynętą dla owadów, które przenoszą ich pyłek i zapewniają krzyżowanie osobników, ale większą barwność kwiatów spostrzegamy w górach, także na roślinach, które będąc hodowane po ogrodach i w oknach domów, nie podlegają wyborowi naturalnemu. Zatém większa barwność kwiatów na północy i w górach wynika z silnego oświetlenia podczas dłuższych, pogodnych dni, i tylko téj okoliczności można przypisać silniejszy koloryt liści.

Rośliny aromatyczne silniéj pachną na północy i w górach, aniżeli na południu i w dolinach. Tak pomiędzy innemi poziomki, wiśnie i jabłka są bez smaku w południowych Włoszech, co może być jedynie skutkiem wpływów klimatu i gruntu.

Klimat zwrotnikowy, niekiedy w bardzo krótkim czasie wywiéra wpływ na rozmaite zwierzęta, zwłaszcza na ich futro, które staje się daleko uboższém. W Indyach wschodnich, nasze psy już w drugiém pokoleniu tracą swoje charakterystyczne znamiona: np. u wyżłów nozdrza ściągają się, a nos zaostrza się, wzrost zwierzęcia maleje, nogi nabiérają wysmukłości. Na wybrzeżach Gwinei, uszy psów stają się wielkie, sterczące, futro nabiéra koloru lisiego a po trzech lub czterech pokoleniach szczekanie zamienia się na wycie.

W Paraguayu, kot zmalał, stał się wysmuklejszy, a jego krótki, ściśle przylegający włos jest krótki i cienki. Nie łączy się on z kotami swojskiemi świéżo z Europy przywiezionemi, a zatém pod tym względem w obec swego europejskiego szczepu, zachowuje się jak odrębny gatunek.

Niektóre zwierzęta, jak skorpiony, wije (*Myriapoda*), owady, gady, są znacznie większe w okolicach południowych aniżeli w umiarkowanych i północnych, co prawdopodobnie zależy od łatwości znajdowania pokarmu. Prawidło nie jest jednak ogólne, pewne bowiem zwierzęta, np. wilki, lisy, zające, są naodwrót w krajach cieplejszych znacznie nawet mniejsze.

Drobny skorupiak *Arthemia salina*, mieszkający w słonych jeziorach, w razie zmniejszenia się stosunkowéj ilości soli przybiéra znamiona słodkowodnego *Branchipus spinosus*, a gdy woda jest w sól bogatsza, stopniowo zmienia się na *Arthemia Milhauseni*, co może się dokonywać w ciągu trzech lat.

W p ł y w p o k a r m u bardzo jest widoczny u niektórych motyli, gdyż odpowiednio do pokarmu dawanego gąsienicy, można wyhodować rozmaicie zabarwione odmiany tego samego gatunku, jak to sprawdzono u *Euprepia caja*, *Eupr. plantaginis*, *Gastropacha pini*, *Melithaea* i *Argynnis*.

Bardzo bliskie gatunki motyli prawdopodobnie tym sposobem powstały, że kiedyś ich gąsienice musiały się przyzwyczaić do odmiennego pokarmu. W rzeczy saméj, gąsienice t. zw. fuksów (*Vanessa polychloros*, *V. xantomelas*, *V. l. album*, *V. urticae*), żyją na rozmaitych roślinach.

W p ł y w t e m p e r a t u r y n a m o t y l e. Motyle tego samego gatunku występują niekiedy w dwóch odmianach, stosownie do warunków rozwijania się poczwarki: jedna odmiana wychodzi z poczwarki, utworzonéj w jesieni i zimującéj (forma zimowa), druga powstaje w poczwarce, która zasklepia się letnią porą i wydaje

motyla w jesieni (forma letnia). Dwa następujące przykłady, wybrane z pomiędzy wielu, rzecz tę wyjaśnią.

Rusałka *Vanessa levana*, mieszkająca i u nas, występuje w dwóch formach: formie typowéj, brunatno-żółtéj i formie czarnéj; tę ostatnią odróżniają jako *Vanessa prorsa*. Pierwsza powstaje z poczwarek, które zimowały, druga z poczwarek rozwijających się w ciągu lata. Na wiosnę pojawia się typowa *V. levana* i wkrótce się rozmnaża, a poczwarki tego nowego pokolenia rozwijają się w ciągu lata i wydają czarną odmianę *V. prorsa*. Zatém ciepło letniéj pory roku wpływa na powstawanie i osadzanie się ciemnego barwnika. Sztuczna hodowla przypuszczenie to potwierdziła. Zimowe poczwarki, hodowane w odpowiedniém cieple, wydawały letnią formę (*Vanessa prorsa*), a letnie, trzymane w zimnie, wydawały formę zimową (*V. levana* typowa). Niedosyć na tém, Dorfmeister, stosując rozmaite stopnie ciepła, otrzymał nietylko te dwie krańcowe odmiany, ale nadto rozmaite przejściowe pomiędzy niemi postacie. Uczyniono więc zadosyć największym wymaganiom, jakie można stawiać doświadczeniom, zmierzającym do wykazania wpływu zewnętrznych warunków bytu na wytwarzanie nowych form, bez współudziału wyboru naturalnego.

Bytomkowiec (*Pieris napi*), bardzo podobny do kapustnika (*Pieris brassicae*), także posiada formę letnią i zimową; ta ostatnia odznacza się silném, czarném poprószeniem nasady skrzydeł. Z potomstwa formy zimowéj udało się otrzymać formę także zimową, zamiast letniéj, trzymając poczwarki w lodowni, a następnte wylęgając je w cieplarni. W górach istnieje odmiana znacznie ciemniejsza od zimowéj, zwana *Pieris bryoniae*, która w niższych okolicach występuje obok formy typowéj, lecz na północy istnieje sama jedna.

U motyli dziennych jedyném zabarwieniem ochronném, jest kolor dolnéj powierzchni skrzydeł, odpwiadającéj barwności otoczenia, wśród którego motyl zwykł spoczywać ze złożonemi skrzydłami. Zabarwienie górnéj powierzchni skrzydeł, ukrytéj podczas spoczynku, w żadnym razie nie jest tu ani ochronne, ani przystosowawcze, a tém samém nie mogło powstać pod wpływem wyboru naturalnego. Należy je tedy przypisać działaniu zewnętrznych warunków bytu, jak światło, ciepło i pokarm.

Z a b a r w i e n i e s y m p a t y c z n e. Niektóre zwierzęta, jak rzekotka (*Hyla arborea*), kameleon, głowonogi, mogą zmieniać barwę odpowiednio do koloru otoczenia. Inne stale przybiérają koloryt swego otoczenia, jak niektóre koniki polne (*Oedipoda*), ropuchy i żaby, a mianowicie: w lasach iglastych Eimer spotykał ropuchy

czerwonawo-żółte, koloru ziemi pokrytéj suchemi, opadłemi igłami drzew.

Żaby lądowe (*Rana temporaria*), umieszczono w trzech słojach szklanych ustawionych na patarafkach, każda innego koloru: białego, zielonego i czarnego, a nadto każdy słój zasłonięto u dołu papierem odpowiedniego koloru. Po upływie 1½ godziny, żaby zmieniły kolor ciała odpowiednio do otoczenia: na czarnéj patarafce żaba była najciemniejsza, na białéj najbardziéj jasna, a na zielonéj pośredniego odcienia. Następnie żaby przenoszono z jednego słoja do drugiego a ich barwa zmieniała się odpowiednio do koloru patarafki i dolnéj części słoja.

Żaba i ropucha (*Bufo vulgaris*), pozostawione przez noc do następnego ranka w zamkniętém, ciemném naczyniu, były na drugi dzień czarno-brunatne, lecz pod wpływem światła po pewnym czasie nabrały jaśniejszéj barwy.

Te zmiany barw, niewątpliwie odbywające się drogą odruchu, pod wpływem wrażeń wzrokowych, w wielu razach musiały być powodem powstawania trwałych i dziedzicznych barw przystosowawczych czyli ochronnych. Gdy bowiem pewien gatunek lub odmiana przez bardzo długi czas zamieszkiwał miejscowość niezmiennie zabarwioną, wówczas jéj koloryt, który skutkiem pobudzenia nerwowego, udzielił się zwierzętom, powoli utrwalił się w nich i stał się dziedzicznym. Temu przystosowaniu, wybór naturalny z konieczności dzielnie dopomagał, przyśpieszając go i nadając mu charakter w wysokim stopniu ochronny.

Takim to sposobem zabarwienie sympatyczne zamienić się mogło na stałe, ochronne.

D z i e d z i c z e n i e o k a l e c z e ń i c h o r ó b. Liczne fakta przekonywają, że wogóle okaleczenia nie przechodzą na potomstwo, że nie są dziedziczne, pomimo nawet ciągłego powtarzania się w ciągu bardzo długiego czasu. Pospolicie jako przykład przytaczają tu obrzezanie u żydów, powtarzające się od wielu tysięcy lat i pomimo to zawsze w równym stopniu potrzebne. Możnaby się powołać na okaleczenie, powtarzające się u ludzi, ale na ten raz u kobiét, od czasów bez porównania dawniejszych, bo od czasu pojawienia się na ziemi człowieka, a pomimo to w niczém nie wpływające na zanik usuwanéj w każdem pokoleniu części ciała.

Opiérając się na tych danych, wielu badaczy uważa dziedziczenie okaleczeń za rzecz wprost niemożliwą i ze zbytnią stanowczością i niewiarą ocenia dowody strony przeciwnéj. Właściwie sprawa dziedziczności okaleczeń przedstawia się w ten sposób, że w większości znanych razów wcale ona nie istnieje, ale zachodzi

pytanie, czy nie zdarzają się wypadki przeciwne. Gdyby tak było, uznając zagadkowość podobnych przykładów, musielibyśmy jednak przyznać możność dziedziczenia okaleczeń, pozostawiając późniejszym badaniom wyjaśnienie powodów podobnéj sprzeczności. W każdym razie, nie można odmówić słuszności uwadze prof. Rosenthala, który mniema, że dziedziczność okaleczeń wtedy dopiéro nabrałaby prawdziwego znaczenia, gdyby brak operowanéj części ciała, wielokrotnie powtarzał się w ciągu następujących po sobie pokoleń, i coraz liczniej występował pomiędzy potomkami, a nawet stawał się prawidłem.

Najlepszym przykładem dziedziczności okaleczenia, jest niewątpliwie następujący. Demler, dyrektor fabryki w Tremleys, niedaleko New-Jersey w Stanach Zjednoczonych, posiadał kotkę, która w walce z drapieżném zwierzęciem, straciła ogon i po tym wypadku rodziła potomstwo z ogonem 1½ cala długim. Demler, chcąc się przekonać o dziedziczności tego okaleczenia, niszczył w każdym pomiocie kociaki ogoniaste i do rozmnażania się dopuszczał tylko bezogonowe. Doświadczenie doprowadził on do czwartego pokolenia. Liczba potomków opatrzonych ogonem zmniejszyła się znacznie, gdyż w drugiém pokoleniu bezogonowych kotów była prawie połowa, a ostatecznie na 7 kociaków tylko jeden był z ogonem (Porównaj: *Biologisches Centralblatt.* VIII, 237).

Schiller Tietz podaje, że w całéj okolicy Hoch-Acht, w Eifel, panuje zwyczaj przycinania młodym kotom ogona, aby lepiéj myszy łapały, i w téj okolicy wszystkie koty mają ogon widocznie krótszy niż zwykle (Tamże. Str. 155—156).

Eimer, przytacza, że u jego znajomego parze wyżłów posiadających zbyt długie ogony, która już raz wydała takie same potomstwo, nieco ogony przycięto i od tego czasu jéj potomstwo stale odznaczało się krótszemi ogonami.

Tenże profesor opisuje, że matka jego asystenta, Vosselera, w 18 roku życia, zgniotła sobie we drzwiach palec obrączkowy lewéj ręki pomiędzy 2-gim i 3-im członkiem, skutkiem czego palec skrzywił się ku prawéj stronie i zesztywniał. We dwa lata potém urodził się opowiadający to zdarzenie asystent, który posiadą takie same skrzywienie tego samego palca, podobnie jak jeden z jego braci.

A. De Candolle podaje, że pewna 21-letnia dziewczyna wypadła z powozu 1797 r., po czém nad uchem i lewą skronią pozostała jéj blizna bez włosów. We dwa lata późniéj wyszła za mąż i 1800 r. urodziła syna, który w tém samém miejscu nie miał włosów. Syn tego ostatniego, urodzony 1836 r. nie miał blizny, która znowu wystąpiła u wnuka urodzonego 1866 r. ale tutaj powoli zanika.

Dr. Meissen opowiada, że jako dziecko, chorując na wietrzną ospę, zdrapał krostę na prawém skroniu, po czém pozostała mu biała blizna i z taką samą blizną, w tém samém miejscu urodził się jego syn.

Zdaje się, że na mocy tych faktów należy przyznać możność dziedziczenia okaleczeń, chociaż w większości znanych wypadków dzieje się wprost przeciwnie.

Eimer szczegółowo udowadnia, że choroby umysłowe, nabyte wskutek stosunku ze światem zewnętrznym, są w wysokim stopniu dziedziczne, oraz, że potomstwo nałogowych pijaków wymiéra. Tak pomiędzy innemi przytacza on przykład pewnego pijaka, który pozostawił 16 dzieci; z tych 15 wcześnie wymarło, a pozostałe szesnaste cierpiało na wielką chorobę. Nawet dzieci trzeźwych rodziców, poczęte w chwili odurzenia trunkiem, są w wysokim stopniu skłonne do zaburzeń umysłowych i do chorób nerwowych.

H. Schiess, profesor w Bazylei, przytacza, że na 300 wypadków krótkowzroczności, jakie obserwował, 56% było dziedzicznych, tj. takich, w których tém samém kalectwem byli także dotknięci rodzice, dziadkowie, wujowie, ciotki lub rodzeństwo pacyenta. Krótkowzroczność łatwo się nabywa skutkiem zajęcia pracą, wymagającą bliskiego wpatrywania się, jak tego dowodzą synowie rolników i ogrodników winnic, przybywający po naukę do Bazylei, gdzie w krótkim czasie muszą dużo nauki nabywać i w znacznéj części stają się krótkowzrocznemi (Porównaj *Biologisches Centralblatt.* VIII, 26—28).

W p r a w a i b e z c z y n n o ś ć, nawet nie popiérane wyborem naturalnym, mogą doprowadzić do wytworzenia nowych, trwałych własności przystosowanych do ich przeznaczenia, co nawet według rozbieranéj teoryi ma być fizyologiczną koniecznością.

Pierwszą przyczyną, początkiem organizacyi jest, według Eimera, używanie, czyli wprawa pewnych części ciała pod wpływem odpowiednich bodźców, a to w sposób następujący.

Porównywając wysoką organizacyą wymoczków z innemi jednokomórkowemi istotami, przychodzimy do wniosku, że jedynie może być ona nabyta przez użycie, oraz skutkiem dziedziczenia tego nabytku.

Powstawanie pod powierzchnią ciała wymoczków wykształconéj substancyi kurczliwéj, oraz obecność w szypułce niektórych z pomiędzy nich (*Vorticellinów*) istoty zupełnie podobnéj do substancyi mięsnéj wyższych zwierząt, najlepszym jest dowodem, że dopiéro czynność czyli funkcya daje początek wykształceniu fizyologicznemu i morfologicznemu. Mięśnie wymoczków i zwierząt

wielokomórkowych nie mogą być porównywane z sobą pod względem morfologicznym, ale ich znaczenie fizyologiczne jest takie same. W obu tych razach z odmiennego materyału powstały przyrządy jednako działające wobec świata zewnętrznego, co pozwala wyprowadzać wniosek, że właśnie stosunki ze światem zewnętrznym w obu razach przekształciło plasmę w ten sam sposób; że chodzi tu o dziedziczenie własności nabytych. Jest to zasadnicze prawo biologiczne, które można wyrazić w następujący sposób: plasma posiada własność tak fizyologicznego, jako też morfologicznego zmieniania się i przeobrażania pod wpływem bodźców zewnętrznych. Jako bodźce należy tu pojmować tak wpływy zewnętrzne, bezpośrednio działające, jako też wpływy ciągle działające przez samodzielną wprawę samej istoty.

Na dowód powołanego prawa biologicznego, można powołać następujące fakta:

1-o Liczne zwierzęta, nie posiadające odpowiednich organów ciała, wykonywają odnośne czynności, co każe wnioskować o istnieniu w plasmie potrzebnych zdolności, a nawet o zawiązku specyalnych przyrządów. Np. wymoczki nie mają dającego się wykazać układu nerwowego, pomimo to wobec świata zewnętrznego zachowują się tak, że trzeba przypisać im wolę. To samo należy powiedzieć o wielu zwierzętach wielokomórkowych, u których przewodnictwo pobudzeń nerwowych istnieje bez prawdziwych nerwów.

2-o Rozmaite przyrządy ciała mają pierwotnie liczne zadania, a podział pracy, tj. powiększenie liczby przyrządów i specyalne ich wydoskonalenie dopiéro stopniowo występuje w szeregu coraz wyższych form.

3-o Larwy zwierząt wysokiéj organizacyi posiadają wyłącznie przyrządy wspomniane pod 1 i 2.

Wielokomórkowe istoty mogły pierwotnie przedstawiać kulkę złożoną z jednakowych osobników (*morula*), lecz najodpowiedniejsza była dla nich forma pęcherza ograniczonego ścianą, złożoną z pojedyńczéj warstwy komórek (*blastula*), jak to widzimy u toczka *Volvox*. Wszystkie komórki kolonii były pierwotnie jednakowe i zwracały swe rzęsy na zewnątrz. Późniéj niektóre silniejsze, osiągnęły przewagę nad innemi i ruch odbywał się tylko w pewnym określonym kierunku. Komorki znajdujące się na biegunie zwróconym podczas ruchu ku przodowi, będąc częściéj w zetknięciu z pokarmem, musiały szczególniéj rozwinąć zdolność pobierania go. Tym sposobem powstał pierwszy zawiązek listka zarodkowego wewnętrznego (*entoblast*), a po jego wpukleniu wewnątrz

pozostałéj części pęcherza powstała *gastrula* i uwydatniła się różnica pomiędzy listkiem zewnętrznym i wewnętrznym (*ekto* i *entoblast*). Komórki pierwszego z nich, jak to widzimy u stułbi (*Hydra*), rozdzieliły się na część zewnętrzną, odbierającą wrażenia, i wewnętrzną kurczliwą, mięśniową (komórki nerwo-mięśniowe).

Mięśnie powstały z komórek tkanki łącznéj tam, gdzie się odbywały częstsze skurczenia, będące zasadniczą własnością plasmy. Mięśnie prążkowane rozwinęły się skutkiem ich własnéj czynności, gdyż spotykamy je tylko tam, gdzie się często powtarzają energiczne i raptowne skurczenia. Pomiędzy małżami istnieją one tylko u tych gatunków, które pływają raptownie zamykając połówki skorupy (przegrzebek *Pecten*). U muchy, która świeżo opuściła poczwarkę i jeszcze nie fruwała, mięśnie piersiowe nie posiadają prążkowania; jeżeli jednak niepokojeniem zmusimy owad do użycia skrzydeł, prążki w części powstają, a w lecie znajdują się na wszystkich włóknach rzeczonych mięśni.

Przyrządy zmysłów powstają z listka zewnętrznego (ektoplasmy), jak to według teoryi powinno mieć miejsce, bo ten właśnie listek najbardziéj jest wystawiony na stosunki ze światem zewnętznym.

Śluzowce (*Myxomycetes*) i nitki nasienne roślin dowodzą, że plasma jest wogóle czuła na bodźce mechaniczne i chemiczne. Plasmodium śluzowców dąży za młodu ku wilgoci i powoli z suchych części podścieliska wędruje do wilgotnych. Gdy nadchodzi czas wydawania owoców dąży ono w kierunku przeciwnym, opuszcza wilgotne podścieliska i pełza na powierzchnię suchych przedmiotów. Unikając zbyt oziębionych części otoczenia posuwa się ono ku cieplejszym; ztąd jesienią uchodzi ono w głąb podścieliska, niekiedy bardzo głęboko, a po ogrzaniu się powietrza znowu wędruje ku powierzchni.

Rozmaite związki chemiczne, jak roztwór soli kuchennéj, saletry, węglanu potasu, zmuszają plasmodium do cofania się, gdy tymczasem nalewka kory garbarskiéj lub rozcieńczony roztwór cukru przyciągają je ku sobie. Wreszcie uchodzi ono przed światłem. Skutkiem tego oddziaływania na wpływy zewnętrzne plasmodium w ciągłym jest ruchu wewnątrz podścieliska, unikając niebezpieczeństw i dążąc do sprzyjających mu warunków bytu.

Nitki nasienne roślin, grzybki rozszczepkowe i zarodniki niższych roślin także są czułe na rozmaite wpływy chemiczne. Pierwsze dążą do kwasu jabłkowego, drugie rozróżniają obfitość pokarmu w wodzie i dążą do miejsc lepiéj zaopatrzonych, a trzecie np. należące do *Saprolegnii*, dają się mięsem przywabiać.

Komórki powstające z listka zewnętrznego muszą być pierwotnie uzdolnione do przyjmowania rozmaitych wrażeń, przynajmniéj bezokie larwy owadów, bezokie skorupiaki dżdżowniki, są czułe na światło, które zdaje się działać na nie jako bolesne podrażnienie.

Wszystkie bodźce nerwowe prawdopodobnie działają pierwotnie na plasmę jako bodźce dotykowe; ztąd wszystkie komórki zmysłowe niewątpliwie występują najprzód jako komórki dotykowe, a czułość na bodźce rozmaitéj jakości musiała się późniéj wyrobić przez wprawę. Innemi słowy, bodźce zmysłowe dały ostateczny powód do powstawania rozmaitych specyalnych przyrządów czucia.

Ani pomieszanie płciowe, ani wybór naturalny nie mogły wywołać przekształcenia komórek zmysłowych, chociaż obadwa te wpływy brały ważny udział w dokończeniu tego dzieła.

Dowodu, jakiego znaczenia jest tutaj wprawa, dostarcza okoliczność, że wszystkie organy zmysłów mieszczą się na tém miejscu ciała, które jest najodpowiedniejsze do przyjmowania bodźca.

Taki sposób pojmowania organizacyi najlepszym jest dowodem wysokiego znaczenia, jakie teorya przypisuje wprawie i dziedziczeniu nabytych własności ze względu na przekształcenie przyrządów ciała.

Każda istota właściwe sobie ukształtowanie zawdzięcza używaniu swych organów, a nawet samo istnienie zawdzięcza temu użyciu czyli wprawie, oraz bezustannemu działaniu bodźców zewnętrznych. Przyrządy naszego ciała bez wprawy wszystkieby zmarniały; gdyby bodźce choć przez chwilę przestały na nas działać, zniszczelibyśmy tak samo, jak gdybyśmy umarli. Życie jest tylko wyrażeniem wzajemnego oddziaływania pomiędzy organizmem i bodźcami świata zewnętrznego, a śmierć na tém polega, że organizm staje się niezdolnym do przyjmowania wrażeń.

Do rzędu odziedziczanych własności nabytych drogą wprawy autor pomiędzy innemi zalicza następujące.

Ludzie mało pobierający pokarmu mają kiszki stosunkowo krótsze (np. ludzie umysłowo pracujący). Zwierzęta roślinożerne odznaczają się przewodem pokarmowym dłuższym niż u mięsożernych, a u zwierząt domowych tenże przewód jest dłuższy aniżeli u ich dzikich szczepów. Trudno powątpiewać, że wydłużenie przewodu nastąpiło skutkiem przyzwyczajenia do pobierania obfitszego pokarmu i nowy ten nabytek został odziedziczony.

Odziedziczanie przez synów charakteru pisma ojcowskiego dostarcza dobrego przykładu dziedziczenia własności nabytych drogą wprawy i przyzwyczajenia.

Układanie do pola wyżłów, które powtarzało się przez wiele pokoleń, skutkiem dziedziczenia własności nabytych, uczyniło młode wyżły dobréj rasy zdolnemi do polowania bez wszelkiego poprzedniego nauczania, do tego stopnia, że nie mając żadnego wyobrażenia o zwierzynie, za pierwszém spotkaniem doskonale ją wystawiają. Jestto fakt powszechnie znany myśliwym, mającym do czynienia z psami rasowemi.

Instynkt należy zaliczyć do właściwości nabytych drogą wprawy i odziedziczonych, a mianowicie instynkt można zrozumieć jedynie jako odziedziczone doświadczenie, jako czynności rozsądne i rozumne, które stały się automatycznemi, nieświadomie wykonywanemi i drogą dziedzictwa przeszły na potomstwo.

Przykłady rozsądku i rozumu zwierząt bardzo są liczne. Poprzestanę na kilku, dając pierwszeństwo własnym spostrzeżeniom.

Zwierzęta bardzo pospolicie posiadają zdolność należytego sądu o swym stosunku do otoczenia i bardzo dobrze oceniają grożące im niebezpieczeństwa, których starają się uniknąć. Ztąd bojaźliwość bardzo w świecie zwierzęcym rozpowszechniona, jeżeli wszakże w daném położeniu zwierzę nie jest od nieprzyjaciół zagrożone, ocenia ono swe bezpieczeństwo, i nawet najbojaźliwsze staje się zupełnie dowierzającém. Bardzo dobrego przykładu dostarczają ptaki nadzwyczaj bojaźliwe, jak kuropatwa, które znalazłszy przytułek wśród miast, gdzie strzelanie jest zabronione, niczém nie dają się spłoszyć. Tak przed wieloma laty stado kuropatw przybywało na nocleg do klombów na dziedzińcu uniwersytetu warszawskiego i niczém nie można było zmusić ptaków do lotu.

Jestto również dowodem wielkiéj rozwagi w ocenianiu swego położenia, że bocian, we wsi tak przyjacielski dla człowieka i nie okazujący wobec niego żadnéj obawy, w polu nadzwyczaj jest ostrożny i bardzo trudno daje się podejść. Wrony i inne pokrewne ptaki są w miastach i w pobliżu mieszkań mało płochliwe, gdy tymczasem w polu i w lesie należą do najostrożniejszych.

Wróbel zwyczajny, jak wiadomo, należy do bardzo przebiegłych ptaków i prawie niepodobna złapać starego ptaka czy to na sidła, czyli téż w zatrzask. Ostrożność doprowadza on do tego stopnia, że nie bierze ziarnka że skrzyneczki lub pudełka, obawiając się jakiéj zdrady, ktoby pragnął zapoznać się bliżéj z objawami rozumu ptaków, znajdzie odpowiednie spostrzeżenia zebrane w zajmujących szkicach hr. Kazimierza Wodzickiego, ogłoszonych pod tyt. Zapiski ornitologiczne (bocian, jaskółka, jastrząb, kuropatwa, wróbel, kukułka, skowronek). Dla nas wystarczą powyżéj przytoczone.

Pomiędzy psami spotykamy dużo objawów rozumu, niewątpliwie znanych każdemu, kto je chował i pilnie im się przyglądal. Wyżły należą do najrozumniejszych psów, na co z pewnością zgodzi się każdy myśliwy. Wyżeł bardzo dużo uczy się własném doświadczeniem i nabiera rozmaitych sposobów postępowania, któremi skutecznie pokonywa przebiegi zwierzyny. Pudel także jest rozumny, ale buldogi mają sławę psów ograniczonycb. Pomimo to jeden z nich, należący do mego nieżyjącego obecnie znajomego, postąpił w następujący, prawdziwie zadziwiający sposób w ocenieniu praw własności swego pana. Właściciel buldoga miał w Warszawie kamienicę z ogrodem, w którym stawiano nowy dom. Do pełnomocnika tego pana przyszedł znajomy, bardzo mile widziany przez psa w mowie będącego, który się téż odwiedzinami ucieszył i szczerze gościa witał. Pełnomocnik znajdował się przy nowo stawianym domu, trzeba więc było udać się do niego przez całą długość ogrodu. Gość poszedł we wskazanym kierunku, a buldog, który mu towarzyszył, ciągle dawał oznaki przywiązania, ale gdy przybyły zerwał gronko porzéczek, pies natychmiast pochwycił go za nogę i skaleczył. Oczywiście poczciwe psisko uważało, że na jego przyjaźni nietykalność własności pańskiéj cierpiéć nie może. Winienem dodać, że ten sam gość który tak stanowczo został ukarany za zerwanie gronka porzéczek, w obecności samego pana lub jego pełnomocnika bezkarnie zrywał owoce, a pies wcale mu nie przeszkadzał.

Owady, zwłaszcza błonkoskrzydłe, często postępują z prawdziwą rozwagą. Na tymczasem zwrócę uwagę na dwa spostrzeżenia dotyczące mrówek.

Wymienione owady właziły na drzewo, aby się dostać do mszyc. Prof. Leuckart w połowie wysokości pnia namalował dziegciem obrączkę, aby się przekonać jak sobie mrówki z tém poradzą. W pierwszéj chwili biegały one na wszystkie strony; w końcu znajdujące się poniżéj pierścienia zeszły na ziemię i w krótce powróciły niosąc każda pomiędzy żuwaczkami grudkę ziemi. Jedna po drugiéj przylepiały ziemię do dziegciu i powoli zbudowały most, po którym mogły swobodnie chodzić do góry i na dół.

Ksiądz Gredler z Bozen opowiada następujące zdarzenie zaszłe w jego klasztorze. Pewien mnich od wielu miesięcy kładł na gzymsie pożywienie dla kolumny mrówek (*Formica aliena*, Foerst), która regularnie przechodziła koło okna jego celi. Po pewnym czasie na poprzecznéj belce okna zawiesił on na nitce stary kałamarz, w którym umieścił potłuczony cukier dawany mrówkom jako pokarm, a dla zawiadomienia owadów o téj wiszącéj spiżarni kilka

z pomiędzy nich umieścił w kałamarzu. Pracowite istoty obciążyły się okruszynami cukru i znalazłszy drogę po nitce przeszły na ramę okna, po któréj spuściły się na gzyms pomiędzy swoich towarzyszy, a następnie zwykłą drogą zeszły z wysokiego muru do kolonii znajdującéj się w ogrodzie. Wkrótce mrówki urządziły z gzymsu pochód do nowego składu cukru i w ten sposób bez zmiany kilka dni postępowały, lecz pewnego ranka kolumna zatrzymała się na gzymsie i żaden owad nie przebywał już drogi daléj do kałamarza. Okazało się, że z tuzin zuchów usilnie i niezmordowanie pracował w tém naczyniu wynosząc okruszyny na jego brzeg, zkąd następnie zrzucał je towarzyszom znajdującym się poniżéj.

Wielu czynności dokonywamy pierwotnie ze świadomością i dowolnie, lecz po pewnym czasie, skutkiem ciągłego ćwiczenia, tracimy o nich świadomość i załatwiamy je mechanicznie, poniewolnie. Wówczas stają się one *automatycznemi* czyli *nałogowemi*. Są one dla nas wielkiém ułatwieniem w życiu codzienném, jako oszczędzające czynności mózgowych.

Czynności nałogowe mogą być dziedziczone, a wówczas stają się instynktem. *Instynkt jest mianowicie odziedziczoną zdolnością, a w szczególności odziedziczoną czynnością nałogową.* Innemi słowy: *instynkt jest zdolnością postępowania nałogowo, bez zastanawiania się, a pomimo to postępowania rozumnego, odpowiadającego celowi.* To postępowanie może być wywoływane przez bodźce wewnętrzne lub zewnętrzne, albo téż odbywa się bez wpływu bodźców. Instynkt jest zupełny, jeżeli do wykonywania go nie potrzeba ani pobudzenia, ani wprawy, np. zbieranie miodu przez pszczoły, oprzędanie się gąsienic, wybieranie się na wodę piskląt ptaków wodnych. Instynkt niezupełny potrzebuje pobudzenia lub wprawy, np. budowanie gniazd przez ptaki, wystawianie zwierzyny przez wyżła.

Przykłady instynktu.

Kurczęta zabrane od kwoki zaraz po wykluciu się z jajka, będąc głodne, natychmiast zabierały się do dziobania prosa, a mając rozmaity pokarm czyniły pewien wybór; piły wodę, grzebały nogami, starały się chwytać przelatujące muchy. Douglas Spalding podaje, że kurczę wzięte od kwoki natychmiast po wylęgnięciu, nim mogło używać oczu, 12-go dnia po wykluciu się, na widok krążącego wysoko jastrzębia wydawało charakterystyczny głos przestrachu. Indyczę znowu, wzięte na wychowanie, gdy dopiero piszczało w jajku, przeraziło się głosem jastrzębia chowanego w klatce.

Nasza kukułka bardzo powoli się niesie w odstępach 6—8 dni, czasami nieco prędzéj co 3 dni, i dla złożenia 20—24 jaj potrzebuje koło 2 miesięcy czasu. Przytém samica prowadzi tułacze życie. Z tych powodów przodkowie ptaka w skutek rozwagi poczęli znosić jajka do obcych gniazd, a z czasem ten zwyczaj stał się dziedzicznym, instynktownym. Obecnie młode kukułki znają tylko obce gniazda, nie umieją budować własnego i odpowiedniego instynktu nie dziedziczą.

Pszczoły, i wogóle owady błonkoskrzydłe, dostarczają bardzo ciekawych przykładów instynktu, níeraz bardzo zastanawiającego.

Pszczoły robocze posiadają niedokształcone części płciowe, a to z powodu złego żywienia ich w stanie czerwia. W ciągu pierwszych ośmiu dni życia czerwie pszczół roboczych mogą być wychowane na królowe skutkiem dostarczania im lepszego pokarmu. Ponieważ z tego samego czerwia można wychować albo robotnicę, albo królowę, należy więc przypuszczać, że drzémią w nim własności jednéj i drugiéj. Można to objaśnić w ten sposób, że pierwotnie u pszczoły istniały tylko osobniki, łączące w sobie własności samicy, tj. robotnicy i królowéj, oraz samca, czyli trutnia. Gdy po rozdzieleniu płci z jaj niezapłodnionych zaczęły powstawać trutnie, a z zapłodnionych samice, w jajkach i czerwiach tych ostatnich skupiły się wszelkie własności robotnicy i królowéj, a odpowiedni rozwój czerwia zawisł od odżywiania, które wpływa na rozwijanie się mózgu, od którego zależą wszystkie właściwości jednych i drugich. Pierwotnie rozdział trzech form mniéj był dokładny, lecz wydoskonalił się z biegiem czasu skutkiem wpływów zewnętrznych i skutkiem wyboru naturalnego,

Sposób powstania rozmaitych samic pszczolich wyjaśniają nam trzmiele i osy.

Gdy słońce wiosenną porą ogrzeje ziemię do pewnéj głębokości, wówczas matka trzmiela budzi się ze snu zimowego i wychodzi ze swego schronienia znajdującego się w dołku, który sama sobie wygrzebała, w spróchniałym pniu lub we mchu. Przedewszystkiém wysysa miód z kwiatów, a następnie szuka miejsca na gniazdo. Znalazłszy je, znosi miękki mech, trawę, liście, włosy zwierzęce: delikatne igły jodłowe lub sosnowe i buduje gniazdo ze wszystkich stron zasłonięte, z jedyném wejściem zwróconém na wschód i pospolicie ukrytém. Następnie zbiera miód i pyłek kwiatowy, buduje komorę z wosku, napełnia ją pyłkiem i miodem, oraz składa w niéj parę jajek, z których wkrótce wychodzą czerwie szybko rosnące, a tém samém zużywające dużo pokarmu. Teraz matka z wielkiem wysileniem dzień i noc pracuje dla dobra swoich dzieci; we dnie

zbiera pokarm i karmi potomstwo, a nocą rozgryza i porządkuje materyały budowlane gniazda, pokrywa je powłoką woskową, oraz dzieci ogrzewa. Odpoczywa bardzo mało, wyjąwszy tylko podczas niepogody. Nakoniec, w początkach maja, a u niektórych gatunków kilka tygodni późniéj, wychodzą pierwsze młode trzmiele. Są to robotnice daleko mniejsze od matki. Natychmiast wyfruwają z gniazda dla zbierania i znoszenia miodu oraz pyłku kwiatowego. Z początku, dopóki ich jest mało, matka jeszcze pilnie pracuje, lecz późniéj trudzi się daleko mniéj i dużo siedzi w gnieździe, gdzie znosi jajka i potomstwo pielęgnuje. W końcu wcale nie wyfruwa i pospolicie traci władzę w skrzydłach. Część robotnic opiekuje się młodszém rodzeństwem znajdującém się jeszcze w komórkach, karmi je, buduje gniazdo, utrzymuje w niém czystość, oraz liże i ogrzewa świéżo wyszłe z poczwarek trzmiele. Robotnice podnoszą silny brzęk przy jakiémbądź zaniepokojeniu gniazda i bronią je, kłójąc żądłami napastników. Z temi pomocnicami królowa żyje kilka tygodni, do trzech miesięcy, ciągle powiększając ich liczbę. Pospolicie koło lipca wylęgają się znacznie większe osobniki podobne do królowéj, zwane m a ł e m i s a m i c a m i, lub d u ż e m i r o b o t n i c a m i, tj. samice z częściami płciowemi wprawdzie rozwiniętemi, ale zdolne jedynie do wydawania jaj trutowych, tj. niezapłodnionych, lecz niekiedy znoszące także jajka zapłodnione na samice (królowe) i robotnice. Wszystkie te trojakie samice: duże i małe robotnice, oraz stara królowa, znoszą teraz jajka trutowe, z których wychodzą liczne samce. Dopiero ku końcowi lata matka znowu niesie jajka na królowe. Teraz w rodzinie znajdują się następujące osobniki: 1° stara, często niewładająca skrzydłami, bezwłosa królowa; 2° liczne młode królowe; 3° zwykłe, czyli małe robotnice; 4° duże robotnice, czyli małe samice; 5° trutnie, czyli samce. Wszystkie robotnice w ciągu lata wychodzą na zbieranie pokarmu; mniéj więcéj na ćwierć godziny przed wschodem słońca budzi je szczególne brzęczenie trzmiela trębacza. Samce także wychodzą po pokarm, ale tylko od 10 rano do 4 po południu, i tylko dla siebie. W gnieździe także nie pracują, chociaż niekiedy po zerwaniu dachu z gniazda biorą się do roboty. W czerwcu, lipcu, sierpniu i w pierwszéj połowie października, podczas pięknych, słonecznych dni, młode królowe wylatują z gniazda, siadają na pniach drzewnych, na szerokich liściach, na płotach i murach, gdzie trutnie przychodzą szukać je, a następnie w locie zapładniają. Gdy tym sposobem wszystkie młode królowe są uzdolnione do zakładania następnego roku nowych kolonii, cała ich rodzina powoli się rozprasza.

Porównywając rój trzmieli z pszczolim spostrzegamy, że królowa pierwszych nie jest tak wyłącznie rozpłodową matką jak królowa pszczół. Ta ostatnia jest wyłącznie osobnikiem matczynym czyli rozpłodowym społeczeństwa pszczolego; nic ona nie zbiera, nic nie buduje nawet sama nie pobiera pokarmów, ale każe się karmić robotnicom; królowa trzmieli z początku wszystkie te czynności sama wykonywa. To samo stosuje się do trutni: u trzmieli żywią się one samodzielnie, a gdy potrzeba, chociaż bardzo rzadko, biorą się do roboty; tymczasem trutnie pszczół wcale nie pracują i podobnie jak królowa otrzymują pokarm od robotnic. Trutnie trzmiele bliskie są postradania samodzielności pod względem wszystkich innych spraw, oprócz płodzenia, lecz jeszcze nie zaszły tak daleko jak trutnie pszczole. Taki sam stosunek zachodzi co do robotnic. U pszczół nie niosą one jaj, chociaż niekiedy bywają zapładniane przez samców, oraz czasami znoszą jaja niezapłodnione, z których powstają same trutnie (trutówki). To wyjątkowe zachowanie się robotnic pszczolich stanowi przejście do stosunków istniejących u trzmieli. Tutaj bowiem robotnice stale niosą jaja trutowe; pierwszy ląg robotnic innych jaj nie wydaje, lecz drugi ich ląg, tj. duże robotnice, czyli małe samice, niekiedy mają nieść także jajka samicze. Zatém u trzmieli robotnice nie są tak wyłącznemi robotnicami jak u pszczół. Wpływ pokarmu jest tu bardzo widoczny. Pierwsze pokolenie robotnic trzmielich, wyhodowane w czasie, kiedy matka sama jedna wszystkich prac dokonywa, albo też korzysta z pomocy niewielu trzmieli roboczych, nie może otrzymywać tak obfitego pokarmu, jak drugie pokolenie wyrastające pośród wielu robotnic matce pomagających. To lepiéj żywione pokolenie już ma rozwinięte przyrządy płciowe, a lepsze ich odżywienie widać także po większym wzroście. Niekiedy samice tego pokolenia niosą jajka, z których się rozwijają osobniki samicze zdolne do zapłodnienia. Nakoniec rozwijają się młode królowe, które otrzymują od robotnic najobfitszy pokarm.

Stosunki u pszczół niewątpliwie taki sam miały początek, ale tutaj nastąpił zupełny rozwój społeczeństwa, gdy tymczasem u trzmieli i os towarzyskich powstała tylko obszerna rodzina. Pszczoły dla dobra swego społeczeństwa z całą bezwzględnością poświęcają dobro pojedynczych członków, gdyż wybiją trutnie, które już stały się bezużytecznemi, gdy tymczasem u trzmieli giną one z nędzy. Królowa trzmiela zdycha w drugim roku; królowa pszczola w drugim roku, w razie znacznego powiększania się roju, dla dobra społeczeństwa opuszcza gniazdo i nowe państwo zakłada, ale tak ona jako téż robotnice cieszą się za to dłuższém życiem, gdy tymczasem robotnice trzmieli giną w jesieni.

U os towarzyskich spotykamy stosunki podobne jak u trzmieli.

Pierwsza przyczyna téj istotnéj różnicy pomiędzy gospodarką trzmieli lub os z jednéj strony, a pszczół z drugiéj, oczywiście polega na instynkcie rozumnym, tj. pamięci na przyszłość, co u pszczół jest bez porównania silniéj rozwinięte aniżeli u trzmieli i os, które nie zbierają zapasów pokarmu, a ich samice muszą zimować w ukryciu.

Do wytworzenia się społeczeństwa pszczolego takiego, jak je dziś widzimy, a przedewszystkiém do zbierania większych zapasów pokarmu, niewątpliwie przyczyniło się stopniowe przedłużenie pory roku niepomyślnéj do gromadzenia zapasów, ale rozwaga i przewidywanie pszczół były tu czynnemi i spotęgowały się skutkiem doświadczenia. Zresztą pszczoły i dzisiaj zbierają zapasy ze świadomością, że są dla nich niezbędne, gdyż z wielką zawziętością prześladują człowieka, który im miód zabiera.

Wytworzenie robotnic było dziełem zadziwiającéj rozwagi pojedynczych owadów na korzyść całego roju. Powstanie robotnic możemy bowiem tylko w ten sposób wytłómaczyć, że pierwotny trzmiel lub pierwotna pszczoła nie mogła należycie wykarmić wszystkich czerwi i z robotnic, które tym sposobem powstały, osiągnęła pewną korzyść w swém gospodarstwie domowém. Tę korzyść musiały zwierzęta o tyle ocenić, że późniéj umyślnie wychowywały pokolenia robotnic skutkiem złego żywienia czerwi.

Zadziwiająca rozwaga, z jaką postępują osy, zwane grzebaczami (*Sphegidae*). w dostarczaniu potomstwu potrzebnego pokarmu, zasługuje choć na krótką wzmiankę. Grzebacze zakładają gniazda w norach podziemnych, które same wykopują, i każde gniazdo zaopatrują odpowiednią ilością owadów, pająków, lub larw owadzich, którym odbierają możność poruszania się skutkiem zakłócia żądłem. Zaopatrzywszy należycie gniazdo, grzebacz składa w niém jajko, poczém wejście do nory zagrzebuje i czyni nie widoczném. W podobny sposób postępuje także *Odynerus parietum*, należący do os samotnych, który zakłada gniazdo w gliniastych ścianach lub urwiskach. Dla ubezwładnienia zdobyczy przeznaczonéj na pokarm dla potomstwa, wszystkie te osy rażą żądłem jeden ze zwojów ruchowych układu nerwowego ofiary, a pomimo że ta sama osa znosi zdobycz należącą do rozmaitych gatunków, z rozmaicie zbudowanym układem nerwowym, zawsze umie znaleść odpowiedni zwój nerwowy. Według autora, całe to postępowanie: zaopatrywanie gniazda ubezwładnionemi istotami i sposób ich ubezwładnienia, dowodzi całego szeregu rozumowań i wniosków ze strony os, które tylko drogą rozwagi nabytéj przez doświadczenie mogły nabrać tego zwyczaju.

B e z c z y n n o ś ć. Ciągła, prawidłowa i nieprzesadzona wprawa organu jest konieczna do podtrzymania jego istnienia, gdyż bodziec, któremu on służy, jest niewątpliwie pierwszą przyczyną, któréj zawdzięcza on swe powstanie i dalsze, stopniowe wydoskonalenie. Oko zwierząt jaskiniowych niewątpliwie w znakomitéj części zanika skutkiem ustania wyboru naturalnego (tj. skutkiem *panmixii*), ale niemniéj jest pewném, że ciągły brak bodźca świetlnego sam przez się nadwérężyłby i ostatecznie zniweczyłby zdolności oka, jako przyrządu wzrokowego.

Przyrządy ciała zanikają bardzo wolno, ale ich zdolność fizyologiczna bardzo prędko ginie, co stąd tylko może pochodzić, że zanik najistotniejszych części przyrządu szybko następuje. Mniéj ważna pozostałość organu długo się jeszcze utrzymuje, ale ostatecznie i ona znika.

Gdy pewien przyrząd utracił właściwą sobie czynność, nie może już być ożywiony, jeżeli więc znowu powstaje potrzeba téj saméj czynności, musi być zbudowany nowy przyrząd.

W a l k a o b y t i wybór naturalny nic nie mogą nowego wytworzyć. Do wzrostu świata organicznego przyczyniają się tylko o tyle, że wybiérają najodpowiedniejsze formy, oraz wzmagają i wydoskonalają pozostające znamiona. Ich działanie nadzwyczaj jest ważne.

Z m i a n y z a l e ż n e (k o r r e l a c y j n e). Z m i a n y k a l e j d o s k o p o w e. Rozmaite części, składające ciało istoty żyjącéj, wzajemnie od siebie zależą i zmiana w jednéj z nich wywołuje odpowiednie zmiany w pozostałych częściach ciała, podobnie jak w kalejdoskopie, spadnięcie jednego kawałka wywołuje ruch pomiędzy pozostałemi kawałkami, skutkiem czego nowy powstaje obraz. Ztąd zmiany tego rodzaju, polegające na wzajemnéj zależności składowych części ciała, otrzymały nazwę zmian k a l e j d o s k o p o w y c h.

Axolotl dobrego dostarcza tu przykładu. Pod wpływem zewnętrznych warunków bytu traci on skrzela, a natomiast otrzymuje płuca. Drogą zależności z tą zmianą łączą się inne: na skórze powstaje plamistość właściwa *Amblystomie*; skóra traci brodawkowatość i wygładza się; głowa staje się krótszą i szerszą; ogon zaokrągla się, a nogi potężnieją. Podobne różnice przedstawia kijanka i dorosłe zwierzę jaszczura (*Salamandra maculosa*).

Jest rzeczą możliwą, że gdy pewnéj własności towarzyszą różne zmiany zależne, wówczas raptownie powstaje nowa forma, która w razie odpowiednich przeobrażeń w produktach płciowych może stracić możność mieszania się z formą pierwotną i tym sposobem

tworzy nowy gatunek. To ostatnie przypuszczenie niemożności łączenia się z formą pierwotną, zasadza się na fakcie ściśléj zależności części płciowych i całego zresztą ciała. Dojrzewanie części płciowych ma w szczególności ogromny wpływ zależny na cały organizm, który z dojściem do dojrzałości, zmienia się w różnych szczegółach, jak to u człowieka widzimy. Mając na uwadze ten ścisły związek, możemy przypuszczać, że w razie pewnych, raptownych zmian ciała, części płciowe drogą zależności mogą się do tego stopnia zmienić, że powstaje wspomniana powyżéj niemożność łączenia się z formą pierwotną. Byłoby to powstawanie gatunków bez udziału wyboru naturalnego.

Zachowawcze przystosowanie. Pewna właściwość organizmu tém bardziéj się utrwala, im dłużéj utrzymuje się skutkiem dziedziczności. Jeżeli pewna forma zatrzymuje się na niższym stopniu filetycznym, wówczas z powodów czysto konstytucyonalnych, wewnętrznych, tém bardziéj będzie odmienną, im dłużéj w miejscu stoi, gdyż właściwości tego stopnia rozwojowego coraz silniéj wyciskają się na jéj organizmie. Po pewnym czasie taka forma już nie będzie tém co dawniéj, gdy się od niéj oddzieliły formy pokrewne. Im dłużéj istnieje ona ze swemi właściwościami, tém bardziéj odmiennemi będą jéj zmiany zależne, tém bardziéj będzie ona uzdolniona do utrzymywania swych konserwatystowskich własności wobec popędu do przystosowania, który z większém powodzeniem będzie się zwracał do innych jéj własności. Zachowawcze przystosowanie jest ostatecznie wynikiem genepistazy, o któréj była już mowa (porównaj str. 241).

Pomieszanie płciowe (krzyżowanie osobników) może wytworzyć nowe formy bez współudziału wyboru naturalnego, wszakże nie dla tego, żeby skutkiem niego powstawała forma pośrednia, lecz z powodu, że bardzo często własności rodziców lub przodków, wzmagają się skutkiem krzyżowania, albo się téż wyrównywają, oraz powstają zupełnie nowe ich kombinacye. Znaczenie pomieszania płciowego do pewnego stopnia maleje z powodu, że potomstwo często jednostronnie dziedziczy własności jednego z rodziców. Przy rozmnażaniu płciowém powszechnie występuje przewaga samcza, która dowodzi, że bezwarunkowe pomieszanie znamion skutkiem połączenia płciowego jest rzeczą bardzo rzadką. Pomimo to wszystko, pomieszanie płciowe osobników, czyli ich krzyżowanie, bardzo ważnym jest czynnikiem w powstawaniu nowych form.

Przewaga samcza na tém polega, że nowo występującą własność gatunku najprzód zdobywają silne samce, gdy tymczasem sa-

mice stoją na niższym, bardziéj młodocianym stopniu rozwojowym. Przewagę samców w tym razie można wytłumaczyć większém wywarciem siły z ich strony, gdyż szczególne własności samcze najprzód występują podczas grzania się, tj. w chwili największego rozwoju ich sił. Następnie te własności przechodzą na samców wogóle, a w końcu stają się własnością całéj rasy. Do znamion samczych pomiędzy innemi należą: rogi jeleni, grzebień na ogonie trytonów, haczykowate zgięcie do góry żuchwy u łososii pstrągów.

Skutkiem płciowego rozmnażania, rozdzielenie gatunków mogłoby i tym sposobem nastąpić bez udziału wyboru naturalnego, gdyby pewna własność drogą zależności (korrelacyi) do tego stopnia zmieniła pierwiastki płciowe, że krzyżowanie nowéj formy z pierwotną staje się niemożliwém, o czém była mowa powyżéj.

Zapłodnienie polega na połączeniu się jądra nasiennego tj. jądra nitki nasiennéj, z jądrem jajowém. Oba jądra muszą sobie odpowiadać w sposób dokładnie określony, w przeciwnym zaś razie drobne zboczenia mogą być poważną przeszkodą do zapłodnienia.

Ze względu na powstawanie nowych gatunków wystarcza, gdy jajka i nasienie pewnéj grupy osobników, szczególnie sobie odpowiadają, a daleko gorzéj są przystosowane do jajek i nasienia innych osobników.

O d r o s t c z y l i r e g e n e r a c y a u t r a c o n y c h c z ę ś c i c i a ł a. Odrost może się odbywać pod wpływem bodźca, albo bez niego, wprost z przyczyn wewnętrznych.

Do odrostu pierwszego rodzaju należy zaliczyć wyrastanie sadzonek wetkniętych w ziemię; szczepienie w świecie roślinnym i zwierzęcym (w tym ostatnim razie i transplantacyą skóry); przyrastanie odciętych i natychmiast przyłożonych części ciała, nawet u istot najwyższéj organizacyi; wyrastanie korzeni na gałęzi wierzbowéj, opatrzonéj oczkami i poziomo zawieszonéj w komorze ciemnéj i wilgotnéj; wyrastanie korzeni na zacienionych miejscach łodygi kaktusa *Lepismium radicans*, itd.

Odrost z przyczyn wyłącznie wewnętrznych polega na odtwarzaniu utraconych części ciała, które w wielu przynajmniéj razach powstają tak samo jak podczas rozwoju osobnikowego (*ontogenii*). Tak np. z każdéj połówki rozciętego w poprzek robaka *Nais proboscidea*, odtwarza się całkowity osobnik, przyczém brakująca część ciała powstaje w ten sam sposób, jak podczas ontogenii. Odcięte nogi trytonów odrastają, rozwijając się tak samo, jak kijanek tych zwierząt.

Niekiedy odrostowi ulegają przyrządy wysokiéj nawet organizacyi, jako to: trytonom i bezogonowym ziemnowodnym odrasta

oko, jeżeli tylko po utraconym organie zachowały się resztki wszystkich jego tkanek. Kijankom żabim, trytonom, u *Pleurodetes Waltii*, odrasta rdzeń pacierzowy, który odrasta także jaszczurkom (gekonom), ale niezupełnie. Ślimakom lądowym odrasta głowa, jeżeli tylko podczas operacyi pozostawiono mózg. Powszechnie wiadomo, że jaszczurkom, jaszczurowi (*Salamandra*) i wężom odrasta ogon, a rakom nogi. W niektórych razach organizm może się odtwarzać z nadzwyczaj małych cząstek ciała, nawet z pojedyńczych komórek. Tak z najdrobniejszych kawałków gałązki wierzbowéj, może wyrastać nowy osobnik, byleby tylko zachowano choćby najmniejszą cząstkę miazgi (*cambium*). Stułbię (*Hydra*) można pokrajać na drobne kawałki, a każdy z nich wyrasta na całkowitego polipa, jeżeli tylko zawiéra cząstki obu listków: wewnętrznego i zewnętrznego. Wreszcie wątrobowiec *Lunaria vulgaris* może być posiekany na papkę, a każda cząstka odtwarza całkowitą roślinę.

Odtwarzanie prrzyrządów, nawet bardzo wysokiéj budowy, może się zasadzać tylko na dziedziczności, a to tym sposobem, że jest ona mechaniczną przyczyną uzupełnienia okaleczałego organizmu, jako całości i w pierwotnéj jego formie.

Każda istota żyjąca skutkiem ciągle powtarzającego się dziedziczenia kierunków wzrostu, określających jéj postać, nietylko doszła do tego, że te kierunki powtarza podczas rozwoju osobnikowego (ontogenii), ale nadto doszła do tego, że kierunki jéj wzrostu działają nawet po dokonanym rozwoju i objawiają się w odtworzeniu utraconych części. Regeneracya bowiem nietylko polega na tych samych zasadach co ontogenia, ale nadto należy uważać ją za dalszy ciąg téj ostatniéj. Innemi słowy, każdy organizm skutkiem wielokrotnego odziedziczania swych własności, a tém samém i swéj budowy, doszedł do tego, że dziedziczność nietylko dąży do wytworzenia całości drogą rozwoju osobnikowego, ale nadto zmierza do uzupełnienia téj całości po okaleczeniu.

Należy przypuszczać, że wszystkie części składowe każdéj istoty żyjącéj, wszystkie komórki i atomy są w najściślejszym związku pomiędzy sobą, skutkiem czego na każdy atom oddziaływają losy innych atomów, oraz każda cząstka organizmu ma w sobie nieco kierunku wzrostu, dążącego do wytworzenia całości. Jest to wzajemna zależność, czyli korrelacya części składowych ciała.

Odtwarzanie całości organizmu z pojedyńczéj komórki można objaśnić tylko w ten sposób, że drogą dziedziczności na każdą komórkę ciała przelały się te własności danego organizmu, które zdobył on przez dziedziczenie własności i zmian całego szeregu

przodków. Zatém komórka zdolna do odtworzenia całości, podobnie jak komórka rozrodcza, odziedziczywszy kierunki wzrostu i wogóle zdolności plastyczne przodków, stała się zdolną do wydawania całego organizmu.

Im niżéj stoi organizm, tém jego komórki mniéj są wyróżnione. bardziéj jednorodne i niezależne, a tém samém u takiéj istoty odrost jest daleko łatwiejszy. Im bardziéj urzeczywistnił się podział pracy, tj. im bardziéj zdolność plastyczna jest w różnych kierunkach rozdzielona pomiędzy rozmaite komórki, tém bardziéj te ostatnie zależą jedna od drugiéj, jako też wzajemnie zależą od siebie pojedyńcze części ciała, ostatecznie zależą od ośrodków nerwowych, bez których nie mogą żyć, ani też odrastać. W podobnym razie zdolność do odrostu musi być mniejsza.

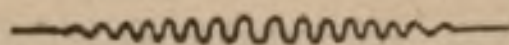
* * *

Z powyższego przedstawienia rzeczy widzimy, że Eimer stara się wykazać możność powstawania nowych form żyjących bez udziału wyboru naturalnego lub pomieszania płciowego, a to skutkiem zewnętrznych warunków bytu, wprawy i bezczynności, zależności czyli korelacyi i genepistazy. Zresztą nie dąży on bynajmniéj do obalenia darwinistycznéj teoryi wyboru naturalnego, ani do obalenia teoryi Weismanna o wpływie pomieszania płciowego; owszem, jednemu i drugiemu z tych czynników przyznaje ważną rolę w wytwarzaniu nowych gatunków, lecz stara się wykazać ich właściwe granice działania. Daléj dąży on do wykrycia pierwszéj przyczyny zmian, dostarczających materyału wyborowi naturalnemu, który sam przez się zmian wywoływać nie może, lecz jedynie rozwija i doskonali już z innych powodów poczynające się zboczenia.

Eimer stara się też dowieść, że przyrządy ciała, odpowiednio przystosowane, mogą powstawać jedynie skutkiem wprawy, bez wpływu wyboru naturalnego. Przyrządy bardzo podobne mogą powstawać u odmiennych zwierząt bez wszelkiego związku genealogicznego.

Teorye Eimera, odznaczające się wielką oryginalnością poglądów, są wogóle bardzo konsekwentnie przeprowadzone, lecz zdają się niekiedy grzeszyć zbytnią krańcowością.

August Wrześniowski.





SZLAKIEM NARODÓW. (1)

Charakterystycznem znamieniem domu mieszkalnego w starożytności, zarówno w Egipcie, Asyryi jak w świecie klasycznym, jest ścisłe zamknięcie, izolowanie od reszty świata. Nazewnątrz domostwo czy pałac otoczony ślepą ścianą, lub téż budowlami, których drzwi i okna skierowane ku wewnątrz znajdującemu się dziedzińcowi, będącemu środkiem i naczelném miejscem siedziby. Widzieliśmy to w pałacu egipskim: dziedzińce izolują się wzajemnie. Miejsce środkowe zajmuje ołtarz bóstwu domowemu poświęcony. Takiż układ widzieliśmy w pałacu Sargona, gdzie wewnątrz po za licznemi budowlami, murami i mniejszemi dziedzińczykami, znajduje się wielki dziedziniec: sala przyjęć pod odkrytém niebem. Układ taki tłómaczy się odosobnieniem władców i magnatów wschodnich, niechętnie ukazujących swe oblicze tłumowi, rozkoszujących się w ciszy słodyczami haremowego życia.

W świecie klasycznym, osobliwie w Helladzie, która również egipskim i azyatyckim wpływom podlegała, domowa siedziba ukształtowała się nie tyle ze względu na seperatyzm Hellenów ile z powodu wielce rozwiniętego życia publicznego. Hellen, rozmiłowany w zgromadzeniach publicznych, przepędza życie na agorze w trybunale, ma przytém możność pogawędzenia z towarzyszami w publicznych lokalach w t. zw. λέσχη (rodzaj naszych resurs), w własnym więc swym domu pragnie zupełnéj swobody, zapomnienia o trudach życia publicznego. Dom téż jego jest fortecą otoczoną ślepym murem, wiodą doń jedne nie wielkie drzwi wchodowe, pilnie przez niewolnika strzeżone. Z tego powodu zupełnie nie dbano o zewnętrzny wygląd budowli mieszkalnych. Pomysły więc artystów skierowały się ku przystrojeniu wnętrza. Jest to jaskrawy kontrast z naszemi czynszowemi domami. W starożytnym domu

(1) Ob. „Ateneum“ zeszyt lipcowy r. b. str. 135—150.

ognisko w samym środku gorejąc, swym raźnym płomieniem przyciągając do wnętrza, zespalało rodzinę w ścisłe, nierozerwalne koło. Dziś ognisko domowe zbliżone ku ulicy miejskiéj, ulatniając się na zewnątrz, pozostawia na fasadzie domu osad w postaci podejrzanéj artystycznéj wartości gipsatur.

Zaznaczyliśmy już w ogólnych zarysach warunki ustroju społecznego, którego ognisko domowe z epoki klasycznéj jest wyrazem. Pozostaje więc wyświetlenie artystycznéj strony domu greko-rzymskiego, nie będziemy jednak tu wchodzić w szczegóły wewnętrznego urządzenia mieszkań helleńskich i rzymskich, których monografią w innéj podaliśmy pracy (1). Tu postawiliśmy sobie za zadanie wyświetlić szczególniéj wpływ przyrodzonych i społecznych czynników na ukształtowanie się ludzkiéj siedziby.

Widzieliśmy już, że obok warunków społecznych, wpływ otaczającego estetycznego środka na reprodukcyjną wyobraźnię człowieka zaprzeczyć się nie da. Olbrzymie rozmiary pałaców i świątyń starożytnego Egiptu, Asyryi, Chaldei są nietylko wyrazem wrodzonéj wschodnim narodom potrzeby przepychu, ale zarazem, te olbrzymie rozmiary są, choć dalekim, tém nie mniéj wyraźnym oddźwiękiem estetycznéj natury krajobrazu. Oko Egipcyanina i Asyryjczyka karmione wciąż nieskończenie daleko ciągnącym się krajobrazem, w olbrzymich rozmiarach widzi ideały sztuki architektonicznéj. Przytém matematycznie powtarzające się zjawisko, od którego byt ludności egipskiéj zależał, zjawisko to wytworzyło w téj ludności poczucie kształtów geometrycznych, ale nie pod względem ich artystycznéj, lecz czysto schematycznéj strony. W budowlach Egipcyanina przebija się instynkt samorodnego, przez przyrodę ukształconego geometry.

Bezmierna płaszczyzna Mezopotamii nie mogła dostarczyć wrażeń, które odpowiednio w fantazyi artysty idealizowane i kojarzone, mogły-by wydać wielką rozmaitość artystycznych kształtów. Oprócz bowiem warunków utylitarnych, wypływających z użycia cegły, jako materyału budowlanego, oprócz warunków klimatycznych kraju, w którym burze z ulewnemi deszczami zrywają się gwałtownie, pomimo tych wszystkich warunków, można przypuścić, że architektura chaldeo-asyryjska inną-by przybrała postać, gdyby nie jednostajność linii otaczającego krajobrazu. Wszędzie gdzie oko spocznie, tam wzrok w nieskończenie daleko ciągnącym się krajobrazie widzi jeno proste linie. Takie ubóstwo kształtów przyroda jakby wynagrodziła świetnością i rozmaitością kolorytu, odźwierciedlonego w dekoracyjnéj sztuce Asyryjczyków,

(1) Patrz „Piękno u domowego ogniska",

Epipcyanin zawdzięcza wszystko cudotwórczéj rzece. Zjawisko przyrody czyni z niego nietylko geometrę, ale nadto artystę, który wszystkie swe porywy do tego zjawiska ściąga. Kolumnę więc kształtuje na wzór papirusa, palmy lub lotosu, roślin, których pojawienie się na wiosnę, zwiastuje wylew rzeki, a z nim obfite zbiory i błogie dostatki.

We wpływach przyrodzonych, jakim podlega Egipcyanin i Chaldejczyk, widocznym jest brak estetycznéj miary. Wszędzie nadmierność, z jednéj strony olbrzymie nieproporcyonalne rozmiary krajobrazu, z drugiéj gwałtowne zjawiska przyrody, pod wpływem których człowiek tworzyć może dzieła olbrzymie, wzniosłe nawet, ale nie zawsze piękne. Krajobraz i zjawiska przyrody, powtarzające się w tym kraju, raczéj przygnębiają niż podnoszą umysł. Wytwarzają one niezwykłe o świecie i ideałach sztuki pojęcia.

Rzecz ma się wprost przeciwnie w Helladzie.

Każdy krajobraz ma pewien indywidualny profil, rytm kształtów, do których oko przyzwyczaja się jak ucho do dźwięków ojczystych od młodych lat słyszanych, któremi przejmując się bezwiednie, przyswajamy je sobie. Obrazy, które od chwil dziecięcych przed oczami naszemi przesuwają się, w krew nam przechodząc, stają się jaźni naszéj integralną cząstką. Przejmujemy się niemi i reprodukujemy je bezwiednie, choćby w zabawach, w tych pierwszych objawach naszych upodobań estetycznych. Jak w sferze twórczości muzycznéj, narodowe dźwięki przefiltrowane przez alembik fantazyi kompozytora, tak samo charakterystyczne linie i barwy krajobrazu pozostawiają ślady w kompozycyi architekta.

Krajobraz grecki uspakająco na nerw optyczny działając, tém samém umysł do złotéj równowagi doprowadza. Dwa jego główne znamiona charakterystyczne: umiarkowane rozmiary i rozmaitość kształtów, jaskrawy stanowią kontrast z egipskim i mezopotamskim krajobrazem. W ojczyźnie Iktinosa i Fidiasza wszystko, przez samę matkę przyrodę, w złotéj utrzymane równowadze. Ani zbytnia susza, ani ulewne deszcze, ani gwałtownie zrywające się burze nie są tu znane. Drzewa w téj olimpijskiéj krainie są krzewami, rzeki od strumieni nie większe, sączą się umiarkowanym biegiem, morze jak jezioro w dniu pogodnym liże kamieniste brzegi. Wszędzie spokój, umiarkowanie.

Grecya jest krajem górzystym, a więc na rozmaitości widoków w niéj nie zbywa. Kraj ten to muzeum, to kalejdoskop wciąż zmieniających się widoków. Rozmaitość ta jednak, która częstokroć, szczególniéj w górskich okolicach, w chaos przechodzi, jak tego przykładem tatrzańskie i szwajcarskie krajobrazy,—w Grecyi każdy

przesuwający się przed oczyma widok, swą jasnością i wyrazistością jak lek czarodziejski uspakaja. Skała jest najbardziéj charakterystycznym i wszędzie dającym się widziéć motywem greckiego krajobrazu. Główną więc estetyczną cechą takiego krajobrazu są szerokie płaszczyzny, ostre kontury, na tle lazurowém rysując się, potęgują jasność i wyrazistość widoku.

Grecya jest niewielkim kraikiem, w którym jeszcze mniejsze przedstawiają się oku widnokręgi. Góry i morza rozdzielają kraj ten na oddzielne prowincye, które same dla siebie, otoczone naturalnym murem, stanowią oddzielne małe kraiki, po-za kresy których, oko wybiegnąć nie może.

Wszystko to skąpane w atmosferze czystéj jak nieważki eter. Niemasz tu, jak u nas na północy, horyzontu nieba kłębiącemi zasłanego obłokami. U zachodu horyzont pokrywa się przechodzącemi najrozmaitsze odcienie barw purpurowemi wstęgami. W północnych krajach kłębiące się pary wytwarzają zamglone widoki, majaczejące na dalekim planie krajobrazu lasy przedstawiają się nam nie jako zbiór drzew oddzielnych ale w postaci sinéj lub nawet czarnéj, poprzerywanéj tu i owdzie przedzierającemi się światełkami wstęgi. W Grecyi zarówno przedmioty na pierwszym, jak i na dalekim planie, z niezmierną jasnością przedstawiają się oku.

W takiém otoczeniu, w takiéj przez samę naturę stworzonéj szkole, do wyrazistości i czystości przyzwyczajone oko dostarcza umysłowi materyału na jasne, czyste i ściśle jak kryształ określone myśli. W takiém otoczeniu nie wytworzy się pojęcie piękna, ideałem którego bezgraniczna wielkość, mgłą nie z tego świata przyćmiony sztuczny symbol, jak tego przykładem architektura Indów i Egipcyan. Złota równowaga, umiarkowanie, jasność i ścisła określność odbija się echem artystyczném w architektonicznéj twórczości Hellena. Łatwiéj téj prawdy dowieść na świątyniach niż na budowlach użytku publicznego, wszakże i w tych ostatnich prawda ta jest widoczna.

Widocznym jest także w ogólném rozplanowaniu helleńskiéj siedziby, charakter wspólny wszystkim tego rodzaju budowlom na wschodzie. Zamknięcie ścisłe od zewnątrz, skierowanie otworów świetlnych ku wnętrzu, oddzielenie części domu przeznaczonéj dla kobiét, (γυναικωνῖτις) od męzkiéj (ἀνδρωνῖτις) części, są to cechy właściwe budowlom mieszkalnym egipskim, asyryjskim, perskim i tureckim.

Atoli wszystkie te budowle przerażają olbrzymiemi rozmiarami. Dom Hellena był szczupły, bogaty tylko w dzieła pędzla i dłuta.

Na siedzibę Egipcyanina, Asyryjczyka składa się również twórczość malarza, rzeźbiarza i architekta, ale w chaosie pomieszana. W pałacach egipskich i asyryjskich malowidła, pomimo świetności ich kolorytu i poprawności rysunku, przestały być wzorem godnym naśladowania, helleńska architektura stała się kanonem artystycznéj twórczości.

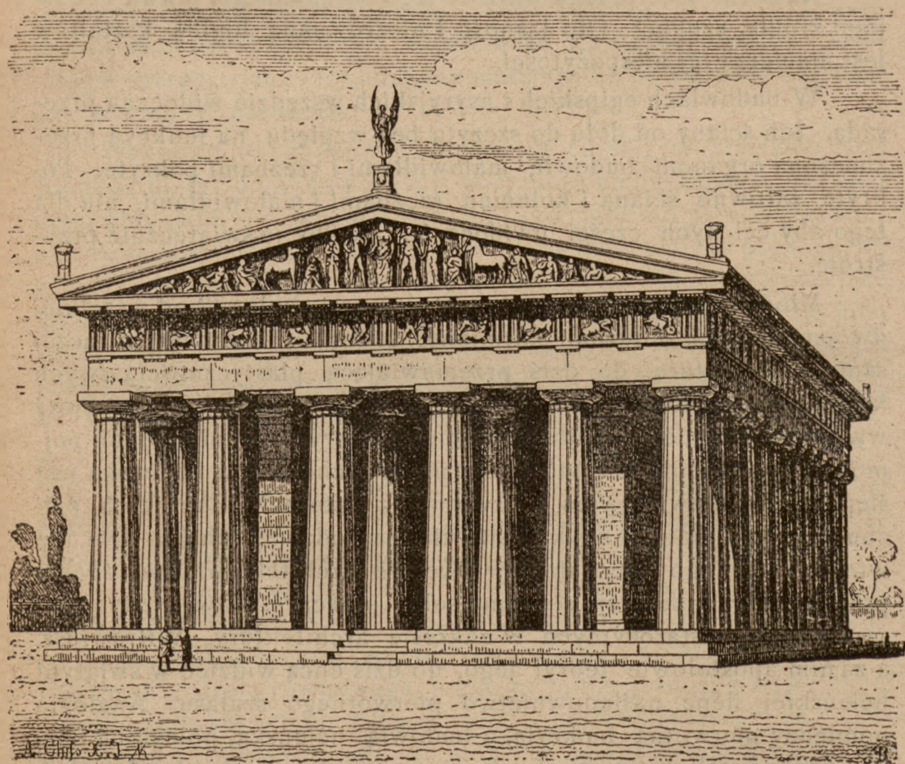
Na czém więc polega wartość tego niezłomnego prawa i gdzie jego źródła szukać? Oto jasność i niezrównana logika kształtów jest macierzą téj niespożytości.

W budowlach egipskich i asyryjskich wszędzie widoczna przesada. Ich ściany od dołu do szczytu bez względu na funkcyą przeznaczoną organom budowli, malowidłami i rzeźbami pokryte. Pokryte zarówno ściana i kolumna rzeźbami i malowidłami, nie dla tego aby cel tych części uwidocznić, ale aby je świątecznie przystroić.

Młodzieńczy geniusz helleński jasnemi, wolnemi od wszelkiéj dwójznaczności obrazami karmiony, stwarza dekoracyą, a raczéj samę architekturę, do dziś przemawiającą plastycznością swych kształtów. Architekton helleński redukuje swe dzieło do prostoty wyrazu pierwotnéj przedhistorycznéj budowy. Błędnie jednak pojmował-by to zdanie ten, kto-by sądził, że architektura helleńska jest ślepém naśladownictwem pierwotnéj z czterech pionowych pali zbudowanéj i matami z łyka i sitowia zagrodzonéj chaty. Dla nie wtajemniczonego specyalnie w kwestye architektoniczne, zdanie powyżéj wyrażone zdaje się same sobie przeczyć. Nawet jedyny pisarz z czasów starożytnych w zakresie architektury, Witruwiusz, a za nim apostołowie teoryi jego, do dziś chcą widziéć w świątyni heleńskiéj ślepe naśladownictwo pierwotnego szałasu. Analogia pomiędzy pierwotną budowlą, a budowlą heleńską, polega na tém, że podobnie jak w pierwszéj z konieczności konstrukcyi, tak w drugiéj ze względów estetycznych, architekt odróżnia i odpowiednio akcentuje i motywuje pierwotne każdéj budowli składowe części. Inaczéj więc akcentuje kolumny, belkowanie itp. to jest szkielet budowli, inaczéj znów tego szkieletu wypełnienie: ścianę. Egipcyanin, bez względu na różnicę funkcyi tych organów, pokrywa je jednakiemi, odtworzonemi na wzór miejscowéj fauny i flory motywami.

W helleńskiéj architekturze, obrazy malarskie czy téż płaskorzeźby, wypełniają tylko ściany budowli, inne zaś organy specyalnie za pomocą ściśle obmyślanych motywów odróżnione od ściany. Widzimy to najwyraźniéj w budowie świątyń, w których płasko-

rzeźby wypełniają tylko trójkątne pole frontowe i metop, (1) tj. pole kwadratów znajdujących się pod głównym gzymsem świątyni (porówn. rys. 3). Kolumna zaś i tryglif, jako organy wyrażające funkcye dźwigania, umotywowane pionowo ciągnącemi się brózdami, które plastycznie wyrażają przeciwdziałanie siłom na tryglif (2) i kolumnę działającym.



Rys. 3.

W ten sposób można-by racyonalnie wykazać, że najdrobniejszy szczegół helleńskiéj architektury z estetycznéj logiki wypływał. Ale nie oto chodzi nam teraz. Chcieliśmy przedewszyskiém wykazać, do jakiego stopnia jasne odróżnianie części składowych doprowadzone było w architekturze helleńskiéj. Daru tego tak ważne-

(1) Metopami nazywamy rząd kwadracików pod głównym gzymsem świątyni znajdujących się.

(2) Tryglifami nazywamy małe żłobione słupki, których cały rząd znajduje się pod głównym gzymsem świątyni.

go, téj podstawy i rdzennego pierwiastku plastycznego kształtowania, nabył Hellen wśród krajobrazu, niczem niezamąconéj czystości barw i konturów.

Toż samo poczucie jasności widzimy w helleńskiéj poezyi. Dość przebiedz jednę pieśń Homera, aby przekonać się z jaką wyrazistością, a nawet realizmem, Hellen wyrażał to, co czuł i widział. Środek koła, łódź, berło, opisane z dokładnością urzędowego spisu inwentarza, jednak bez pedanteryi właściwéj tego rodzaju aktom. Nie masz tu domyślników, wyrzutni i entymematów, syllogizm i miara wiersza, ściśle dająca się określić, widoczna wszędzie. Tak samo w architektonicznych kształtach. Wszystko co zawikłane, nie wyraźne, natłoczone, razi Hellena jak blask oślepiającego światła, z jego sztuki na wygnanie skazane. Śmiało nakreślone linije i płaszczyzny, złoty stosunek proporcyi, wolne jednak od wszelkiéj pedanteryi i matematycznego schematyzmu, są téj architektoniki znamionami.

W płaskorzeźbach wypełniających fronty świątyń, metopy, czy też zdobiących kwatery dekoracyi ścian domów mieszkalnych, powikłania przecinających się linii nigdzie nie zauważymy. Nawet cienie, przez figurki płaskorzeźbę składające rzucone, nie pokrywają się wzajemnie, przez co obraz rzeźbiarski z nadzwyczajną jasnością przedstawia się oku. Nawet po uwolnieniu się od pierwotnéj archaicznéj naiwności, rzeźba helleńska zachowuje do tego stopnia sobie właściwą jasność, że efekty perspektywiczne nawet na teatralnych scenach, które są bez głębokości, miejsca nie mają.

Wpływ krajobrazu, zjawisk przyrody, bez zaprzeczenia działa na twórczość fantazyi naszéj. Prawdę tę badacze sztuki oddawna przeczuwali, ale zyskała ona dopiero naukową sankcyą, dzięki pozytywnemu kierunkowi estetyki na faktach historycznych i fizyologicznych opartéj. Pomimo postępu wiedzy, stopień i natura wpływu otaczającéj przyrody na twórczość architekta, a ztąd wypływające pokrewieństwo architektonicznych stylów z tworami przyrody mylnie jest pojmowana. Według tych mylnych pojęć architekt wprzód naśladuje to co się przed oczyma jego przesunęło. Tak np., kolumna helleńska ma być bezmyślném naśladownictwem pnia drzewnego, tryglify mają oznaczać końce belek drewnianych, któremi pierwotnie świątynię pokrywano. Takie naśladownictwo jest właściwością tylko tych stylów, które mają raczéj historyczną niż estetyczną wartość. Trudno było by zaprzeczyć, że kolumny egipskie są naśladownictwem roślin bulwowatych, że kapitel perski złożony z dwóch z sobą zrośniętych byków, które jakby uginają się pod ciężarem na ich grzbiecie umieszczonym, jest naśladownictwem

rzeczy widzianych. Fałszywą jest jednak teorya, według któréj helleńskie style i późniejszych epok temu samemu niewolniczemu naśladownictwu zawdzięczają swe pochodzenie.

Podobnie jak w przyrodoznawstwie o pochodzenie człowieka, tak samo w dziedzinie sztuki toczy się spór o genezę kształtów architektonicznych. Jedni w tych kształtach chcą widziéć bezmyślne naśladownictwo tworów przyrody, inni znów z nieokiełzanéj fantazyi wszystko wywodzą. Wpływu przyrody i przyczyn materyalnych architektonicznéj twórczości zaprzeczyć nie można, ale wpływ ten działa nie w takiém znaczeniu, w jakiém chce go widziéć gruba teorya materyalistyczna, apostołowie któréj bezwiednie odrzucają czynnik fantazyi twórczéj, zastępując go reprodukcyjną wyobraźnią.

Jakkolwiek postrzeżenia są materyałem twórczości naszéj, nie zastępują one jednak jeszcze twórczości. Wyobraźnia dopiéro przez tworzenie nowych układów z przyswojonych w umyśle postrzeżeń, płodzi ideały, cel artystycznéj działalności. Im wyobraźnia reprodukcyjna, bierna, stoi daléj od twórczości produkcyjnéj, czyli twórczéj, tém twór architektoniczny doskonalszy. Przewaga władzy reprodukcyjnéj nad produkcyjną widoczna jest w dziełach archaicznych, w których bierne naśladownictwo rzeczy widzianych jest istotą tworu. Przykładem kolumna lotosowa, kapitel w postaci dwóch byków, wklęsłe dachy chińskie i t. p.

W helleńskiéj architekturze nic podobnego zauważyć się nie da. Kształty jéj są produktem twórczéj fantazyi, nic nie mającéj wspólnego z otaczającemi człowieka zjawiskami przyrody. Otaczający krajobraz pozostawił tylko w umyśle helleńskiego architekta trzy sobie właściwe przymioty: poczucie wyrazistości, jasności szczegółów i umiarkowanie rozmiarów, złotą równowagę i proporcyą, które to przymioty skrystalizowane są tak w całokształcie, jak i w szczegółach helleńskiéj budowli.

Tak więc, wyobraźnia reprodukcyjna odgrywa ważną rolę w twórczości architekta, pozostawia w dziełach jego niezatarte ślady, ale ślady te u rozmaitych narodów objawiają się pod rozmaitemi postaciami. Stopień i rodzaj tych śladów zależy od ukształcenia zmysłów przez zewnętrzne wpływy.

Wiadomo, że zmysły podobnie jak ciało za pomocą sztucznych środków mogą być znieczulone lub też podniecone do stanu nerwowego rozdrażnienia. Każda téż rasa, każdy naród i epoka, odznacza się pewną indywidualną wrażliwością zmysłu wzroku. Dla oka Inda, wśród burzliwéj przyrody wychowanego, linie nigdy nie są dość zawikłane a kształty dość skomplikowane; Egipcyanin nie

zna miary w rozciągłości linii prostéj, to co Hellenowi wydałoby się monstrualnością, dlań jest złotą miarą. Hellen już na świat przychodzi z chroniczném cierpieniem, które dziś objawia się w nieco odmienny sposób, a nazywa się nerwowością. Wpada on w stan rozdrażnienia na widok najdelikatniejszego przekroczenia złotéj estetycznéj miary.

Rzecz jednak szczególna, obok takiego subtelnego poczucia formy, jaskrawość barw nie razi Hellena. Zestawienie obok siebie barwy purpurowéj, niebieskiéj, zielonéj i złocistéj, jak to udawadniają nam wywody Hittorfa, tyczące się polichromii helleńskiéj architektury, a ilustrowane rysunkiem Partenonu przez Garnier'a i Paccarda odtworzonym, nam wydają się zbyt jaskrawemi.

To jest jeszcze jednym więcéj dowodem, że nietylko utraciliśmy delikatność poczucia kształtów, ale jest to również dowodem, do jakiego stopnia wzmogło się osłabienie wzroku.

*
* *

Wstępujemy na grunt zupełnie nowy, który nieokreślonym ciągnąc się szlakiem od Egiptu, Hiszpanii, aż do Indostanu, nie da ująć się w ściśle określone kontury, podobnie jak ideały plemienia, które pas ten ziemi mieczem islamu pokonały.

Obok wrodzonéj Arabom silnie rozwiniętéj wyobraźni, skłonności do monoteizmu i abstrakcyjnego myślenia, rozwijają oni nauki przyrodnicze, matematykę, poezyą i rolnictwo.

Arabowie, podobnie jak hordy germańskie w chwili ich napadu na państwo rzymskie, są dziećmi przyrody. W takim pierwotnym stanie rozwoju kultury społecznéj, najeźdźcy przyswajają sobie obyczaje, zdobycze naukowe i ideały artystyczne podbitego narodu, stojącego jednak na wyższym szczeblu cywilizacyi. To szczególniéj stosuje się do Arabów, jako plemienia nadzwyczaj wrażliwego, obcym wpływom podlegającego. Zauważmy przytém, że Arabowie, *par excellence* abstrakcyjni myśliciele, twórcy nowego systematu rachowania, podobnie jak inne plemiona semickiéj rasy, Izraelici i Fenicyanie, pozbawieni byli daru plastycznego. Wrodzony charakter Arabów, pod wpływem al-koranu, który zabraniał przedstawiania Boga w konkretnéj formie, ich silnie rozwinięta wyobraźnia musiała sobie szukać ujścia inną drogą. Fantastyczność, gra linii i barw olśniewających, sztuka ornamentacyjna najbardziéj fantazyjna, jaką zna historya, zastąpiła piękno plastyczne. Arabeska jest wiernem źwierciadłem pojęć twórców tego rodzaju ornamentów.

W każdym stylu architektonicznym wpływają wzory miejscowéj fauny i flory na charakter ornamentacyi. W architekturze

egipskiéj widzieliśmy lotos i palmę, w helleńskich stylach akantus, w gotyku flora z pól rodzinnych zebrana, tu tylko nie ma ani jednego szczegółu, przypominającego w naturze istniejące wzory.

Ornamentacya arabska, jest najzupełniéj samodzielna i abstrakcyjna. Jako materyał do jéj utworzenia posłużyły kształty geometryczne odpowiednio kombinowane.

Arabski ornament jest najbardziéj urozmaiconą igraszką i kombinacyą linii, które gubią się w oczach, jakby wzajemnie od siebie uciekają, to znów zdają się wzajemnie szukać. Tworzą one wciąż nowe, nowe niezliczone kombinacye, których ani zrachować ani pochwycić nie można.

W tych ornamentacyach odbija się jak w czarodziejskiém zwierciadle duchowy nastrój, skłonność wyznawców wielkiego proroka do nieokreślonego marzycielstwa.

Obok ściśle dających się oznaczyć kształtów geometrycznych téj ornamentacyi, tryska z niéj gwałtownie pulsujące życie. Pomimo swéj natury geometrycznéj, są one grą barw i linii, którym zrównać mogą tylko obrazy kalejdoskopowe. Czasami gra ta dochodzi do tego stopnia delikatnych, nieokreślonych i zmiennych kombinacyi, że wydaje się ona marzeniem sennóm, cudowną na jawie wizyą.

Wśród przestrzeni w ten sposób przystrojonéj o rzeczywistości zapominając, myśl tonie w sennóm marzeniu.

Pałace maurytańskie są czarownemi, nic nie mającego wspólnego z rzeczywistym światem.

Na zewnątrz, podobnie jak w greko-rzymskim domu i w krajach gdzie człowiek zniewolony do ukrywania się przed nadmiernóm światłem słonecznóm, siedziba maurytańska otoczona ślepym, bez architektonicznych motywów murem. Gdy jednak wejdziemy do wnętrza, olśniewa nas świetność barw i subtelność ukształtowania.

Budowle, składające maurytańską siedzibę, grupują się około krużgankami otoczonego dziedzińca, w środku którego znajduje się basen z tryskającą fontanną. Taki właśnie układ daje najbardziéj w tym rodzaju charakterystyczna budowla: Alhambra pod Grenadą.

Wszystko tchnie tu rozkoszą sennego, marzycielskiego, poetycznego bytu. Smagłe, filigranowe kolumny, w porównaniu z całością budowli, cienkie, jak pajęcza tkanina, zdają się nie módz służyć realnéj funkcyi utrzymania pokrycia, na ich wierzchołku spoczywającego. Przestrzeń całą pokrywa sklepienie nic nie mające wspólnego z zasadami konstrukcyi. Jest to naśladownictwo stalaktytów, w geometryczne ujętych kształty, przypominające ko-

mórki pszczelnego wosku. Na około przebiegają ornamenty, a raczéj napisy kufickiego alfabetu.

Urok tych przestrzeni spotęgowany zewsząd okazującemi się, najrozmaitszemi perspektywami, w ramy drzwi ujętemi.

W tém uroczém otoczeniu, jakby nie dla zwykłych śmiertelników, lecz dla mytycznych elfów stworzoném, wśród mieniących się barw i linii idealnéj ornamentacyi, wobec kontrastów łagodnych, głębokich cieniów, przy złotych przedzierających się promieniach słońca, zmysły karmione najbardziéj sprzecznemi, odurzającemi wrażeniami, w takiém otoczeniu Arab marzy o raju Mahometa.

Wnętrze to jest architektoniczném wcieleniem arabskich bajek: z tysiąca i jednéj nocy!

* * *

Ze wszystkich objawów piękna, architektura najmniéj podlega, przemijającym powierzchownym prądom. Prądom tym podlegać mogą inne objawy piękna, choćby tylko dla dogodzenia chwilowym społecznym porywom. Jeden nakaz administracyjny może zmienić odwieczny strój narodowy, ale despotyzm najeźdźcy zwyciężonym nie narzuci nowych obyczajów a zatém nowego typu siedziby, fizyonomia któréj zmienia się powolnym biegiem.

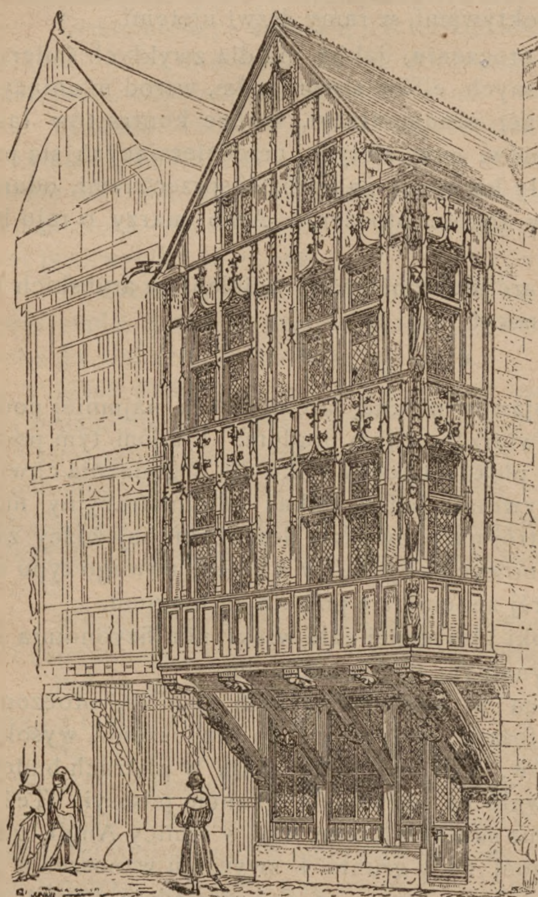
Mijają téż od epoki klasycznéj całe wieki nim fizyonomia siedziby człowieka kardynalnym uległa zmianom.

Szczupłość miejsca w średniowiecznym grodzie, otoczonym obronnemi murami i fosami, zniewoliła do wznoszenia wysokich kilkopiętrowych domów, a to w celu zyskania w piętrach budowli miejsca, którego zbywało na szczupłym gruncie posesyi. Téż same przyczyny i téż same skutki widzimy dziś w stolicy Angli, gdzie z powodu nadzwyczajnéj ceny gruntu i zwyczaju wznoszenia oddzielnego dla każdéj rodziny domu, są one względnie do swéj szerokości nadzwyczaj wysokie. Fasady tych domów mają po dwa a nawet po jedném oknie w każdém piętrze.

Przykładami takich budowli, w podobnych warunkach powstałych, są domy na Krakowskiém-Przedmieściu i na Starém-Mieście w Warszawie.

Elewacye budowli z rozmaitych wieków, dotykalnemi są śladami zmian politycznych średniowiecznego grodu, z których jak na dłoni przeszłość jego czytamy. Jeżeli dolna część domu z kamienia zbudowana, powstać musiała jeszcze za czasów gallo-rzymskich. Późniéj nad temi kamiennemi parterami, wznoszono drewniane piętra, które z powodu szczupłości ulic miejskich, wysuwano na-

przód, przez co górne piętra budowli wystają nad dolnemi, jakby zawieszone ganki (porówn. rys. 4).



Rys. 4.

Już w XI wieku dom mieszkalny traci cechy, greko-rzymskiéj siedzibie właściwe. Mur pełny pokrywa się licznemi drzwiowemi i okiennemi otworami, co było koniecznością przy szczupłym gruncie, na którym miejsca na dziedziniec zbywało, światło więc czerpano nie z wewnątrz domu znajdującego się dziedzińca, atrium, jak w domu greko-rzymskim, ale z miejskiéj ulicy.

Przez drzwi, wprost z ulicy wchodzimy do izby, głównéj komnaty, w któréj zestrzelało się życie rodzinne. Jeszcze w domach z epoki romańskiéj i z czasów Merowingów, widoczne są ślady starożytnéj tradycyi rzymskiéj. Grégoire de Tours (1) wspomina nawet o *gineceum*, oddzieloném od części domostwa przez mężczyzn zamieszkiwanéj, gdy tymczasem w XII wieku, cała rodzina w jednéj izbie się mieści. Na pierwszém piętrze znajduje się wspólna dla całéj rodziny sypialnia.

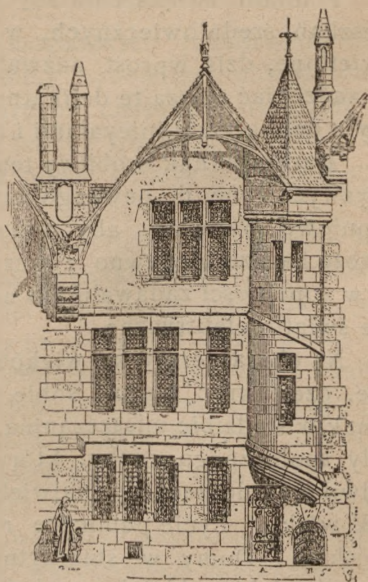
Indywidualizm, który przejawia się już w stroju średniowiecznego mieszczanina, tém dobitniéj odźwierciedla się na zewnątrz w kamiennéj architektonicznéj szacie. Nietylko bowiem każda

(1) Viollet-le-Duc. Dictionnaire.

prowincya, każdy gród miał właściwą sobie charakterystyczną fizyonomią w budowlach wyrażaną, ale co więcéj w jednym i tymże samym grodzie nie było dwóch podobnych do siebie domów mieszkalnych. Nasze nowożytne domy mieszkalne, wszystkie pod jeden podciągnięte strychulec. Na rzymskim renesansie wzorowane, elewacye domów naszych przedstawiają szereg w jednéj i téjże odległości powtórzonych okien, bez względu czy okno ma oświetlać mały pokoik, czy téż wielki salon. Domy średniowieczne dla jednéj rodziny przeznaczone, do jéj indywidualnych potrzeb zastosowane. Średniowieczny architekt, zerwawszy z dawnemi tradycyami, tworzy według własnéj logiki. Ztąd téż okna nazewnątrz nie w jednym rzędzie i ściśle w jednéj odległości uporządkowane, ale stosownie do wewnętrznego rozkładu pokojów. A więc wielkiéj komnacie odpowiada wielkie, małéj przestrzeni małe okno. Dla téjże saméj przyczyny i wzajemne odległości tych otworów na fasadzie domu musiały być rozmaite.

Szczupłość miejsca w średniowiecznym grodzie, o któréj już wspomnieliśmy, oprócz rozwoju domu na wysokość, wywołała jeszcze jeden, nadzwyczaj charakterystyczny rys elewacyi średniowiecznego domu. Klatka schodowa w kształcie baszty wystaje nazewnątrz domu, baszta ta, jak strażnica nad parterem zawieszona, co silnie potęguje indywidualność fizyonomii budowli (por. rys. 5).

Na widok tych budowli instynktowo indywidualność ich odgadujemy. Są to księgi kamienne, z których jednak treść wewnętrzną nie łatwo wyczytać.



Rys. 5.

Łatwo jednak w tych elewacyach odróżnić dwór pański, lub parweniusza, który wczoraj na wierzch wypłynął, od domostwa średniozamożnego mieszczanina. Mieszczanin zwraca elewacyą domu ku ulicy miejskiéj, i ku niéj skierowywa otwory drzwi i okien. Karmazyn cofa w głąb korpus domu swego, a oddzielając go dziedzińcem od zgiełku miejskiego, wytwarza typową rezydencyą: *entre cour et jardin.*

Dom mieszczanina przezroczysty, do szklanéj latarni podobny; w magnackiéj rezydencyi otwory świetlne niewielkie i w małéj liczbie.

Nawet domy mieszczańskie przybierają rozmaite wyrazy fizyonomii, a to stosownie do rodzaju zajęcia ich mieszkańców. W miastach kupieckich domy na zewnątrz szeroko otwarte, tam zaś gdzie ludność rolnictwu poświęcona, siedziba ma wygląd forteczny.

Podobnie jak przyrodnik z jednéj kostki wnosi o warunkach w jakich rozwinęło się zwierzę, tak samo historyk architektury, z liczby i rozmiarów drzwi i okien średniowiecznego domu oznaczyć może czas powstania danéj budowli.

Ściany z epoki romańskiéj, przebite małą liczbą skąpo przepuszczających światło do wnętrza wąskich okienek. Człowiek w tym czasie w swéj siedzibie pożądał z taką chciwością półcieniów, z jaką my dziś światła pożądamy. Są to jeszcze resztki dawnych starożytnych obyczajów klasycznego świata, w którym człowiek pragnął jaknajwiększego w swym domu odosobnienia.

W XII wieku domy szeroko otwiérają się na zewnątrz. Przynajmniéj jedna dobrze oświetlona sala w domu mieszkalnym jest koniecznością. Konieczność ta wyrasta w miarę rozwoju czynnego życia, przemysłu i handlu.

Pomimo zwiększenia się rozmiarów i liczby okien, wnętrza mieszkań średniowiecznych, w porównaniu z naszemi, były źle oświetlone, dziś, wprost nazwalibyśmy je ciemnemi. Témbardziéj też zadziwiać muszą te delikatne, pajęcze, filigranowe roboty, rękopisy z delikatnemi inicyałami i malowidłami, średniowieczu właściwe. Łatwo jednak osobliwy ten fakt wytłómaczyć tém, że gdy oko przyzwyczajone do pewnego natężenia światła, natężenie to musi stopniowo wzrastać, aby pobudzić znieczuloną siatkówkę oka. Jeszcze bardzo niedawno zwyczajna lampa naftowa i światło gazowe w zupełności zadawalniało nas, dziś już nie wystarcza oślepiające światło elektryczne.

Na charakterystykę wieków średnich składają się najrozmaitsze, częstokroć wprost sobie przeciwne czynniki. Szczególniéj jednak w siedzibie mieszczanina znajdujemy najbardziéj dotykalne ślady społecznego ruchu, który rozpoczął się za panowania św. Ludwika, a doszedł do największego we Francyi rozwoju w XIV i XV wieku. Życie publiczne rozwija się na zewnątrz w ulicach miejskich. Domy w starożytności oddzielone ślepemi murami, same dla siebie oddzielne całości stanowiły, małe zamknięte światy; w średniowiecznym grodzie w miarę wytwarzania się wzajemnéj pomiędzy ludnością łączności, domy zbliżają się ku sobie.

Dwie strony wązkiéj uliczki łączą się ze sobą, przez wystające ponad parterem piętra. Taka uliczka szeroka u dołu, wązka na poziomie piętr domów po jéj brzegach wyniesionych, jest pokryta wystającemi ponad parterem piętrami.

Ulice więc grodu z XIV w., zastępują *atrium* tj. dziedziniec starożytnego domu. Mieszczanie nie opuszczając swych domów mogą wzajemnie się widziéć i porozumiewać. Ulica staje się architektoniczną przestrzenią otoczoną dwoma szeregami domów. Ta miejska pod odkrytém niebem hala zastępowała w wiekach średnich brak budowli użytku publicznego. Jedyną bowiem tego rodzaju budowlą była katedra, która zarazem służyła dla zebrań w religijnych jak w świeckich celach.

Widzimy więc tu rdzenne przekształcenie życia publicznego od podstaw do szczytu. Starożytni życie całe spędzali w miejscach publicznych; na agorze, w termach, amfiteatrach i cyrkach. Siedziba domowa gra więc u nich drugorzędną rolę. W wiekach średnich, dom rozwija się kosztem publicznych gmachów.

Charakterystycznym, choć na pozór drobnym szczegółem i znamieniem téj ku zewnątrz dążności jest umieszczanie kominka pomiędzy dwoma oknami, wskutek czego kominy znajdowały się nie wewnątrz budowli, ale na zewnętrznéj elewacyi. Stanowi to także kontrast z domem starożytnym, w którym ołtarz domowego ogniska w środku umieszczony, izolowany licznemi zagrodami i budowlami (np. w Egipcie i Helladzie).

Siedziby osób zamożnych lub magnackich rodzin znów inny typ przedstawiają. Oddzielone od ulicy budowlami, dziedzińcami i murami. Najpiękniejszym i najbardziéj charakterystycznym typem tego rodzaju siedzib jest dwór Jakuba Coeur w Bourges z XV wieku, i *Hôtel Cluny* w Paryżu, dziś jedno z najcenniejszych muzeów sztuki średniowiecznéj.

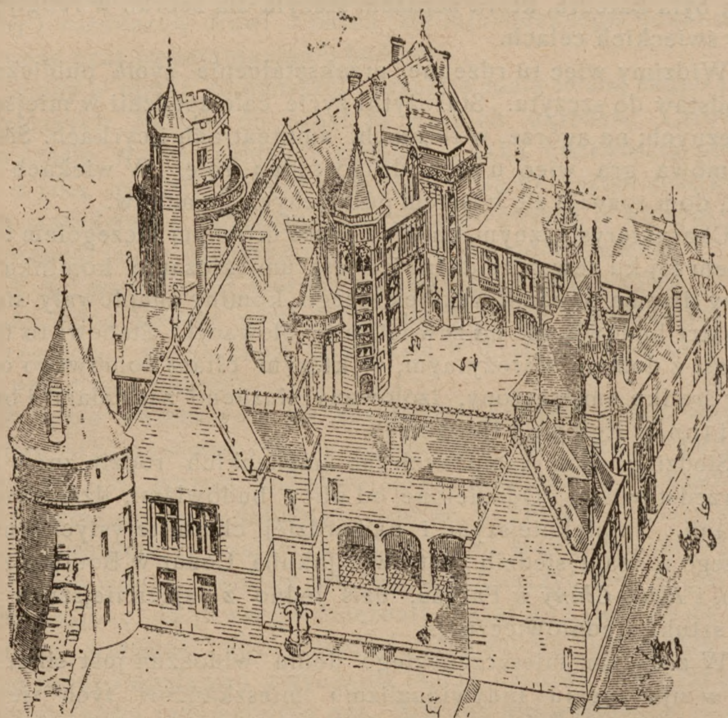
W zasadzie mieszczańskiego domu widoczna jest silna dążność w ujawnieniu indywidualizmu mieszkańców tych siedzib. Tém bardziéj więc w siedzibach ludzi zamożnych, gdzie materyalne przeszkody nie stawiały zapory swobodnemu rozwinięciu się kształtów, kształty te są wiernem odbiciem estetycznych ideałów społeczeństwa średniowiecznego. Ideałem społeczeństwa tego jest spirytualizm, uduchownienie, celowość, na wzór przyrody utworzona a skrystalizowana w średniowiecznéj architekturze.

Główną zasadą téj architektury ujawnienie oku wszystkich, choćby najdrobniejszych części budowy. Jeżeli uosobieniem klasycznéj architektury atleta o doskonale wyrobionych muszkułach pokrywających ukryty szkielet, szkielet ten jest w średniowiecznéj

architekturze widoczny, jest jéj najszczytniejszym celem. Jest-to szkielet, którego logika budowy częstokroć do parodoksu dochodzi.

Zgodnie z ogólnym prądem wieku, hasłem którego racyonalizm, celowość, nietylko oddzielne części konstrukcyi i łuki odporne, pinakle, żebra sklepień itp. obnażone dla oka, ale również wewnętrzne przeznaczenie każdéj oddzielnéj części budowli, powinno być jasno na zewnątrz ujawnione.

A więc przedewszystkiém każda oddzielna przestrzeń pokryta oddzielnym dachem i stosownie do powierzchni, którą zajmuje, otrzymuje odpowiednią wysokość (porówn. rys. 6). Ztąd wytwarza



Rys. 6.

się niezmierna rozmaitość kształtów. Schody w spółczesnych nam budowlach wewnątrz ukryte, w średniowiecznym domu w postaci wież i wieżyczek na zewnątrz ujawnione. W tych wieżach a raczéj klatkach schodowych okna znajdują się na rozmaitych poziomach, a to stosownie do wznoszenia się stopni schodów. Jeżeli schody tworzą grajcarkowatą linię spiralną (1), to linia ta na zewnętrznéj sronie ściany klatki schodowéj reprodukowana (porówn. rys. 5).

(1) T. zw. schody kręcone.

Za pomocą mnóstwa tym podobnych szczegółów, których bliższe wyjaśnienie wchodzi już w zakres specyalnego traktatu, architekt ujawnia na zewnątrz, wewnętrzne przeznaczenie mas składających całość budowli.

To wszystko jednak nie zadowalnia jeszcze średniowiecznego architekta, zaopatruje więc swe dzieło rzeźbioną winietą. Tak np. w dworze Jakuba Coeur, nad trzema oknami oświetlającemi kaplicę, znajduje się płaskorzeźba przedstawiająca: kapłana ubranego w albę, w chwili kiedy święci wodę, za nim młody kleryk na mszę dzwoni, dalej zbliża się żebrak na szczudłach wsparty, co jest zapewne znakiem, że miejsce święte dla wszystkich otworem.

Nad drzwiami jednéj z zewnętrznych klatek schodowych płaskorzeźba przedstawia komin przed którym wisi ptak, dziecko obraca rożen, kobieta zmywa półmiski a kucharz tłucze korzenie w moździerzu. Łatwo domyślć się, że drzwi taką zaopatrzone dewizą do kuchni prowadzą.

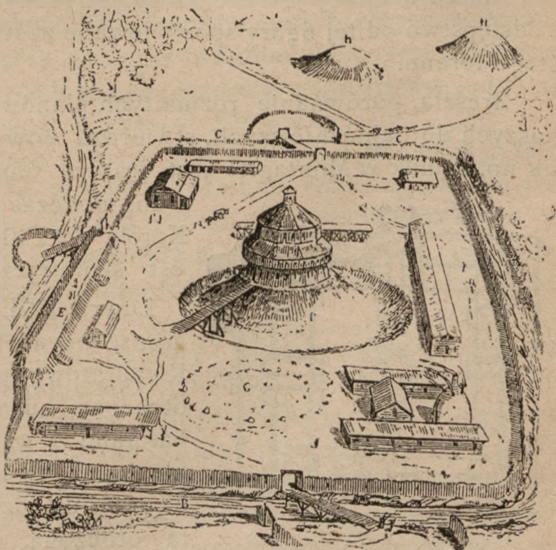
Wszystkich więc środków: układu mas, konstrukcyi, rzeźby użył architekt, aby ujawnić na zewnątrz wewnętrzne przeznaczenie budowli i jéj składowych części.

W starożytności jeden mur pełny maskował wewnętrzny układ domu.

Widomym znakiem skoncentrowania władzy w ręku jednostki jest wysoka budowla przerastająca inne ją otaczające. Budowla taka, z czasem przybierając kształt baszty staje się rdzeniem, z którego rozwinął się udzielny zamek.

Około baszty, która ze względów strategicznych, według ogólnych zasad fortyfikacyi, musi być ze wszystkich stron równomiernie zamkniętą, okrągłą, cylindryczną bryłą, inne budowle grupując się, wytwarzają późniéj całość obronnego zamku.

Do dziś istnieją we Francyi ślady powstania zamku feodalnego.



Rys. 7.

W departamencie Żyrondy (Gironde) w miejscowości *Sainte-Eulalie d'Ambares*, zachowanym został ślad starego zamku Franków t. zw. *la Tusque*, którego Viollet-le-Duc podaje dokładny opis i rysunkową restauracyą, tego nader ciekawego i pouczającego zabytku (porówn. rys. 7).

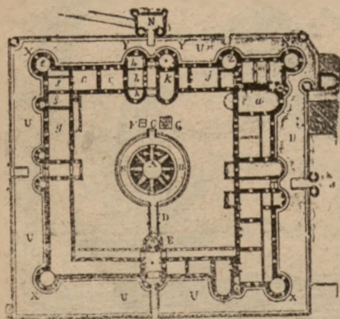
W środku prostokątnéj długiéj na 150, szerokiéj na 110 metrów przestrzeni, otoczonéj rowem i palisadą, wznosi się również rowem i palisadą otoczony kopiec, który służy drewnianéj baszcie za podstawę. Około téj baszty w obrębie kwadratowego pola, grupują się tu i owdzie najrozmaitsze budowle.

Tak przedstawia się pierwotny zamek średniowieczny, gniazdo romantycznych legend.

Absolutnie błędném jest powszechnie powtarzane zdanie, według którego niesymetryczność, malowniczość średniowiecznych zamków umyślnie była wywołana. Owszem, budowniczowie w układzie tego rodzaju budowli starali się o jak największą symetryą, co jest koniecznością ze strategicznych względów.

Jest-to regułą uznaną i stwierdzoną, że zamki na płaszczyznie wzniesione, w swym układzie są symetryczne. Nieregularność układu, malowniczość, która tyle amatorskich komentarzy wywołała, zawsze spowodowana nieregularnością terenu, na którym zamek wzniesiony. Nawet w zamkach na skałach wzniesionych, na terenie nadzwyczaj nieregularnym, widoczném jest usiłowanie nadania obronnemu zamkowi, jak najbardziéj symetrycznego układu. Plan zamku w Coucy jest niemal symetrycznym pięciokątem, a małe odstępstwo od téj figury spowodowane zostało przeszkodami skalistego terenu.

Zresztą, porównanie rozmaitych planów zamków, od najdawniejszych do najpóźniejszych, stwierdza powyżéj wyrażone zdanie. Tak np. zamek w Montagris jest jeszcze obrazem prób i poszukiwań, podczas gdy Luwr z czasów Karola V i Filipa Augusta zupełnie est symetryczny (porówn. rys. 8).


Rys. 8.

Luwr z XIII wieku jest żywą reminiscencyą pierwotnego zamku. Kwadratowe pole z czterech stron otoczone budowlami flankowanemi basztami i uwieńczone fortecznemi blankami. W środku tego kwadratu, a raczéj dziedzińca, wznosi się baszta otoczona rowem. Jest-to więc

pierwotny zamek „*la Tusque*“ zamiast z drzewa, z kamienia zbudowany (porówn. rys. 8 z rys. 7).

Malowniczość więc średniowiecznego zamku jest przypadkową, albo raczéj bardzo naturalną jako produkt naturalnego układu gruntu, z którego wyrósł zamek, jak roślina na właściwéj sobie glebie.

Bertold Schwartz, któremu powszechnie udoskonalenie prochu strzelniczego jest przypisywane, położył kamień węgielny nowego architektonicznego stylu!

Proch strzelniczy, który wszedł w użycie w początkach XIV wieku, wywołał w wieku XV-ym udoskonalenie artyleryi, a z nią kardynalną reformę magnackiéj rezydencyi.

Udzielni władcy, nie dość możni by współzawodniczyć z nową sztuką oblężniczą, poddają się z konieczności nowemu porządkowi rzeczy. Jest-to chwila upadku feodalizmu. Zamki obronne otwierają się nazewnątrz. Blanki forteczne ustępują renesansowym gzymsom. Małe, właściwe zamkniętym obronnym zamkom, okienka rozszerzają się. Tylko baszta środkowa pozostaje; symbol dawniejszéj władzy.

Kortyny (ściany) okalające zamek zmieniają się w otwarte galerye i krużganki, na ścianach zawieszono otwarte loże, zbytkownie udekorowane. Wnętrze dziedzińców, na których dawniéj szykowąli się do boju rycerze, zasłane różnobarwnym kwiecistym kobiercem. Źródła, które dawniéj służyły do zaopatrywania w wodę fortecznych rowów, dziś są źródłem sztucznych kaskad i fontan.

Ogólne ukształtowanie rezydencyi magnackich pozostało niezmienném, tylko szczegóły podległy przemianom, co jest przyczyną częstokroć dziwnego, niedającego się ściśle określić wrażenia, jakiego doznajemy na widok rezydencyi XV wieku.

Zamek z tych czasów czyni wrażenie olbrzymiego cacka. Jest-to budowla obronna do obrony niezdatna. Widoczną w niéj jest kolizya dwóch prądów, kolizya dwóch pierwiastków kształtowania: forteczne zamknięcie i szerokie w znacznéj liczbie pałacowe okna, bogactwo motywów architektonicznych, z wojenną grozą nic nie mających wspólnego.

Takie rezydencye, jak Chantilly i Chambord we Francyi, nie wiadomo jak nazwać: zamkiem czy pałacem. W Chambord baszta środkowa, otoczona kwadratem budowl, flankowanych bastyonami i wieńczonych blankami, jest cechą obronnemu zamkowi właściwą. Obok tego szerokie i liczne otwory świetlne, kolumny, pilastry, gzymsy bogato ornamentowane, nad dachem wijące się lekkie, misternie zaprojektowane schody, kontrast stanowiąc z środkową basz-

tą dają plastyczny obraz architektonicznego pomnika wystawionego jakby na granicy dwóch światów udzielnych: wieków średnich i nowych czasów.

* * *

Po burzy przez wynalazek Schwartza wywołanéj, znów jasna nad światem zapanowała pogoda. Grzmot udoskonalonych dział oblężniczych oczyszcza świat z feodalnych prądów. Ucywilizowany człowiek po ujarzmieniu przyrody i ziemskiéj tyranii, ulega tylko potędze wielkich odkryć i postępu wiedzy.

Takiéj też doniosłości zdarzenia, jak odkrycie Ameryki i przylądka Dobréj-Nadziei, odkrycia zabytków sztuki klasycznéj i zaszczepienie jéj na grunt Italii przez greckich wychodźców z Konstantynopola, wywołać musiały stanowczą reakcyą w społeczném życiu, a z niém i w ukształtowaniu ludzkiéj siedziby.

Realizm i plastyczność nowowskrzeszonéj sztuki helleńskiéj, głównego przedmiotu badań XV w., rozwiewa idealistyczny kierunek i spiritualizm średniowiecznéj architektoniki.

Dwa prądy zespalają się w układzie domu z epoki odrodzenia: starożytnego pogaństwa do gruntu Italii przyrosłego i nowego społecznego ustroju.

Naczelne i środkowe miejsce renesansowego pałacu, podobnie jak w starożytnym domu, zajmuje krużgankami otoczony dziedziniec.

Pomiędzy średniowieczną i renesansową architekturą istnieje zupełnie taka sama różnica, jak pomiędzy rzeźbiarskiemi utworami tych dwóch epok. W pierwszéj przeważa spiritualizm, celowość na zewnątrz ujawniająca wewnętrzną częstokroć niepochwytną ideę, drugiéj zaś właściwością doskonale, proporcyonalnie uformowane ciało.

Pomijając już analizę budowy średniowiecznych katedr, w któréj najdokładniéj wykazać można dążność architektów do ujawnienia w architektonicznych organach, wewnątrz nich sił działających, już budowa domów mieszkalnych, jakeśmy to widzieli, celowość tę nazewnątrz ujawnia. Każda oddzielna część tych budowli średniowiecznych wewnętrzne swe przeznaczenie na zewnątrz ujawnia, bez względu czy taka rozmaitość kształtów dogadza zmysłowemu poznaniu.

Że racyonalizm, celowość, w materyalném tych pojęć znaczeniu, są estetycznemi paradoksami, da się najlepiéj na racyonalnéj, ale nie zawsze pięknéj, średniowiecznéj architekturze udowodnić. Jakkolwiek bowiem nieregularność układu, fantazyjność mas i niesymetryczne rozmieszczenia otworów świetlnych w średniowiecz-

néj architekturze z racyonalnéj wypływa zasady, budowle te czynią na średnio wziętym, poczuciem piękna obdarzonym widzu, wrażenie utworów z samowoli powstałych. Na zrozumienie bowiem tego rodzaju kształtów składają się, jakeśmy to w ogólnych widzieli zarysach, obok wiadomości technicznych, przeniknięcie najrozmaitszych czynników, z których składa się średniowieczna kultura. Atoli, zmysł wzroku, to źródło naszych estetycznych upodobań, przyjmuje zewnętrzne wrażenia bez umysłowéj krytyki, według praw czysto optycznéj natury. Im więc zjawisko bardziéj prostego układu, tém łatwiéj do zmysłu wzroku przemawia, tém pewniejsze estetyczne zadowolenie.

Oko średniowiecznego człowieka, że tak rzec można, jest sofistą, lubuje się w rozwiązywaniu trudnych, skomplikowanych, często przekraczających naturalną granicę postrzeżeń wzrokowych.

Człowiek zaś epoki renesansu, pogodném, młodzieńczem, odrodzoném okiem na świat patrząc, chce wprost, bez trudu korzystać z estetycznych rozkoszy, jakich porządek, symetrya i proporcya jest źródłem. Kształtuje więc on budowle na wzór doskonale fizycznie rozwiniętego człowieka, albo, co na jedno wychodzi, na wzór starożytnéj architektury klasycznéj.

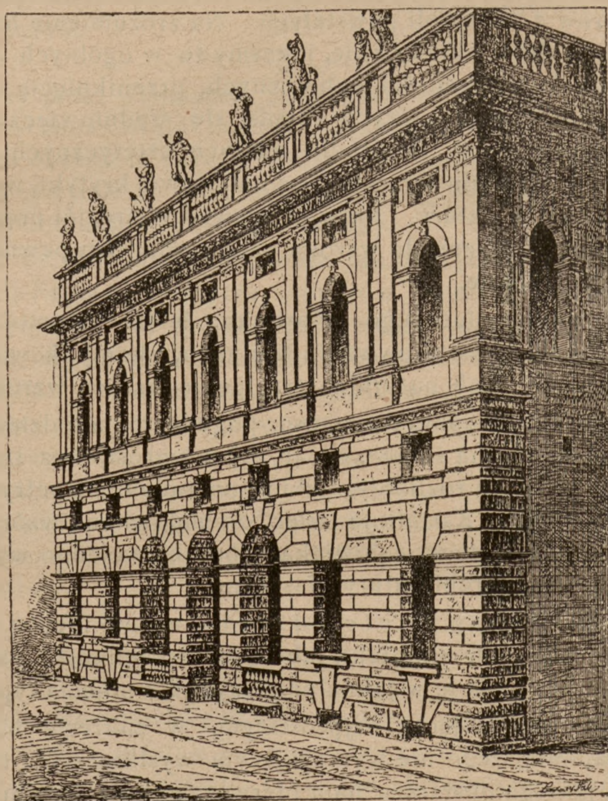
Średniowieczny mistrz dzieła usiłuje ideę zrealizować; renenansowy architekt, jak rzeźbiarz helleński, kształty idealizuje, przedstawia je w jaknajprostszym dla pojęcia typie.

Takim dla pojęcia najprostszym, w zakresie budowniczéj sztuki, najmniejszego nie wymagającym wysiłku myśli typem, jest schemat, jakiego dostarcza nam pierwotna chata przedhistoryczna.

Według jéj wzoru, zapewne bezwiednie, ukształtowana była klasyczna świątynia. Składa się ona, jak jéj przedhistoryczny protoplasta: z podstawy, rzędu słupów, na których pokrycie budowli spoczywa i zagrody. Z biegiem czasu, kiedy budownicze rzemiosło sztuką architektoniczną się stało, podstawa z gliny zlepiona, postać trzech nad sobą piętrzących się gradusów przybiéra; to styllobat świątyni. Pierwotne drewniane słupy przeobrażają się w żłobkowane kolumny, zaopatrzone u góry w elastycznych liniach kapitele. Przez takie umotywowanie, kolumny pełnią nietylko mechaniczną funkcyą dźwigania pokrycia budowli, ale zarazem funkcyą tę plastycznie wyrażają. Nareszcie pokrycie budowli przybiéra postać trójkątnego frontonu płaskorzeźbą wypełnianego (porówn. także rys. 1 z 3).

Widzimy więc tu schemat pierwotnego szałasu, odnajdujemy w nim trzy integralne elementy każdéj budowli. Nie większém

jest jednak to podobieństwo, jak pomiędzy człowiekiem a jego darwinowskim protoplastą.



Rys. 9.

Trzy składowe elementy budowli, w wiekach średnich zapomniane, przez renesansowych architektów wskrzeszone zostały. Na téj zasadzie parterowi budowli np. z trzech kondygnacyi złożonéj, nadajemy charakter podmurowania, olbrzymiego cokółu, a to przez zbudowanie téj dolnéj części, z wielkich wystających kamieni czyli tzw. b o n i ó w. Przez następne jedno lub dwa piętra, przeprowadzamy pilastry lub kolumny, wieńcząc je architektonicznêm belkowaniem i gzymsem, na znak zakończenia budowli (porówn. rys. 9).

Istnieje jeszcze inny sposób kształtowania budowli, według klasycznego kanonu, sposób ten pozornie różny od pierwszego, polegający jednak na téjże saméj zasadzie. Mianowicie każdemu oddzielnemu oknu nadajemy charakter dla siebie całość stanowią-

céj budowli, a to przez otoczenie takiego świetlnego otworu dwiema kolumienkami na cokóle, wysokości okiennego parapetu ustawionemi, a unoszącemi trójkątny, frontonowy daszek.

W ten sposób architektonicznie przystrojone okno, każde stanowi dla siebie całość, jakby mały, na wzór klasycznéj świątyni zbudowany domek (1).

Porównanie fizyonomii domów mieszkalnych średniowiecznych z renesansowemi wykazuje, że celem twórców tych ostatnich zadowolenie zmysłowego poczucia przez naturalny symbolizm kształtów, nie dający dla fantazyi uciążliwych w rozwiązaniu enigmów. Jest to zatém zmysłowe a więc czysto estetycznéj natury zadowolenie. W odgadnięciu zaś znaczenia wyrazu średniowiecznéj budowli, zmysłom umysł w pomoc przyjść musi. Główny zatém warunek piękna, zmysłowość, na plan drugi usunięta. Dla tego téż widok średniowiecznych budowli wprowadza nas w stan duchowéj, nieokreślonéj ekstazy, podczas gdy renesansowe dzieła uspokajają, jak pogodne oblicze olimpijskiego bóstwa.

Wraz z uporządkowaniem i podciągnięciem pod jednę linią okien, które na ścianach średniowiecznego domu, jakby przypadkiem były rozrzucone, uproszczonym zostaje kształt ogólny renesansowych pałaców. Strzelające w górę wieżyczki, poprzyczepiane do ścian, jakby ptasie gniazda, strażnice, piętrzące się po nad sobą, jakby wyniosłości górskie dachy, ujawniane na zewnątrz schody spiralne, wszystkie te szczegóły domu, czy też zamku średniowiecznego znikają z budowli, która w swym ogólnym kształcie, staje się regularnym równoległościanem. Jeden z najpiękniejszych renesansowych zabytków pałac Farnese w Rzymie, przez miejscową ludność *il dade farnese* nazwany, co znaczy: farnezyjska kostka.

Widzimy tu znowu łączność z helleńską architekturą. Świątynia starożytna w swym ogólnym kształcie, to kryształ najprostszéj formacyi: równoległościan prostokątny z trójkątnym na nim umieszczonym pryzmatem.

Atoli, badając głębiéj ducha epoki odrodzenia, przychodzimy do wniosku, że ta łączność ze światem starożytnym jest czysto estetycznéj natury. Albowiem starożytna architektura zarazem czyni zadość konstrukcyjnéj logice i logice estetycznéj. Każda składowa część budowli pełni zarazem właściwą sobie mechaniczną jak i estetyczną funkcyą. Kolumna np. istotnie służy do

(1) Domy w Warszawie na wzór renesansowy wznoszone, służyć mogą za ilustracyą téj zasady.

podparcia wzniesienia ponad poziom pokrycia budowli i plastycznie przeznaczenie to wyraża. Tak samo każdy inny organ budowli. Kolumna renenansowa najczęściéj wyraża mechaniczną funkcyą, któréj bynajmniéj nie spełnia. Z renesansowéj elewacyi można wszystkie kolumny i pilastry usunąć, nie osłabiając przez to mocy budowli, podczas gdy odjęcie kolumn ze starożytnéj świątyni ruinę jéj sprowadzi.

Renesansowa architektura jest dekoracyjna, ale dekoracya ta utworzona według zasad konstrukcyi, w artystyczne przybrana kształty. Wszystko obrachowane tu dla zadowolenia zmysłów, dodajmy jednak, że zadowolenie to polega na prawach logiki estetycznéj. Kontrast pomiędzy renesansową a średniowieczną architektórą jest widoczny, w pierwszéj wszystko dla zmysłów, w drugiéj dla umysłu.

Wskrzeszony świat pogański, prądem nowych czasów oczyszczony, rozkosze zmysłowe z umysłowemi porywami skojarzone, materyalizm z idealizmem pogodzony, swe wcielenie znajduje w dynastyi Medyceuszów, bankierów, którzy ze swego zawodu osiągnięte zyski dla dobra publicznego poświęcają.

Bankierzy Medyceusze nic jednak z nowożytną filisteryą nie mają wspólnego. Nie złoty cielec, ale starożytny posąg, dzieła helleńskiéj kultury stają się ideałem ich życia. Koźma Medyceusz, zakłada akademie filozofii, Wawrzyniec jest istnym ateńczykiem, drugim Peryklesem.

Na pokojach téj artystycznéj dynastyi, rozmowa podniesiona na wysoką, subtelną nutę, treścią jéj filozofia, poetyka i sztuki rysunkowe. Świętem inteligencyi nazywa Taine te wytworne zebrania.

Dla takich też olimpijskich uroczystości potrzeba było odpowiedniego olimpijskiego przybytku.

Przybytek ten, na wzór świątyni helleńskiéj, pokryty plafonem złożonym z rzędu pod kątem prostym przecinających się belek, tworzy szereg kwater przepysznie rzeźbionych, złotem i żywemi barwy jaśniejących. Ściany zasłane arcydziełami sztuki malarskiéj, złocistą skórą, jedwabnemi tkaninami, aksamitem wzorzyście złotem i srebrem tkanym. Przestrzeń wypełniają sprzęty, każdy ręką mistrza zdziałany. W téj bowiem epoce nie ma rzemieślników. Artyści rzeźbiarze, złotnicy, malarze i architekci, oddają się z równym zapałem kompozycyi w ich specyalnym zakresie, jak w stosowaniu swéj sztuki do przemysłu. Machina, która dziś odbija z pod jednego stempla rzeźby, do ozdoby naszych domowych sprzętów służące, nie była znana w epoce renesansu.

Na półkach naczynia kryształowe z Murano, różnobarwne majoliki, na kominku figurki dłuta Benvenuta, na konsolach sprzęciki ze słoniowéj kości, srebra, z metalu odbijane.

Taką to atmosferą oddychali przyjaciele Rafaela i Tycyana, bankierzy, których handlowe tranzakcye na celu miały zgromadzenie z całego świata, tego co jest najwznioślejszym ducha ludzkiego objawem. W całém też olimpijskiém tém otoczeniu przebija rozmiłowanie piękna dla piękna, nie zaś nadęta żądza olśnienia klienta czy téż uboższego gościa.

Bankierzy Medyceusze gromadzą nieocenione skarby artyzmu, otaczają się uczonymi, poetami i artystami, nie po to jednak aby stugębna fama mecenasostwo ich głosiła, ale dla tego, że duchowa uczta jest ich jaźni potrzebą.

Bankierzy Medyceusze polotem ducha wznoszą się z nizin plebejuszowskiego swego zatrudnienia na wyżyny patrycyuszostwa.

Deszcz złoty, kiedy padnie na społeczną glebę, odpowiednią do jéj natury, wydaje artystyczną roślinę. Że rozwój przemysłu i handlu, nagromadzenie bogactw wpływa ostatecznie na rozwój w społecznym gruncie tkwiącego artystycznego ziarna, stwierdzają dwie bardzo od siebie oddalone epoki: wiek Peryklesa i wiek Medyceuszów. Dochody Aten za Peryklesa dochodzą do 600 talentów rocznie (około 90,000,000 zł. polsk.). Oszczędności zaś tego miasta wynoszą 9700 talentów. Medyceusze we Florencyi, podobnie jak Perykles w Atenach, niezmierne bogactwa gromadząc, na cele artystyczne swe skarby poświęcają.

Wpływ dobrobytu na rozwój pięknéj strony życia łatwo wytłómaczyć. Człowiek nad fizyczną pracą zgięty, wzrokiem do ziemi przykuty, nie po to wzrok od ziemi odrywa, aby pięknemi rozkoszować się widokami, ale by odetchnąwszy swobodniéj, nabrać sił nowych do dalszéj pracy.

* * *

Z końcem XVI wieku, wytworne, pełne artystycznéj wartości rozrywki i uroczystości z epoki złotéj odrodzenia wiedzy i sztuki, przybiérają charakter zapustnego szału.

Posąg starożytny ustępuje miejsca garbatemu arlekinowi, a przezroczysty eter klasyczny, dusznéj i sztucznéj salonowéj atmosferze. Celem życia zamożnych warstw społecznych—nieustająca karnawałowa zabawa. Potrzeba więc do niéj odpowiedniéj dekoracyi. Zewnętrzna więc jak i wewnętrzna strona ludzkiéj siedziby do nowych potrzeb społecznych przystosowaną zostaje. Wszystko więc, coby rozbawionéj rzeszy nagą rzeczywistość, życie codzienne

przypomniéćby mogło, zostaje usunięte. Logika więc przedewszystkiém na wygnanie skazana.

Najprzód tedy, zewnętrzna strona siedziby nowatorskiemu ulega duchowi. Równoległościenny kształt renesansowéj budowli wykrzywiony. Prostolinijne gzymsy w krzywych liniach nakreślone, kolumny wykrzywione jak spiralnie wijące się grajcarki, pień ich poprzecinany, nad niemi spoczywające kapitele na wzór wazonów z których liście i kwiaty zwieszają się; w takiéj postaci kolumny nie są już organami, które realne przeznaczenie mają, ale cackami, przedmiotami igraszki.

Ponieważ logika chce, aby architektoniczne belkowanie było w prostych liniach ukształtowane, a więc téj logice na przekór, fryzy, gzymsy i architrawy są powykrzywiane, co tylko nieokiełzana usprawiedliwić może fantazya. Nareszcie ściana staje się wypukłą!

Całość w ten sposób ukształtowanéj budowli czyni wrażenie, z ogni sztucznych powstałego fantazyjnego zamku.

Szczyt budowli zakończony złocistéj lub błękitnéj barwy kulą, wzniesioną na barkach atlanta. Z po za niéj strzelają złociste płomienie, pod nią, różnobarwne obłoki.

Wszystkie linie budowli zdają się wyprawiać taneczne skoki, ani oko ani myśli nie dadzą się osiedziéć. Skupienie duchowe, wypoczynek, myśl poważna, wygnana, na wygnanie estetyczną logikę skazuje.

Elegancya, wdzięk, gładkość i cudowność jest ideałem ówczesnego życia. Artyści wszytkich gałęzi sztuki nastrajają się do tego towarzyskiego kanonu. Prawda w twórczości dramatycznéj konwencyonalizmowi ustępuje, bohaterowie na scenie, pamiętając zawsze, że się w wytworném towarzystwie znajdują, ze słodkim na ustach umierają uśmiechem, delikatne bowiem nerwy widzów nie znoszą gwałtownych widowisk. Olimpijscy bogowie, ulubiony ówczesnych malarzów temat, jakby na zapustną zabawę poprzystrajani.

Na wszyskich więc punktach walka wydana logice, własność mającéj trzeźwić rozmarzone umysły.

Z wewnętrznego urządzenia i dekoracyi tych przestrzeni, badacz architektury, bez zagłębiania się w ideały i prądy społeczne, opierając się jedynie na zasadach psychologicznéj estetyki, *à priori* odgadnie ducha społeczeństwa, które w tych murach wzrosło i żyło. Z ekscentryczności barokowych kształtów przeświéca próżnia duchowa, szukających wciąż nazewnątrz nowych wrażeń, mieszkańców tych siedzib.

Ściany nawet na przeszkodzie stają fantazyi wśród karnawałowych zabaw bujającéj. Miejsce ściany zajmuje łudząca ręką malarza wywołana perspektywa, lub téż nieskończona liczba żywych obrazów odbijających się wzajemnie w lustrzanych szybach, wszystkie ściany komnaty pokrywających. Takie wnętrze, jest istnym olbrzymim kalejdoskopem, w którym rolę różnobarwnych szkiełek, postacie ludzkie w błyszczących strojach odgrywają. Żywe te szkiełka poruszają się w takt dźwięków menueta. Pokrycie sali, jéj plafon, jest jakby przezroczystą szklaną szybą, przez którą jakby z za rzędu kulis teatralnych, przegląda na dalekim planie, z czarodziejskiego melodramatu dekoracya.

Widzieliśmy, jak otoczenie wpływając na reprodukcyjną fantazyą, odpowiednie wydaje ideały, drogą więc odwrotną, *à priori*, z przystrojenia siedziby ludzkiéj, wnioskować możemy o duchowym jéj mieszkańców nastroju.

Na wyobraźnię ludów, w młodzieńczém stadyum rozwoju będących, wpływa przedewszystkiém otaczający krajobraz i zjawiska przyrody. Późniéj, kiedy człowiek wyzwoli się z pod wpływów przyrody, stan kultury i ustrój polityczny jest materyałem dla reprodukcyjnéj fantazyi. Jeżeli zaś byt polityczny w ręku jednostki skoncentrowany, jednostka ta daje impuls nowym artystycznym prądom.

Rok 1789 na wygnanie skazuje z dekoracyi komnat, zakochanych bogów i boginki, całujących się kochanków, rozmarzonych pasterzy i gruchające pary gołąbków, zastępując wszystkie te symbole salonowéj idylli, karykaturami politycznéj treści, portretami *sans-culot'ów* i republikańskich bohaterów w strojach *incroyable'ów.*

Posąg słodko marzącéj Ledy, idzie precz, miejsce jéj zajmuje model o groźnéj fizyonomii zburzonéj Bastylli.

Napoleon, uwieńczywszy głowę dyademem rzymskich cezarów i purpurową togę ich przywdziawszy, na wygnanie skazuje style za dynastyi przed nim panujących powstałe.

Sztywny ceremoniał pierwszego cesarstwa, ujmującego wszystko w żelazne kleszcze cezaryzmu, gwałtem wciska społeczeństwa w rzymską estetyczną formę. Ściany więc pokrywają się barwą pompejańską i pompejańskiemi malowidłami, wyobrażającemi kamee z klasycznemi profilami. Piec także poddać się musi woli nowożytnego cezara. Łóżko choć nie wygodne przypomina jednak greckie czy téż rzymskie *kline*, przyozdobione wiązką strzał i lanc, na których frygijska czapka zawieszona. Stolik, to trójnóg, albo starożytny ołtarz, wszystko tu pozuje na Rzym czy téż Grecyę—jest klasycyzmu karykaturą.

Napoleon jest francuskim Tszin-Tszi-Huan-Ti, który w połowie trzeciego wieku przed naszą erą, pokonawszy swych przeciwników i zawładnąwszy rządami niebieskiego państwa, swych poprzedników wszystkie ślady zaciera.

Napoleon, genialny wódz i prawodawca, jest w dziedzinie piękna parweniuszem, jak o tém przekonywa, zresztą, niepospolity portret piórem Taine'a nakreślony (1).

* * *

Postęp cywilizacyi, niwelując różnicę stanów i narodowości, samę przyrodę ujarzmiając, ściera indywidualne piętno z architektonicznych stylów. Etnograficzne granice celnemi komorami zastąpione; kosmopolityzm świata odźwierciedla się w siedzibie człowieka, na jeden szablon skrojonéj.

Indywidualność bowiem architektonicznego stylu wprost z separatyzmu społecznego wypływa. Dowodem tego Chiny, Egipt, Hellada i Szwajcarya. Odgraniczenie morzami i pustyniami mieszkańców nadnilskiéj doliny jest przyczyną zakonserwowania się egipskiego stylu. W Chinach rządowe ustawy zastępują brak naturalnych granic.

Najbardziéj jednak silnym dowodem powyżéj wyrażonego twierdzenia jest topograficzny układ Grecyi. Jedném z najbardziéj charakterystycznych znamion topografii tego kraju, są na każdym kroku naturalne zapory. Zamknięcie to do tego stopnia jest szczelne, że nawet rzeki nie znajdując ujścia, wyżłabiają sobie podziemne odpływy. Oddzielne prowincye Hellady żyły początkowo w najzupełniejszém odosobnieniu, rozwijając się więc indywidualnie, wytworzyły typy budowli właściwe narodowemu geniuszowi.

Podobne przyczyny wytworzyły najbardziéj charakterystyczną architekturę, podziw europejskich turystów: szwajcarskie szalety, indywidualność których dochodzi do tego stopnia oryginalności, że każdy oddzielny kanton wytworzył właściwy typ tych budowli.

Chińczycy, Egipcyanie, Hellenowie i Szwajcarowie wytworzyli odrębne style architektoniczne. Dla czegóż więc wieczne miasto, Rzym, który nad światem panował nic w tym kierunku oryginalnego nie stworzył? Inaczéj téż być nie mogło. Wieczne miasto, stolica świata, na którą świat cały się składał, musiało być tego amalgamatu odźwierciedleniem.

Pierwszym więc i głównym warunkiem stylowéj oryginalności, odrębność klimatycznych i społecznych warunków, szczelne od sąsiadów izolowanie. Dziś cywilizacya do wspólnego mianownika te

---

(1) Porówn. Taine. Napoleon Bonaparte.

czynniki sprowadza. Góry tunelami przebite znikają, odległości kolejami połączone istnieć przestając, wzajemną fuzyą społeczną wywołują.

Postęp cywilizacyi różnicę stanów i narodowości niwelując, przy tych dobroczynnych wpływach, tłumi w społeczeństwie iskrę młodzieńczości. Gorące porywy, rozmiłowanie w sztuce dla sztuki, staje się niezwykłém zjawiskiem. Nauka rozwija umysł kosztem zmysłów, patrzymy na świat umysłowém okiem...

Utylitaryzm stał się naszego wieku hasłem, ludzkość więc znów powraca do punktu z którego wyszła. Ostatni wyraz prądów współczesnéj architektury, podobnie jak przedhistoryczna chata jest dziełem wysoce rozwiniętéj inżynierskiéj techniki jednak artystyczne *horrendum*. Mam tu na myśli przed tygodniem skończoną budowę—wieży Eiffla.

Do takich przychodzimy wniosków, w myśli podążając szlakiem narodów.

Kazimierz Kleczkowski.





Z GALICYI.

Dnia 8 lipca 1889 r.

Zniesienie prawa propinacyi.—Wybory do Sejmu.— Broszura St. hr. Tarnowskiego p. t. „Próby rozstroju“ i porażka stańczyków w ich własném gnieździe. — Nowy namiestnik i jego sposób postepowania.—Sprawa ks. prałata Stojałowskiego i nasze sądownictwo.— Potrzeba towarzystwa parcelacyjnego.

I.

Sejm poprzedni, który dobiegłszy szczęśliwie okresu sześcioletniego, został niedawno rozwiązany, już za to samo zasługuje na uznanie, że raz na zawsze usunął z widowni życia społecznego w Galicyi nieszczęsną propinacyą, ten ostatni zabytek czasów pańszczyźnianych. Ważna ta sprawa wracała po dwakroć do Izby, w końcu jednak doczekała się stanowczego załatwienia. Jeśli się zważy, że większość sejmu składała się z właścicieli dóbr (na 150 posłów, było ich 80), i że ci, jak to poniżéj wykażę, przez zniesienie propinacyi po większéj części stratę ponieśli, to zaiste każdy radykał musi im teraz przyklasnąć, gdyż bądź-co-bądź w tym wypadku zdobyli się oni prawie na heroizm.

Lat temu 14, sejm galicyjski zajął się dobrowolnie sprawą wykupna propinacyi, i wydał wtedy ustawę, zmierzającą do celu. Nosi ona datę 30 grudnia r. 1875. Według niéj, propinacya, po stosowném wynagrodzeniu jéj teraźniejszych właścicieli, miała przejść na kraj dopiéro za lat 26. Lecz i po upływie tego okresu, każdy posiadacz prawa propinacyi, miał jeszcze prawo do jednego szynku. Wykupno było tedy niezupełne. Złośliwi utrzymywali, że na mocy téj ustawy, szlachta miała mieć prawo propinacyi na wieki zabezpieczone. Ustawa nowa, uchwalona 26 stycznia, r. b., znosi ów szynk raz na zawsze, gdyż jéj § 1 stanowczo orzeka: „Prawo wyszynku i sprzedaży napojów propinacyjnych pozostaje w całéj swéj wyłączności i rozciągłości w posiadaniu uprawnionych jeszcze do końca r. 1889. Po upływie tego terminu, przechodzi to

prawo na kraj, względnie na krajowy fundusz propinacyjny. Po upływie r. 1910 prawo to ustaje zupełnie i raz na zawsze".

Po uchwaleniu ustawy z r. 1875, namiestnictwo dochodziło, jaki czysty dochód mógł mieć z propinacyi każdy właściciel tego prawa. Niedługo też potém wręczyło każdemu z nich „orzeczenie", ustanawiające ów dochód, który w nowéj ustawie służy za podstawę do wynagrodzenia. Wysokość wynagrodzenia ustanawia § 6 temi słowy: „Wszyscy właściciele prawa propinacyi otrzymują siedmnasto i pół ($17^1/_2$) krotny czysty dochód podług orzeczeń, wydanych w myśl ustawy z d. 30 grudnia r. 1875".

Jeżeli w ciągu lat 1885, 1886 i 1887, które u nas dla prowincyi uznano za wielce krytyczne, miał kto przynajmniéj o 10% więcéj dochodu, niż przed laty 10, gdy orzeczenia były wydawane, natenczas służy mu prawo wniesienia reklamacyi, a gdy dyrekcya propinacyjna, po zbadaniu rzeczy na miejscu, utwierdzi się w przekonaniu, iż reklamacya była uzasadniona, da mu wyższe wynagrodzenie.

Ktokolwiek spojrzy na cyfry wyżéj przytoczone, musi przyznać, że indemnizacya będzie wcale przyzwoita. Wziąć od razu blisko 18 razy tyle, ile się miało rocznie, to wcale niezły interes, szczególnie dla ludzi, potrzebujących dla uregulowania gospodarstwa, od razu większego kapitału. I w rzeczy saméj byłby to interes doskonały, gdyby nie dwa „ale". Pierwsze z nich polega na tém, że ponieważ indemnizacya ma być wypłacona czteroprocentowemi obligacyami, przeto, aby zapobiedz nadzwyczajnéj zniżce kursu, co niewątpliwieby nastąpiło, gdyby odrazu znalazło się dużo tych papierów na giełdzie, musiano je odstąpić Länderbankowi po kursie 88, skutkiem czego biorący gotówkę, na każdéj setce straci 12 guldenów. Drugie „ale" jest bez porównania ważniejsze.

Rząd szukając prawdziwego dochodu, wziął za podstawę fasye propinacyjne i według nich dochód obliczał. Ale te fasye były prawie wszędzie fałszywe. Pochodziło to ztąd, że ponieważ w Austryi wszystkie podatki są niezmiernie wygórowane, przeto każdy i jak może, swój dochód ukrywa. Kto więc miał z propinacyi np. 1000 guldenów rocznie, ten fasyonował najwyżéj 500 gld. Weźmy teraz tę kwotę i zapytajmy, jak rząd postępował, szukając czystego dochodu. Najpierw, tytułem podatku dochodowego odtrącił 18%, co wyniosło 90 guldenów, następnie na każdym półtysiącu przynajmniéj 40 guldenów odcinał za to, że propinatorowie płacili nietylko za prawo wyszynku, lecz także za używanie budynków do dworu należących, za ogrody i inne drobiazgi zwykle z karczmą złączone. W ten sposób odpadło całe 130 gld. Z 500 gld. czysty dochód wy-

dobyto najwyżéj w kwocie 370 gld. Za to wypłacą papierami 6475 guld., które zmienione na gotówkę, dadzą ledwie 5698 guldenów. Zapytuję teraz, czy kwota powyższa jest sprawiedliwém wynagrodzeniem za prawo, które rocznie przynosiło 1000 guldenów? Lecz może kto powie, że właścicieli propinacyi spotkała sprawiedliwa kara, ponieważ władze podatkowe w błąd wprowadzali. Czy jednak oni temu są winni, że gdy kraj cały upada pod uciskiem fiskalizmu, każdy ratuje się jak może? Błądzili, prawda, lecz nie z rozkoszy, tylko z biédy. Wszak tonący chwyta się nawet brzytwy. Jeżeli się zważy, że z wyjątkiem wielkich majątków, tudzież dóbr rządowych i funduszowych, wszyscy inni zatajali prawie połowę istotnego dochodu z propinacyi, przeto nie odbiegnę daleko od prawdy, gdy powiem, że indemnizacya rzeczywista powinnaby teraz wynosić nie 62,200,000 guldenów, jak to ustawa orzeka, ale najmniéj 90 milionów. Tak więc około 30 milionów tracą właściciele dóbr, a tracą je dobrowolnie, oni to bowiem sami, czyniąc zadość opinii publicznéj, która ze względów etycznych domagała się zniesienia propinacyi, większością swoich głosów w sejmie uchwalili nową ustawę.

Nie będę przytaczał całéj ustawy, gdyż dla szerszego koła czytelników, suche paragrafy nie są lekturą interesującą; sądzę téż, że czytelnik woli się teraz dowiedziéć, jaką doniosłość tak moralną jak ekonomiczną, będzie miało dla Galicyi zniesienie propinacyi. Co do moralnego, mam nadzieję, że będzie ona wielka. Ostatni zabytek średniowieczczyzny upadł; ścisły związek między karczmą a dworem ustanie; żyd-arendarz nie będzie więcéj faktorem i przyjacielem dziedzica; bankrutujący szlachcic nie będzie odtąd sarkał na księdza, gdy ten zacznie krzewić wstrzemięźliwość; powoli zginie niechęć chaty do dworu i chłop w dawnym panu będzie widział tylko bogatszego sąsiada, z którym wespół zasiądzie w radzie gminnéj. Nierównie mniejsza doniosłość będzie ekonomiczna. Gdyby Galicya rozwijała się pod względem materyalnym prawidłowo, gdyby jéj wydatki równoważyły się z dochodami, natenczas równoczesny przypływ 62 milionów dałby się dobrze uczuć i po niejakim czasie ogólny dobrobyt musiałby się podnieść. Ale my, niestety, nie żyjemy prawidłowo. Wydatki Galicyi wciąż są wyższe od przychodu, a że nie mamy leżących kapitałów, przeto nadwyżkę wydatków, pokrywamy jedynym majątkiem, jaki jest w naszych rękach, tj. ziemią. Ztąd pochodzi, że majątki są u nas niezmiernie obdłużone, a wieś, mająca czystą hypotekę, należy do wyjątków. Ponieważ prawo propinacyi stanowiło dotąd z ziemią całość nierozdzielną, tak dalece, że nawet banki, przy udzielaniu pożyczek brały ją w rachubę, przeto nowa ustawa orzeka, że do rąk właściciela indemni-

zacya dopiéro wtedy będzie wypłacona, jeśli tenże przedłoży wpierw oświadczenie wierzycieli, że się temu nie sprzeciwiają. Że zaś rzadko który obywatel będzie mógł coś podobnego uzyskać, zatém wynagrodzenie pójdzie: 1) na spłatę zaległych podatków i innych należytości skarbowych; 2) na spłatę zaległych rat bankowych, a gdzie niegdzie także na częściową spłatę kapitału bankowego; 3) na spłatę hipotekowanych długów osób prywatnych. Już na te trzy pozycye, które tak się ukryją, że ich ludzkie oko nie dojrzy, pójdzie najmniéj 20 milionów. Drugie tyle, może i więcéj, wpłynie do kieszeni magnatów, duchowieństwa, rządu, rozmaitych zakładów, posiadających dobra ziemskie, nakoniec do kas obywateli-żydów. I te kapitały będą dla kraju stracone, zamiast bowiem jako krew ożywcza wrócić w arterye naszego społeczeństwa, ukryją się po rozmaitych bankach, powędrują do Wiednia na giełdę, część uśnie w kasach oszczędności, a niemało wyemigruje także za granicę do angielskich i francuskich zakładów finansowych. Szczęśliwie jeszcze będzie, jeśli 10 lub 15 milionów krążyć będzie jakiś czas po kraju. Ale i te osiągną wkrótce najwyższy szczebel doskonałości—nirwanę...

Z propinacyą traci drobne obywatelstwo galicyjskie ostatnią rzecz, którą miało jeszcze na sprzedaż. Teraz pozostanie mu już tylko sama ziemia i do tego wysoko obdłużona. Lecz ta wkrótce z pod nóg mu się wysunie, jeżeli inaczéj żyć nie zacznie.

Dochodzą nas słuchy, że za indemnizacyą, którą rząd otrzyma za swoje dobra, tudzież za majątki funduszu religijnego, a wyniesie ona około 4 milionów, zamierza on kupować dobra w Galicyi. Ci, co mają majątki na sprzedaż, bardzo się tém cieszą, gdyż dzięki temu, cena ziemi może się podnieść, że zaś nie będziemy tu mieli do czynienia z drugą komisyą kolonizacyjną: przeto nikt potrzebny nie będzie się wstydził kołatać do rządu, żeby jego zagon kupił.

Czy wypłata indemnizacyi za propinacyą, co na nowy rok nastąpi, wpłynie na cenę ziemi? O ile mnie się zdaje, tylko w pierwszych dwóch lub trzech latach cena trochę spadnie, ale i to nieznacznie. Po upływie tego czasu, ludzie zapomną o propinacyi, jak zapomnieli o pańszczyźnie i wartość ziemi, miasto spadać, będzie się raczéj podnosiła.

II.

Oddawna nie pamiętamy w Galicyi agitacyi wyborczéj tak namiętnéj, nawet gwałtownéj, jak w roku bieżącym. Ledwie dawny sejm został rozwiązany i rozpisano nowe wybory, kraj zaczął się ożywiać, ponieważ stronnictwo postępowe tym razem sobie po-

wiedziało, że wóz spraw krajowych nie powinien toczyć się nadal koleją dotychczasową. Dotąd było w zwyczaju, że sejm ustępujący wybiérał dwa komitety centralne, jeden dla Galicyi wschodniéj, drugi dla zachodniéj a te nowemi wyborami kierowały. Przeciw nim przez długie lata nikt się nie buntował i głos ich był zawsze decydującym. Teraz jednak postępowcy tak powiedzieli: „Dla czego mamy ślepo ulegać komitetom, wybranym przez konserwatywną większość sejmową, skoro z góry wiemy, że one prawie wszędzie będą przeciwne naszym kandydatom? Pomyślmy raczéj sami o sobie“. Bezpośredniém następstwem tego postanowienia, był wiec przedstawicieli miast i miasteczek, zwołany do Lwowa, gdzie dla przyszłych kandydatów miejskich uchwalono program postępowy. Zdawałoby się, że takie działanie nietylko nie jest zdrożne, lecz owszem, że zasługuje na wszelką pochwałę, bo przecie w każdym zdrowym organizmie, czy to jednostki, czy téż społeczeństwa, wszystkie jego członki prawidłowo poruszać się powinny. Innego atoli zdania byli ci, którzy dotąd dzierżą ster rządu w naszym kraju, a że hr. Stanisław Tarnowski, profesor uniwersytetu Jagielońskiego, jest ich najzdolniejszm publicystą, przeto kazali mu wystąpić w szranki i z budzącym się postępem bój stoczyć. Szermierz stańczyków, acz dawno werwa już go opuściła, usłuchał wezwania i niebawem pojawiła się jego broszura polityczna, p. t. „Próby rozstroju“, w któréj, jak ojciec zbolały na widok syna ginącego, rozdziéra on szaty na widok tego, co się dziś u nas dzieje. Galicya była dotąd taka spokojna, taka zadowolona! Panowie krakowscy rządzili a wszyscy im się kłaniali. Oni zdobywali najpierwsze stanowiska, drobna zaś służba zbierała resztki potraw, padające z pańskiego stołu i tém się tuczyła. Nagle, gdy się ludzie porządni najmniéj spodziéwali, zaczynają ruszać się jakieś tam miasta, których w Polsce nikt nigdy nie uznawał, i pod dowództwem „generałów przeczenia“ stawiają własnych kandydatów. Ależ to rozstrój, anarchia, bunt!— woła szanowny profesor, tracąc z wielkiéj irytacyi świadomość tego, co w życiu politycznèm jest słuszne, a co zdrożne. Gdyby nazwisko hr. Tarnowskiego nie znajdowało się na końcu broszury, nigdybym nie przypuścił, że jest ona utworem jego pióra. Chociaż ten pisarz nie stworzył dotąd dzieła pomnikowego, mimo to głos jego robił zawsze pewne wrażenie, gdyż w dawniejszych jego pracach publicystycznych była przynajmniéj retoryka, która masom, szukającym nie tyle treści, co kolorytu, zawsze więcéj się podoba niż najtrafniejsze argumenty. Ale w „Próbach rozstroju“ nie ma nawet retoryki. Jest tam tylko wodniste narzekanie na szerzącą się bezwyznaniowość; skargi na księży, że mimo zakazu biskupów (!) czy-

tają dzienniki postępowe; operetkowe pioruny, wymierzone przeciw ludziom, niechcącym szlachcie, a właściwie oligarchom ulegać; są nareszcie umizgi do środka sejmowego, do tak zwanych ateńczyków, by ci utworzyli z nimi, ze stańczykami, jedną falangę, ponieważ nadchodzi chwila, w któréj wszyscy konserwatyści będą musieli zamknąć się w okopach Św. Trójcy, i bronić się przeciw nowemu Pankracemu, którym jest redaktor „Reformy“, p. Tadeusz Romanowicz! Cała broszura jest napisana tak słabo, tyle w niéj naciąganych argumentów i tyle nielogiczności, że na obszerny rozbiór wcale nie zasługuje; jeśli zaś o niéj na tém miejscu wspominam, czynię to li dla tego, że jest ona wyrazem opinii panującéj w obozie stańczyków; a zresztą chciałem także zaznaczyć rażący niedostatek sił publicystycznych u tych panów, skoro w chwili tak dla siebie ważnéj, nie mogli zdobyć się na pracę bardziéj krwistą i lepszą. Nie dziw téż, że przebrzmiała ona, nie wywoławszy żadnego wrażenia, i że zamiast odwrócić, raczéj przyśpieszyła katastrofę, która stańczyków spotkała w ich własném gnieździe.

Postępowcy byli zdania, że gdy posiadacze większéj własności ziemskiéj, mają w sejmie, na 150 posłów, aż 80 własnych przedstawicieli, więc żadną miarą nie mogą oni sprawami krajowemi rządzić bezstronnie, albowiem swój własny interes muszą zawsze stawiać wyżéj niż interes włościan i mieszczaństwa. Według nich, należy tedy w miastach wybrać samych demokratów, a zaś po wsiach lepiéj w ostateczności agitować za rozumnymi chłopami, niż za wstecznikami, gdyż włościanie będą się trzymali prędzéj opozycyi, niż „panów“. Prócz tego oświadczyli oni na zgromadzeniach przedwyborczych przez usta swoich wybitniejszych reprezentantów, tak we Lwowie, jak w Krakowie, że ponieważ Rusini są demokratycznie usposobieni, przeto nie należy przeciw nim nigdzie agitować, bo im więcéj do sejmu wejdzie Rusinów, tém większą korzyść odniesie z tego polska demokracya. Adam Asnyk przemówił w téj materyi temi słowy: „Jedném z najważniejszych zadań polskiéj demokracyi, jéj pojednanie się z braćmi Rusinami. To zadanie tylko jedna demokracya skutecznie rozwiązać może. Zatargi bowiem, które istnieją, wykiełkowały pierwotnie na gruncie społecznym, z antagonizmu demokratycznéj Rusi do arystokratycznéj Polski. Do Polski demokratycznéj Rusini zasadniczéj nie mogą żywić nienawiści i mogą z nią spokojnie omawiać warunki pojednania“. Dzięki téj nowéj taktyce przyjętéj w tym roku przez galicyjskich demokratów, włościan, których w sejmie poprzednim wcale nie było, wybrano teraz sześciu, prócz tego zastęp Rusinów powiększył się o czterech posłów, lecz są-

mych nieprzejednanych. Kto teraz zaręczy, że włościanie, z natury arcykonserwatywni, pójdą ręka w rękę z p. Romanowiczem, i że ci z Rusinów, o których wiem, że są nieprzejednani, zechcą układać się z demokratami polskimi? Na to ważne pytanie, otrzymamy atoli odpowiedź, dopiero po zebraniu się sejmu.

Powszechnie wiadomo, że od śmierci Agenora hr. Gołuchowskiego, stańczycy, związawszy się w koteryą dobrze zorganizowaną, możną w środki materyalne, rozum i znaczenie, opanowali w Galicyi najwybitniejsze stanowiska i stali się formalnym rządem. Lubo masy przeciw nim sarkały, do walki otwartéj nigdzie dotąd nie przychodziło, bo jedni się ich bali, drudzy ustępowali im dla miłego spokoju. Dopiero w tym roku miało być inaczéj. Wojna oddawna przygotowana, nagle wybuchła. I uderzono na stańczyków nie gdzieś na kresach, nie w Wiedniu, lub we Lwowie, lecz w ich własném gnieździe, w którém im było tak ciepło i wygodnie, w Krakowie. Tym zaś, który im wymierzył strzałę w samo serce, był pierwszy dziś poeta polski, dr. Adam Asnyk. Wezwany przez stronnictwo demokratyczne, do ubiegania się o mandat poselski z grodu podwawelskiego, wystąpił on na zgromadzeniu przedwyborczém z mową kandydacką, mającą charakter przeważnie polemiczny, i w niéj nie obwijając prawdy w bawełnę takiemi słowy charakteryzował stańczyków:

„Nie możemy uznawać bezwzględnéj supremacyi koteryi, złożonéj z najróżnorodniejszych żywiołów, ze wszystkich sfer towarzyskich, która bez moralnych podstaw, chce uzurpować sobie stanowisko moralnego rządu w narodzie i żąda od wszystkich ślepego poddania się jéj władzy i jéj interesom. Pretensya taka byłaby nieuzasadniona nawet wówczas, gdyby za nią stał cały szereg czynów dodatnich, rozumnych, szlachetnych, bo żadne stronnictwo, mające swój odrębny ideał polityczny, nie może zrzec się prawa do samodzielnego istnienia i dobrowolnie iść pod chorągwie swoich przeciwników. Ale cóż mówić wtedy, gdy jéj działalność należy uważać za ujemną i szkodliwą. Ujemna jéj działalność nie wypływa tyle z zasad, na jakich się opiera, ile ze środków, których używa do dopięcia celu, według znanego aksyomatu: cel uświęca środki! nie wspólność bowiem zasad jest tu wspólnym łącznikiem tego różnorodnego zastępu, składającego się z pierwiastków oligarchicznych, konserwatywnych, demokratycznych i radykalnych, ale przedewszystkiém wspólność interesów. W imię téj wspólności, schodzą się tu i godzą najsprzeczniejsze doktryny. W imię tych interesów koterya ta werbuje coraz świeższych ochotników ze wszystkich sfer społeczeństwa, ochotników, którzy widzą, że w jéj ręku spo-

czywa rozdawnictwo posad, stypendyów i innych beneficyów i że ona jedynie zamyka lub otwiera drogi do karyery w każdym zawodzie. Do dopięcia swoich celów, posiada ona różne środki i sposoby. Olśniewa dostojeństwami, majątkiem, wpływami; otwiera dla swych prozelitów salony i robi z nich od razu ludzi dobrego tonu, należących do śmietanki towarzystwa, wydaje dyplomy na mądrość, geniusz, cnotę. Wszystko, co należy do jéj zaczarowanego koła, jest wielkiém, wzniosłém i świętém; wszystko, co po za jéj obrębem, jest miernością, rozstrojem, negacyą! Że podobna propaganda prowadzi w dalszych następstwach do demoralizacyi społecznéj, do upadku charakterów, do chęci gonienia za łatwą karyerą, nie na mocy osobistéj pracy i zasług, lecz przez schlebianie wpływowym osobistościom, przez protekcyą i nepotyzm; że w dalszym ciągu wyradza serwilizm i hypokryzyą, tego dowodzić nie potrzeba... Czémże są więc oni, że śmią żądać bezwarunkowego poddania się pod swe rozkazy? Czy są rządem, władzą, czy reprezentacyą narodową? Nie! Oni są cichą spółką komandytową, prowadzącą interesa polityczne na własny rachunek i na własną rękę!"

Łatwo się domyśléć, jak straszliwy gniéw zapanował w szeregach stańczyków, po gorącéj mowie Asnyka, któréj liczne tłumy uważnie słuchały, bijąc miejscami grzmiące oklaski. Skoro pierwszy poeta polski ośmielił się rzucić im w twarz rękawicę, przeto radzi nieradzi musieli ją podjąć. Odtąd téż nie sam tylko honor lecz również zagrożony ich interes, nakazywał im wystąpić stanowczo przeciw jego kandydaturze. Uczynili to natychmiast i przeciw zuchwałemu poecie postawili uczonego dra Majera, sędziwego prezesa Akademii umiejętności, który przez lat 22 bez przerwy w sejmie zasiadał. Wierzyli oni głęboko, że przed tą świętością, potulny ludek podwawelski kornie czoła uchyli. Lecz im większa była wiara, tém boleśniejsze musiało być ich rozczarowanie. Mimo niezmiernego wysiłku wszystkich konserwatystów i poparcia rządu samego Majer upadł, Asnyk zaś został posłem wybrany. Był to hejnał radości dla demokratów, a żałobne *requiem* dla stańczyków. To téż pierwsi urządzili owacyą swemu posłowi—drudzy zamilkli z przerażenia.

Na razie nie można nawet przewidziéć, jakie będą następstwa tego faktu. Nie ulega atoli wątpliwości, że wybór Asnyka, lubo dotąd jest tylko policzkiem wymierzonym w twarz oligarchii, w dalszych konsekwencyach okaże się także wielce szkodliwym dla jéj planów, interesów i znaczenia. Społeczeństwo krakowskie, teroryzowane przez koteryą, którą dotąd poczytywało za niezwyciężoną,

otrząśnie się choć w części z więzów gwałtem mu narzuconych; znaczny zastęp uciekinierów z pod sztandaru postępowego, wróci do dawnego obozu, kraj zaś cały, widząc wyłom w twierdzy, która dotąd uchodziła za niezdobytą, powie: „Skoro początek został szczęśliwie zrobiony, przeto dalsza walka musi rozstrzygnąć o losach téj partyi". To samo, zdaniem mojém, powtórzy się w sejmie. Stańczycy, jak każda koterya, nie stoją zasadami, lecz ludźmi. Licznych jéj członków trzymał, nakształt kitu, interes materyalny, łączący ludzi lepiéj, niż cokolwiek innego, a podniesiony obłudnie do znaczenia zasady. Wypowiedziałem to zdanie lat temu 12 w „Chorobach Galicyi" i dziś je z zadowoleniem powtarzam. Tam, gdzie nie ma zasad, które tylko same jedne są w stanie massy entuzyazmować, tam osobistości są wszystkiém. One trzymają koteryą, użyczając jéj blasku i siły. Gdy tych ludzi raz braknie, koterya zaczyna się chwiać; potém często gęsto rozpada się na atomy. Czują to już dziś stańczycy, i hr. Tarnowski wié, czemu w ostatniéj swojéj broszurze leje gorzkie łzy nad mogiłą ś. p. Szujskiego, Bauma, Paszkowskiego, Henryka hr. Wodzickiego, Alfreda hr. Potockiego, Grocholskiego i O. Kalinki, z których czteréj pierwsi byli zagorzałymi stańczykami, trzéj ostatni ich gorącymi przyjaciołmi. Gdy tych brakło, koterya znalazła się w położeniu nader przykrém, nie ma już bowiem ani jednéj takiéj osobistości w swoim obozie, którąby mogła wysunąć na czoło całéj prawicy. I dla tego to hr. Tarnowski umizga się do dawnego środka sejmowego, do ateńczyków. Zdaje się, że nawet przyjdzie do zlania się obudwu odłamów stronnictwa konserwatywnego, wobec lewicy bowiem, która będzie imponowała nietyle mnogością, co jakością swoich członków, skupienie się rozmaitych odcieni obozu zachowawczego stanie się rzeczą konieczną, w każdym atoli razie nastąpi to dopiero wtedy, gdy stańczycy poczynią ateńczykom znaczne ustępstwa i wyrzekną się dla nich dotychczasowéj swojéj hegemonii. Jeźliby ateńczycy na nich tego nie wymogli, popełniliby wielki błąd polityczny, co w przyszłości musiałoby się zemścić na nich samych.

Zwykłe to ludzkich rzeczy koleje! Co u szczytu staje, to powoli zaczyna się w dół staczać. Stańczycy osiągnęli już wszystko, co osiągnąć mogli, a teraz nastąpi może powolne, za to tém pewniejsze cofanie się wstecz... W każdym razie wybory tegoroczne wykazały ich słabość, i rząd będzie to musiał wziąć w rachubę... Władza naczelna inaczéj patrzy na stronnictwo, naginające zawsze po swéj myśli opinię publiczną, a inaczéj na takie, które traci grunt pod nogami... Wobec tego nowy namiestnik, hr. Badeni, także się zastanowi, ażali warto iść ręka w rękę z partyą, któréj panowanie może już nie długie...

Podczas gdy w Krakowie doznała porażki oligarchia, podszywająca się obłudnie pod sztandar czystego konserwatyzmu, równocześnie we Lwowie wystąpiono do walki ze skrajnym radykalizmem, reprezentowanym przez Henryka Rewakowicza, redaktora „Kuryera Lwowskiego“. Na czterech posłów, których Lwów wybiera, trzech wyszło dawniejszych, mianowicie: Smolka, Romanowicz i Goldman, w miejsce zaś Euzebiusza Czerkawskiego, który dla wieku sędziwego i prawie zupełnéj utraty wzroku, nie może téj godności daléj piastować, postanowiono wybrać człowieka o zasadach także demokratycznych. Jako kandydaci wystąpili: Rewakowicz i rękodzielnik Michalski. Wielu przypuszczało, że Rewakowicz niewątpliwie będzie wybrany; przy pierwszém głosowaniu otrzymał on nawet więcéj głosów niż jego współzawodnik, ale mimo to bezwzględnéj większości nie uzyskał. W kilka dni miał nastąpić wybór ponowny. Teraz okazało się, że z całéj prasy galicyjskiéj, krom „Kuryera“ żaden więcéj dziennik nie stanął po stronie Rewakowicza, ba! sam nawet „Dziennik Polski“, który dawniéj szedł z nim ręka w rękę, jawnie go opuścił. Więcéj atoli niż wszyscy inni, zaszkodził Rewakowiczowi długoletni jego towarzysz redakcyjny, p. Teofil Merunowicz, poseł okręgu lwowskiego na sejm krajowy, ten bowiem ogłosił w pismach list otwarty, w którym znajduje się ustęp następujący: „Mimo że sam jestem demokratą i postępowcem, gdy chodzi o wybór posła, biorę Rewakowicza nie takim, jakim on jest w życiu potoczném, lecz za miarę przyjmuję kierunek redagowanego przezeń dziennika. A czémże jest „Kuryer Lwowski“ w obecnéj dobie? Oto jedyném polityczném pismem polskiém, w którego redakcyi podali sobie ręce polscy socyaliści, z ajentami „*d'Alliance israélite universelle*“. Za liberalizm i demokracyą z taką przyprawą ślicznie dziękuję, więc téż nie mogę głosować za człowiekiem, który podobnemu organowi nadaje firmę“. Zarzut ten, niestety całkiem słuszny, musiał jego kandydaturze zadać cios śmiertelny. Przy ponowném głosowaniu, rękodzielnik Michalski otrzymał od niego o kilkaset głosów więcéj. Mówiono, że namiestnik, acz z początku był obydwom równo przeciwny, widząc iż szanse między nimi się ważą, przechylił się ostatecznie na stronę Michalskiego i tém zadecydował jego zwycięstwo, gdyż we Lwowie samych urzędników, uprawnionych do głosowania, jest blisko 1200.

Jutro, tj. 9 lipca, kurya ostatnia, własności większéj, nazywana powszechnie szlachecką, wybiera własnych posłów. Że odda swoje głosy przeważnie na kandydatów konserwatywnych, to rzecz łatwa do przewidzenia. Nie czekam więc na wynik tych wyborów,

lecz wysyłam list niniejszy, gdyż ogólny obrachunek jest już możliwy.

W sejmie, który prawdopodobnie zbierze się w jesieni, na 15o wszystkich posłów, mniéj więcéj trzecia część będzie nowych. Lewica nie będzie liczebnie silniejsza, niż była dawniéj, za to pozyskała ona kilku posłów wybitnych, a prawdziwie niezawisłych, do których zaliczam w pierwszym rzędzie sympatycznego autora „Nędzy w Galicyi w cyfrach“ p. Stanisława Szczepanowskiego. Ktokolwiek jest bliżéj obeznany z życiem parlamentarném, wié, że w ciałach ustawodawczych j a k o ś ć posłów znaczy bez porównania więcéj, niż ich liczba. Jeżeli lewica potrafi teraz zawrzéć pakt z Rusinami i zjedna sobie zaufanie posłów włościańskich, to w takim razie utworzy nawet liczebnie bardzo silną falangę, liczącą najmniéj 5o głosów. Z taką siłą sama prawica będzie się musiała liczyć, są bowiem ustawy, które sejm dopiero wtedy może uchwalać, gdy się za niemi oświadczają dwie trzecie wszystkich posłów. Wobec przyrostu sił lewicy, reorganizacya prawicy jest rzeczą nieuniknioną. Pochłonie téż ona na kształt kartagińskiego Molocha dawnych ateńczyków, których część, z grupką dowodzoną przez ks. Adama Sapiehę, prawdopodobnie utworzy środek sejmowy, aby z jednéj strony mitygować gorące głowy opozycyjne, a z drugiéj zaś hamować zbyt wsteczne zachcianki konserwatystów. Kto stanie na czele prawicy? Zdaje mi się, że ona sama jeszcze tego nie wié. Wybór głowy będzie zależał od układów i kompromisów między jéj różnemi odcieniami. Rusinami, zdaje się, będzie daléj dowodził profesor Romańczuk, którego ponownie wybrał powiat kałuski, chociaż bardzo być może, że i w ich łonie przyjdzie zaraz na wstępie do silnego starcia, ponieważ między nieprzejednanymi, którzy w tym roku znów wyszli z urny wyborczéj, znajduje się urzędnik fiskusa, p. Kułaczkowski, dawny „borytel“, który o przewództwo będzie się pewnie także kusił.

A opozycya, kogo obierze swoim jenerałem? Dawniéj stał na jéj czele Euzebiusz Czerkawski, lecz ten nie został we Lwowie ponownie wybrany. Ale choćby go nawet obdarzyła mandatem kurya większéj własności—bardzo jeszcze wątpię, by człowiekowi tak schorowanemu i sędziwemu, stronnictwo złożone przeważnie z ludzi młodych i gorących, mogło nad sobą kierownictwo powierzyć. Nierównie prędzéj stanie ono pod dowództwem Ottona Hausnera, lecz być może, że i kto inny, o kim w téj chwili jeszcze nikt nie myśli, zechce pokusić się o panowanie nad opozycyą... Dla czego właściwie były minister dr. Floryan Ziemiałkowski, starał się usilnie o mandat i dał się wybrać w Kołomyi? Czyż by to czynił li dla

dogodzenia swojéj próżności? Bardzo wątpię... Wié on aż nadto dobrze, że karyery żadnéj już nie zrobi, ale ponieważ czuje się na siłach, więc chce jeszcze służyć krajowi. W łonie prawicy nie dla niego miejsce,—tam by go się bali, zresztą ze stańczykami, którzy go z ministerstwa wysadzili, ma on obrachunek; w centrum straciłby swoję indywidualność; gdyby był „dzikim“, nie wywierałby żadnego wpływu;—jedyne jego stanowisko na czele opozycyi, z którą łączy go wspólność przekonań demokratycznych, których nawet jako minister nigdy się nie wypierał. Pod takim wodzem lewica mogłaby wiele zdziałać... Zachodzi tylko obawa, czy nie raziłyby jéj zanadto dwa tytuły, które Ziemiałkowski zdobył we Wiedniu: baronostwo i ekscelencya!... Lecz jakby to ciekawie wyglądało, gdyby Ekscellencya kierowała opozycyą.

III.

Nominacya hr. Kazimierza Badeniego namiestnikiem Galicyi, która pod koniec roku ubiegłego nastąpiła, w chwili, gdy się jéj nikt nie spodziewał, była z początku rozmaicie tłómaczona i nie przez wszystkich została z równym zapałem przyjęta. Stronnictwo stańczyków, mające swoję siedzibę w Krakowie, gdzie hr. Badeni był dłuższy czas delegatem namiestnictwa, i gdzie licznych a możnych przyjaciół zostawił, na wieść o powołaniu go przez cesarza na pierwsze w kraju stanowisko, podniosło jeden okrzyk radości, tém większy, że o tę nominacyę, samo oddawna w Wiedniu kołatało. Mniéj był zachwycony drugi odłam stronnictwa konserwatywnego, tak zwana partya podolska, która dopiero w ostatniém sześcioleciu ze stańczykami jeden obóz utworzyła. Jéj niechęć atoli była natury więcéj osobistéj, niż zasadniczéj. Hrabi Kazimierzowi nie zarzucali podolacy, ani braku, zdolności ani energii, ani pracowitości, tylko mieli pewne uprzedzenie do Badenich wogóle, których głowa, hr. Władysław, mimo wielkich zasług, jakie położył na stanowisku członka wydziału krajowego, dla charakteru autokratycznego nie był osobistością popularną, i dla tego do końca życia, acz miał potemu kwalifikacye, nie został sam ani marszałkiem krajowym, ani namiestnikiem. Podolacy tedy bali się, żeby syn nie chciał być całkiem do ojca podobnym. Co do stronnictwa postępowego, to z zasady patrzy koso na wszelką władzę, wyszłą nie z jego łona, więc i hr. Badeniego przyjęło ono z niedowierzaniem. Niedługo jednak trwało a głosy niechętne ucichły, i skończyło się na tém, że ci, którzy nowemu namiestnikowi chcieli trudności stwarzać, przeszli gremialnie na jego stronę. Nastąpiło to wtedy, gdy hr. Badeni sejmowi

się przedstawiając, wygłosił mowę programową. Zapowiedział on w niéj sprężystą administracyę i przyrzekł dbać o dobro kraju. Chociaż jego wystąpienie było niezmiernie dyktatorskie, niedwuznacznie bowiem dał do zrozumienia, że jego wola będzie we wszystkiém rozstrzygająca, tak dalece, że nawet sejm będzie mógł tylko to uchwalać, co on, namiestnik, uzna za pożyteczne, gdyż ustaw innych, cesarz by nie sankcyonował, mimo to wszystkie stronnictwa jednomyślnie mu przyklasnęły. Tym razem zgoda między niemi była tak wielka, że sam nawet „Kuryer lwowski“ znany ze swego radykalizmu, nie wahał się nowego namiestnika nazwać polskim Bismarckiem. Ciekawe to porównanie było, sądzę, jedynie tém wywołane, że kraj, od warstw najwyższych do najniższych, zapragnął nareszcie u steru rządu ręki żelaznéj, któraby, będąc świadoma swoich celów, zaprowadziła administracyą sprężystą, i położyła kres wielorakim niewłaściwościom, które zbyt często, ku powszechnemu niezadowoleniu, powtarzały się za rządów dwóch poprzednich namiestników. Że tak się działo, nie oni temu byli winni. Ktokolwiek zna nasze stosunki wié, że tak ś. p. Alfred hr. Potocki jak i p. Filip Zaleski, działali zawsze w najlepszéj wierze i robili wszystko, co było w ich mocy. Jeżli więc stało się czasem co złego, należy to przypisać nie im, lecz raczéj wpływom postronnym, stosunkom i osobom, słowem przeróżnym okolicznościom, które nad nimi panowały. Ani jeden, ani drugi nie był odlany ze spiżu; dziwić się téż nie można, że gdy z nich który spotkał na drodze siłę inną, a większą od własnéj, miasto z nią walczyć, dla miłego spokoju sam się jéj poddawał... Byli to ludzie zacni, honorowi ale na stanowisku tak wybitném i samodzielném nie całkiem odpowiedni. Fakt, który teraz opowiem, prawdziwy od początku do końca, najlepiéj objaśni, jakich to namiestników miała niedawno Galicya. Gdy po śmierci hr. Ag. Gołuchowskiego zaczęto szukać męża, któryby po zmarłym mógł objąć wielką a nie mniéj ciężką spuściznę, wzrok sfer decydujących padł na hr. Alfreda Potockiego, ten bowiem łatwiéj, niż każdy inny, mógł w kraju zadowolić rozmaite stronnictwa; prócz tego miał on już za sobą karyerę dyplomatyczną, nawet dłuższy czas był ministrem w Wiedniu i na tém stanowisku złożył dowody wielkiéj pojednawczości. Po zamianowaniu go już namiestnikiem przez cesarza, w pałacu pod „kawką“ która chyba dla tego znajduje się w herbie naszéj prowincyi, że, niestety, mamy aż nadto kawek i gawronów, odbywało się przyjęcie wszystkich władz cywilnych. Między innymi przedstawiał się prezydent prokuratoryi skarbowéj ze swymi urzędnikami. Tuż za nim wszedł prezydent dyrekcyi skarbowéj ze swymi podwładnymi. Między nimi znajdo-

wał się pewien młody hrabia. Namiestnik przyjął ich łaskawie, a gdy wychodzili, zatrzymał owego hrabiego i cicho go zapytał: „Czy ci, którzy tu przedtém byli, nie należą z wami do jednego departamentu?“ „Nie, ekscelencyo! Tamci są z prokuratoryi skarbowéj, która broni interesów rządu, my zaś stanowimy dyrekcyą skarbową, która zajmuje się wymierzaniem podatków i wszelkich należytości państwowych“. „Więc to nie wszystko jedno?“ — namiestnik znów zapytał. „Nie, ekscelencyo! Prokuratorya skarbowa to fiskus!“ „Aha! fiskus!“. Hrabia kilkakrotnie powtórzył i zrobił minę, jakby nareszcie zrozumiał różnicę między temi dwiema władzami.

Namiestnik nie umiejący odróżnić poszczególnych gałęzi téj administracyi, którą jego pieczy poruczono, mimo największego wysiłku nie mógł podołać wielkiemu zadaniu, więc choć był honorowy, sumienny, nawet pilny, nie był w stanie kraju zadowolić. Administracya rozprzęgała się coraz bardziéj, a protekcya zaczęła święcić swoje tryumfy, gdyż znaleźli się ludzie, którzy po za plecyma naczelnika kraju wszystkiém rządzili. Gdy nareszcie hr. Potocki ustąpił swego miejsca p. Filipowi Zaleskiemu, złe dawniejsze, miasto ustać, bardziéj się wzmogło, i przyszło do tego, że młodzieńcy, którzy ledwie szkoły pokończyli, zostawali starostami w powiatach liczących po sto tysięcy mieszkańców. Niezadowolenie w kraju szybko się wzmagało, wszystkie warstwy obejmując; w końcu przyszło do tego, że nietylko osoby stojące po za biurokracyą, ale sami nawet urzędnicy zaczęli coraz głośniéj sarkać na rządy równie słabe, jak niesprawiedliwe. W chwili gdy rozgoryczenie osiągnęło szczyt najwyższy, dr. Ziemiałkowski ustąpił ze stanowiska ministra dla Galicyi, na jego miejsce powołano p. Zaleskiego, a zaś posadę namiestnika powierzono hr. Badeniemu, który od najwcześniejszéj młodości był urzędnikiem państwowym, a więc z administracyą miał czas i sposobność wszechstronnie się zapoznać. Teraz łatwo zrozumiéć, czemu jego energiczne, prawie dyktatorskie wystąpienie w sejmie, zostało tak przychylnie przez cały kraj przyjęte.

Czas jakiś jeszcze się lękano, ażali nowy namiestnik nie zechce być zbyt gorliwym orędownikiem, może nawet szermierzem, stronnictwa krakowskiego. Obawy były tém bardziéj uzasadnione, ile, że młody dygnitarz właśnie temu stronnictwu zawdzięczał swoje wywyższenie. Wkrótce atoli przekonano się, że hr. Badeni potrafi być samodzielnym. Gdy posada delegata namiestnictwa została w Krakowie opróżniona, nie powierzył on jéj żadnemu paniczowi o nazwisku historyczném a wielkiéj fortunie, czego tamtej-

sza arystokracya gorąco pragnęła, lecz dał ją najzdolniejszemu staroście, jakiego miał w Galicyi, mianowicie p. Kuczkowskiemu z Kołomyi. Napsuło to pod Wawelem niemało krwi, tak dalece, że nawet sam „Czas“, mimo wrodzonéj powagi i z długoletniego doświadczenia wypływającéj ostrożności, nie umiał ukryć tym razem swego niezadowolenia. Mimo to namiestnik nie uląkł się swoich protektorów i p. K. jest do dziś delegatem w Krakowie. Że hr. Badeni radby powoli wywalczyć sobie takie samo stanowisko niezależne, jakie ongi zajmował tak dobrze w Galicyi, jak i w monarchii hr. Gołuchowski, to się okazało lepiéj niż kiedykolwiek, podczas tegorocznych wyborów do sejmu. W ubiegłém sześcioleciu mieliśmy między posłami aż 6-ciu starostów, którzy głosowali zawsze za stańczykami, względnie z prawicą. Teraźniejszy namiestnik z góry zapowiedział, że sobie tego wcale nie życzy, by starostowie, miasto pilnować swoich obowiązków, bawili się w politykę. Prócz tego nie poszedł on w ślady obu swoich poprzedników, i władzom powiatowym nie kazał agitować za kandydatami miłymi panom krakowskim. Wprawdzie każdy starosta otrzymał z namiestnictwa poufną wskazówkę, ażali osoba, ubiegająca się w jego powiecie o mandat poselski, będzie przez rząd mile widziana, wszelako żadnemu z nich nie kazano występować do walki zaciętéj z ludźmi popieranymi przez opozycyą, jak to się niegdyś działo. Wszak nikt z nas nie zapomniał, że przed trzema laty, ten sam hr. Badeni, jako delegat namiestnictwa w Krakowie, poruszał tamże niebo i ziemię, ażeby przeszkodzić wyborowi T. Romanowicza do rady państwa, i to mu się udało. Obecnie zrobił się jednak więcéj wyrozumiałym dla stronnictwa postępowego, za co każdy człowiek rozsądny musi go pochwalić, prawdziwy bowiem naczelnik kraju, powinien wobec stronnictw autonomicznych zachowywać stanowisko pojednawcze. Jeśli gdzie, to tu, da się zastosować zasada hr. Taaffego, iż rząd powinien stać ponad stronnictwami.

Ale nietylko jako mąż polityczny jest nowy namiestnik zjawiskiem pożądaném. Jako naczelnik administracyi krajowéj zasługuje on także na najwyższe pochwały. Za jego poprzedników, w namiestnictwie lwowskiém panowały zabawne stosunki. Panowie radcy przychodzili do swoich biur na godzinę, najwięcéj na dwie, a i ten czas, miasto na pracę, obracali na czytanie gazet i przyjemną rozmowę ze swymi kolegami. Skutkiem téj opieszałości, sprawy najpilniejsze czekały na załatwienie nieraz całe lata. Nowy namiestnik, przyjmując podwładnych sobie urzędników, stanowczo im zapowiedział, iż pracować muszą, gdyż próżniactwa nie ścierpi, wydał instrukcyą o których godzinach mają przychodzić

a o których wychodzić; odwiedził kolejno wszystkie departamenty, a jeśli którego urzędnika nie zastał, zostawiał mu uprzejmie na biurku swój bilet wizytowy. Skutek był téż natychmiastowy. Jakkolwiek sędziwi radcy wielce się tém irytowali, że człowiek mający lat 45, traktuje ich jak studentów, od których żąda się pilności i posłuszeństwa, mimo to zastosowali się do woli swego naczelnika, gdyż pod jego ręką żelazną musi się wszystko ugiąć. Dziś w namiestnictwie lwowskiém zupełnie inaczéj wygląda. Za przykładem głowy, która od rana z natężeniem pracuje, wszystkie członki ogromnego korpusu, znajdują się przy swoich stolikach, pióra skrzypią, robota szybko postępuje i sprawy, które dawniéj lata leżały, są dziś załatwiane w ciągu tygodnia, czasem jeszcze prędzéj.

Po zaprowadzeniu porządku w namiestnictwie saméni, hr. Badeni zaczął zwiedzać zakłady naukowe, więzienia, rozmaite instytucye, pragnie bowiem jak najprędzéj ze wszystkiém się zapoznać. O ile z dotychczasowéj jego działalności można wnioskować, z wielką gorliwością postanowił on się zająć poprawą stosunków w naszych szkołach średnich, co oddawna jest sprawą piekącą, a w czém będzie mu wielce pomocnym jego brat rodzony, hr. Stanisław, nie mniéj odeń zdolny, a ze sprawami szkolnemi dobrze obeznany.

Chociaż nowemu namiestnikowi w liście niniejszym sporo miejsca poświęciłem, mniemam jednak, że nikt mi tego nie weźmie za złe, zwłaszcza jeśli zechce zważyć, że prowincya, jak nasza, zaniedbana i biédna, dopiéro wtedy zacznie dźwigać się z upadku, gdy na czele wszystkich naszych władz staną nietylko ludzie zdolni, energiczni i pracowici, ale także i tacy, którzy prawdziwie obywatelskim duchem ożywieni, pracę i staranie około dobra powszechnego będą poczytywali za najpierwszy i najświętszy swój obowiązek.

IV.

W namiestnictwie galicyjskiém wieją już inne wiatry, ale tego samego, niestety, nie możemy powiedziéć o naszém sądownictwie. I muszą się w niém dziać rzeczy nie bardzo piękne, nie bardzo moralne, skoro H. Rewakowicz, radykalny redaktor „Kuryera Lwowskiego“, w mowie kandydackiéj, wygłoszonéj we Lwowie na zgromadzeniu przedwyborczém, nie wahał się naszemu sądownictwu zarzucić korupcyi. Czy słowa jego będą miały jaki skutek, przewidziéć trudno; jeśli zaś chwilowo przebrzmią bez odgłosu, stanie się to dla dwóch przyczyn. Najpierw biurokracya jest w całéj Austryi zbyt silna, by na jeden odłam, którym do dziś dnia nie przestało

być sądownictwo galicyjskie, można się rzucić z całą bezwzględnością; powtóre radykalizm Rewakowicza jest zbyt jaskrawy, zbyt gwałtowny, by mógł trafić do przekonania tych, od których sprawa stosunków publicznych zależy. Gdyby np. we francuskiéj izbie deputowanych, stanął dziś drugi Danton i zawołał: „Między nami znajduje się dwudziestu nikczemników, którzy przeciw ojczyźnie wciąż konspirują. Dopóki im głów nie poucinamy, republika się nie ustali!“—bardzo wątpię, czy nawet skrajna lewica słuszność by mu przyznała. Bezwzględny radykalizm popłaca tylko w czasach rewolucyjnych. Przeciwnie, w epoce spokojnéj, jest on zawsze upiorem, który ludzi straszy, i dla tego choćby nawet to, co głosi, było prawdą, nikt mu nie chce przyznać słuszności i każdy radby go zażegnać. Jeśli więc namiętne wystąpienie redaktora „Kuryera“, nie będzie miało następstw bezpośrednich, należy to przypisać nie tyle złéj woli jednostek, co wogóle naturze ludzkiéj, która jedynie wtedy chwyta się środków radykalnych, gdy jest rozgorączkowana, lub boi się zginąć. Wszak terroryzm wielkiéj rewolucyi nastąpił dopiéro wtedy, gdy dla Francyi został on jedynym ratunkiem. W czasach normalnych i w chorobach zwykłych, które jeszcze śmiercią nie grożą, chory woli gojący plaster lekarza, od amputacyjnego noża chirurga. Ale chociaż p. Rewakowicz nie oczyści już teraz naszego sądownictwa, głos jego w następstwach zrobi swoje, ci bowiem, do których się zwrócił, będą musieli poddać krytyce jego wystąpienie. Proces adwokata Jackowskiego, którego zasądzono nie na podstawie prawa, lecz s a m o w o l n i e, o czém, na tém miejscu, rok temu obszerniéj pisałem; nieszczęsna sprawa kukizowska, o któréj, przed pół rokiem, mówiono nietylko w Galicyi, lecz także daleko po za jéj granicami; nakoniec świeżo ukończony proces ks. prałata Stojałowskiego, redaktora pisemek ludowych „Wieniec“ i „Pszczółka“, składają, niestety, aż nadto smutne świadectwo o sumienności naszego sądownictwa. Ktokolwiek głębiéj w rzecz wgląda, widzi, że protekcya, piękne ukłony, niechęć partyjna, związki z osobami wpływowemi, często także proste przekupstwo, zwłaszcza w sądach pierwszéj instancyi, nieraz większą rolę u nas odgrywają, niż przedmiotowa sprawiedliwość. Postępowanie adeptów naszéj Temidy nie musi być chyba nienaganne, skoro nawet koło polskie w Wiedniu przez usta swego konserwatywnego członka, dra Michała Bobrzyńskiego, oświadczyło niedawno na publiczném posiedzeniu parlamentu, że w Galicyi, ze wszystkich gałęzi administracyi państwowéj, najwięcéj skarg uzasadnionych pada na sądownictwo. Mówca prawicy, nie mającéj nic wspólnego z radykalizmem p. Rewakowicza, nie domagał się noża ampu-

tacyjnego; prosił on tylko o pomnożenie sił sędziowskich, które u nas są w rzeczy saméj niedostateczne. Minister sprawiedliwości przyrzekł téż jego życzeniu zadość uczynić, i sądy galicyjskie, w ciągu najbliższego trzechlecia zostaną pomnożone o 190 członków. Lecz czy to już wszystko, czego w téj ważnéj sprawie od rządu mamy się prawo domagać? Chyba nie... Pomnożenie personelu sędziowskiego, wpłynie bezprzecznie na przyśpieszenie toku spraw, wszelako nie zmieni ducha, tkwiącego w organizmie naszego sądownictwa, a o toby się głównie starać należało. To zaś nastąpi dopiéro wtedy, gdy u steru staną ludzie równie rozsądni jak energiczni, równie sprawiedliwi jak niezawiśli. Dopóki jednak sąd nie przestanie być wykonawcą woli prokuratora w sprawach karnych, który znów jest ślepém narzędziem w rękach pewnéj koteryi, dzierżącéj chwilowo władzę; dopóki kodeksy nie ulegną reformie, a zaś w sprawach cywilnych dopóki postępowanie pisemne nie zostanie na ustne przeistoczone, dopóty zmiany w naszém sądownictwie należéć będą do pragnień równie pięknych, jak trudnych do urzeczywistnienia. Lubo nie jestem zwolennikiem Prus i ich cywilizacyi brutalnéj, przecie mam szacunek dla ich sądownictwa, a gdy pomyślę, ile to już razy trybunały tamtejsze sprzeciwiły się woli samego Bismarcka, choć mąż ten jest półbogiem narodu niemieckiego pytam się w duchu, ażali sądy nasze zdobyłyby się kiedy na podobną samodzielność, i zawsze, niestety, jestem zmuszony sobie odpowiedziéć, że tak odważnym nie okazałby się żaden trybunał austryacki. U nas nietylko drugi Bismarck, lecz każdy minister sprawiedliwości, bal nawet pierwszy lepszy magnat, ociérający się o ministrów, więcéj w sądownictwie dokaże, niż kodeks ze wszystkiemi paragrafami. Gdy rok temu poseł niemiecki, Pernerstorfer, wystąpił w radzie państwa z całym szeregiem ciężkich zarzutów przeciw naszemu sądownictwu, cesarz nakazał co do nich surowe dochodzenie. Sprawa przyszła do Lwowa i... utonęła. P. Rewakowicz zaatakował teraz w swoim organie kilku adwokatów lwowskich, zarzucając im publicznie takie drobnostki jak: krzywoprzysięstwo, oszustwo, nadużycie władzy urzędowéj, a chociaż od dwóch miesięcy prawie codzień im powtarza, że jest gotów udowodnić im te ciężkie zarzuty przed sądem, adwokaci milczą i o obrazę swojéj czci dotąd go nie pozwali, prokurator także milczy, gdyż on z urzędu nic o tém nie wié, a sąd przysłuchuje się téj walce obojętnie, bo gdzie nie ma skargi formalnéj, tam nie ma i sędziego. Czy jednak gdzie indziéj nie kazanoby dochodzić prawdziwości publicznie podniesionego oskarżenia? Proces ks. prałata Stojałowskiego, o którym słów kilka chcę teraz powiedziéć, świadczy także o tém wymownie, że coś się popsuło w maszyneryi państwa duńskiego...

Ks. Stojałowski, eksjezuita, dziś prałat papieski i proboszcz kulikowski, człowiek lat czterdziestu kilku, jest znany z talentów, energii i gorączkowéj działalności na polu oświaty ludowéj. Dla gwałtownego temperamentu, naraził on sobie jednak bardzo wielu ludzi wpływowych, a w pierwszym rzędzie poróżnił się ze swoim własnym konsystorzem, któremu nie chciał we wszystkiém ulegać. Od lat blisko 15-tu redaguje on pisma ludowe „Wieniec“ i „Pszczółkę“. W Galicyi zachodniéj trudno znaléźć taką wioskę, któraby nie abonowała choć jednego egzemplarza jego pisemek. Lud czyta je bardzo chętnie, uważając ich redaktora za zjawisko nadzwyczajne, ks. St. bowiem przemawia do chłopa jego własnym językiem i „panów“ przed nim bynajmniéj nie szczędzi. Nie trudno się domyśléć, że szlachta odpłacając radykalnemu redaktorowi pięknèm za nadobne, przedstawia go za to w wyższych sferach w świetle jak najgorszém. Konsystorz, wszakże nie miał z początku nic przeciw tak pojmowanéj oświacie ludowéj; dopiéro gdy ks. St. raz i drugi z nim samym zadarł, wyparł się opornego klechy i odtąd stara się zrobić go nieszkodliwym. Powiadają, że w konsystorzu, gdzie stronnictwo dawne, krajowe, ustępuje coraz bardziéj przed wpływami partyi ultramontańskiéj, ks. St. ma pierwsze po swéj stronie, za to owi kosmopolici, o których śmiało można powiedziéć, iż są bardziéj katolickimi niż sam papież, należą do jego bezwzględnych przeciwników. Przedewszystkiém nie mogą mu oni przebaczyć stanowiska niezawisłego, które zdobył własną pracą; powoływania się ciągłego na Rzym, gdzie ma osobistych przyjaciół; nakoniec rozmaitych pielgrzymek, które na własną rękę z włościanami urządzał. Nie małą rolę odgrywa tu także prosta zazdrość, nie da się bowiem zaprzeczyć, że ks. St. jest zdolnym, jak rzadko który z naszych duchownych. Czy jednak dobrze ten człowiek robi, że miasto, jako kapłan, działać uspokajająco, drażni stany i jątrzy rany społeczne, tego nie będę bliżéj roztrząsał, zwłaszcza że w téj sprawie, z bardzo małemi wyjątkami, wszyscy są mu przeciwni; lecz gdybym go nawet nie mógł za to pochwalić, to jeszcze nie odważyłbym się nazwać go wyrzutkiem społeczeństwa już dla tego samego, że jego zasady nie godzą się z mojemi. Inni atoli "nie wahali się rzucić nań kamieniem, a między tymi, jak to rozprawa sądowa wykazała, był niestety sam konsystorz. Nie było téż ani takiego przewinienia, ani nawet takiéj zbrodni, któréj by nie zarzucano proboszczowi z Kulikowa. Ludzie w intrygi nie wtajemniczeni, słysząc co o księdzu mówią, potrząsali głowami, a z ust do ust biegło: „Coś tam w tém musi być!“ I prędzéj, niżeśmy się spodziewali, świat się przekonał, jakiéj natury były owe zbrodnie, których ks. St. miał się

wrzekomo dopuścić. Mimo pięknych dochodów był on zawsze bez pieniędzy; ze swymi dzierżawcami w Kulikowie wciąż kłócił się i procesował; miał kilka skarg o obrazę czci i został raz nawet za to zasadzony na areszt czternastodniowy; z Rusinami darł wciąż koty, nakoniec wierzyciele, przez kogoś widocznie do tego namówieni, ogłosili mu „krydę“. Po takim wypadku następuje zawsze dochodzenie karne, często bowiem zdarza się, że bankrut rozmyślnie ukrywa majątek, by zeń późniéj bezkarnie korzystać. Sąd nie był jeszcze rozpoczął dochodzenia, gdy konsystorz uznał za stosowne, ks. St. jako bankruta, zasuspendować w obowiązkach kapłańskich, późniéj zaś nie uczynił nic, aby go ratować, przeciwnie nawet się o to starał, by jego moralny portret wyszedł ze śledztwa w oświetleniu jak najciemniejszém. Ks. Stojałowski zapowiadał lat temu kilka pielgrzymkę do ziemi św. i zachęcał włościan, by się na nią zapisywali. Gdy arcybiskup lwowski odmówił pielgrzymce swego błogosławieństwa, nie przyszła ona do skutku. Z tém wszystkiém została ona tylko odroczoną, ale nie zaniechaną. Ksiądz źle źrobił, że pieniędzy na ten cel od chłopów otrzymanych zaraz nie zwrócił; nie uczynił tego atoli przez lekkomyślność, gdyż nie da się zataić, że z pieniędzmi postępował on zawsze bardzo lekkomyślnie. Mimo to za te pieniądze nikt go nie skarżył. Uczynił to dopiero sam prokurator, po ogłoszeniu niewypłacalności księdza; późniéj zaś pod pozorem, że ksiądz chce uciec, ponieważ właśnie w owym czasie znajdował się przypadkiem w Wiedniu, kazał go tamże uwięzić i jak prostego zbrodniarza do Lwowa przystawić. Nieprzyjaciele redaktora byli pewni, że gdy prokurator wespół z sądem zacznie go „żyłować“, niewątpliwie tyle na niego znajdzie, że się oskarżony w święconéj wodzie nie obmyje. Zdaje się, że i konsystorz był takiego zdania, więc i proces teraźniejszy poczytywał on za grób publicznéj działalności ks. Stojałowskiego. Chociaż ustawa wyraźnie orzeka, że więzienie śledcze może trwać najdłużéj 3 miesiące, poczém oskarżony powinien być wezwany przed trybunał, mimo to ks. St. trzymano w śledzwie przeszło pół roku, i przez ten czas szukano pilnie tych wszystkich zbrodni, których wrzekomo miał się był dopuścić. Nakoniec zjawił się akt oskarżenia, a w nim zarzuty: sprzeniewierzenia, oszustwa, ba! nawet krzywoprzysięstwa. Ksiądz stanął przed sędziami sam, adwokata bowiem nie chciał, i jasno udowodnił, że prokurator, jakkolwiek przez konsystorz inspirowany, całkiem się omylił. Trybunał zwykły, a więc twardszy od ławy przysięgłych, uznał go też niewinnym zarzuconych mu zbrodni, a zasądził go tylko na zwykły areszt za „krydę“ lekkomyślną, któréj dopuszcza się u nas każdy

nie mogący udowodnić, iż majątek stracił li wskutek nieszczęść nieprzewidzialnych. Prokurator, niezadowolony z takiego rzeczy obrotu, wniósł apelacyą. Uczynił to samo i ks. St. Zdawało by się jednak, że po tym wyroku, obżałowany powinien by być na wolność puszczony. Tymczasem nie nastąpiło to do chwili, gdy to piszę, gdyż potężnym nieprzyjaciołom ks. Stojałowskiego wiele na tém zależy, żeby wśród tego procesu był on na wieki pogrzebiony.

Nie jestem politycznym zwolennikiem redaktora „Wieńca“ i „Pszczółki“—nie hołduję również wyznawanéj przezeń zasadzie, iż każdy człowiek, byle zdolny a energiczny, może już dla tego samego być namiętnym warchołem, nie uznającym nad sobą żadnéj władzy; równocześnie atoli i tych nie pochwalam, którzy chcąc zgubić klechę opornego, nie cofnęli się przed żadnemi środkami—a że w tym wypadku sądownictwo także im dopomogło, więc gorąco pragniemy, żeby podobne rzeczy więcéj się nie powtarzały, ponieważ społeczeństwo gotowe w końcu stracić wszelką wiarę w sprawiedliwość.

V.

Wspomniałem wyżéj o broszurze hr. St. Tarnowskiego. Mówi on w niéj między innemi o potrzebie założenia w Galicyi takiego towarzystwa parcelacyjnego, któreby rozporządzając środkami odpowiedniemi, mogło cały kraj ogarnąć. Jeżli mnie pamięć nie zawodzi, pisałem już o tym samym przedmiocie tu, na tém miejscu, w petersburskim zaś „Kraju“ niejednokrotnie przed laty sześciu poświęcałem mu obszerniejsze uwagi. Jak dla Galicyi, jest to w rzeczy saméj sprawa niezmiernie piekąca, i zaiste! nie można się dość nadziwić, czemu koła najobszerniejsze nie zajęły się nią dotąd należycie. Szlachta jednowioskowa ginie u nas pod ciężarem długów, a że kupujących majątki mamy stosunkowo mało, więc ziemia, zwłaszcza w Galicyi wschodniéj, nie ma ceny odpowiedniéj, i często gęsto majątek przedstawiający realną wartość 100 tysięcy, bywa sprzedawany z wolnéj ręki za 80, a na subhaście za 60 tysięcy. I mniéj by jeszcze bolało, gdyby nowymi nabywcami byli ludzie miejscowi, poczuwający się do równych obowiązków z innymi obywatelami kraju, umiejący ziemię kochać i na niéj uczciwie pracować. W Galicyi jednak dzieje się inaczéj, gdziekolwiek autochton z ojczystego zagona ustępuje, zjawia się prawie zawsze żyd, i to nie ów cywilizowany, garnący się do naszéj narodowości, ale żyd prosty, pejsaty, brudny i nieuczciwy, który robotnika wyzyskuje, chłopa we wsi rozpaja, a ziemię za tanie pieniądze nabytą tak długo

wysysa, póki mu całkiem rodzić nie przestanie. Tacy nowi dziedzice, a mamy ich już niestety w Galicyi blisko pół tysiąca, to prawdziwa klęska dla kraju. Jest tedy obowiązkiem sumienia narodowego starać się o to usilnie, by ci ludzie nie objadali Galicyi na kształt żarłocznéj szarańczy, która po sobie z najpiękniejszych roślin tylko łodygi zostawia.

O ile jest wątpliwą pomoc banku parcelacyjnego w W. Ks. Poznańskiem, tam bowiem pożyteczna ta instytucya przyszła za późno; prócz tego ma ona do walczenia w Wielkopolsce z potężną w środki materyalne komisyą kolonizacyjną,—o tyle pewną była by działalność takiego zakładu w Galicyi, gdzie nawet rząd gorliwie by go popierał. To, by szlachta wioskowa, mająca te same potrzeby co ludzie bogaci, lecz pozbawiona ich dochodów, mogła się jeszcze długo przy ziemi utrzymać, jest, według mojego przekonania, pytaniem na jéj niekorzyść dawno rozstrzygniętém. Jedne włości wykupują magnaci i wielcy kapitaliści, drugie rozdrobnia się tak samo, jak to się już stało na zachodzie. Jest to proces naturalny, którego nikt nie odwróci. Z wiosek potworzą się fermy, których właściciele i dzierżawcy będą stali nie o wiele niżéj od dzisiejszego szlachcica; za to ich pozycya będzie trwalsza, gdyż ci będą już umieli pracować i oszczędzać. Fermy takie mamy już na Mazurach. Teraz kolej na Ruś. Bank parcelacyjny przyczyniłby się w wysokim stopniu do przygotowania tej przemiany. Gdzie właściciela przynajmniéj, do pewnego czasu, mogłaby jeszcze ocalić częściowa sprzedaż ziemi, tam rozsprzedałby kilkadziesiąt, czasem nawet kilkaset morgów między chłopów miejscowych (w każdej wsi znajdują się wieśniacy zamożniejsi, którzy pragną swoją własność powiększyć), gdzie by zaś tego rodzaju amputacya była niemożliwa, tam bank potworzyłby fermy, a te bez porównania łatwiéj by można sprzedawać niż duże majątki. Iluż to mamy zasobniejszych dzierżawców, emerytów z niewielkiemi kapitałami, wreszcie kupców wzdychających na starość do wiejskiego zacisza! To nabywcy przyszłych ferm.

Z ważną tą rzeczą łączy się druga, mająca doniosłość równie wielką. Jest nią sprawa emigracyi naszego ludu mazurskiego. Dotąd przesiedlał on się do Ameryki, gdyż kraj ojczysty nie mógł go wyżywić. Odkąd jednak zwrócono jego uwagę na żyzne okolice Galicyi wschodniéj, gdzie stosunkowo ziemi jest więcéj niż rąk potrzebnych do jéj uprawy, od tego czasu zaczął on coraz częściéj zaglądać na równiny naddniestrzańskie. Z początku wychodztwo w te strony odbywało się nieśmiało, lecz gdy rząd wyłapał w Oświęcimiu ajentów emigracyjnych, których proces za kilka dni się rozpocznie,

mazury zaczęli ciągnąć na Ruś całemi taborami. W ciągu ostatnich 10-ciu miesięcy, przez jedno tylko miasto Stryj, dążąc w okolice Żurawna, przejechało 300 z górą rodzin mazurskich, a w samém Nowém Siole, w którém mieszkam, osiedliło się ich w tym czasie przeszło 100 głów. Wszyscy ci ludzie nie są pozbawieni środków materyalnych. Każda rodzina ma kapitalik, niektóre wiozą z sobą nawet po kilka tysięcy guldenów, ale mimo to rzadko zdobywają one pewną egzystencyą. Biedni ci ludzie popadają bardzo często w ręce niesumiennych wyzyskiwaczów, którzy ich gubią. Prócz tego rzadko gdzie osiedlają się oni gromadnie. Najczęściéj rozsypują się po wsiach i w nich toną. Byłoby wszakże całkiem inaczéj, gdyby towarzystwo parcelacyjne kierowało ich wędrówką i ułatwiało im nabywanie ziemi. Wtedy strat nie ponosiliby żadnych, a złączeni w gromady, zdobywali rychło dobrobyt. I korzyść dla kraju płynęłaby jeszcze ztąd, że ludność ruska, z natury apatyczna i leniwa, patrząc na pracowitość chłopa mazurskiego, wstępowałaby mimowoli w jego ślady...

Cieszy nas to bardzo, że sprawę omawianą od lat dziesięciu przez pisarzów stronnictwa postępowego hr. St. Tarnowski uznał nareszcie za ważną, bo jeśli kto, to on może łatwo to urzeczywistnić, co dla biédnych postępowców było tylko marzeniem. Nie żądamy, żeby hr. Tarnowski sam na ten cel dawał krocie, gdyż nie wątpimy, że jeśli tylko szczerze zaapeluje do swoich przyjaciół politycznych, ci przez sejm, w którym mają większość znakomitą, rzecz tę w czyn wprowadzą. Mylném jest mniemanie, utrzymujące się od niejakiego czasu nawet za granicami Galicyi, jakoby u nas siłą zbiorową, nie można nic przeprowadzić. Dwa przykłady, które teraz przytoczę, wykażą, że w Galicyi nawet jednostki, gdy się energicznie do czego wezmą, osiągają cel zamierzony. Gdy lat temu piętnaście rzuciliśmy w dziennikach myśl, nabycia przez kraj jednego z najlepszych obrazów Jana Matejki, Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych, długo się wtedy nad tym projektem zastanawiało, w końcu jednak porzuciło go, jako niemożliwy do wykonania. Znalazł się wszakże pewien człowiek, który go podjął na własną rękę i po kilku leciech do skutku doprowadził. Był to jeden z niższych urzędników pocztowych, osobistość bez znaczenia. Ten tak długo chodził, pukał, agitował, rozpisywał listy, zbiérał składki, apelował do ludzi bogatych, urządzał koncerty i festyny, póki nie zebrał 40,000 guldenów, za które kraj nabył od mistrza krakowskiego jego „Zygmunta Augusta w Lublinie“. Wspaniały ten obraz, jest dziś największą ozdobą gmachu sejmowego we Lwowie. To przykład jeden. Teraz drugi świeższéj daty. Gdy kilka miesięcy temu

gruchnęła wieść po kraju, że Zakopane, to urocze zacisze tatrzańskie, idzie na subhastę, wnet znalazło się kilku ludzi dobréj woli, którzy postanowili wytężyć wszystkie siły, by tę miejscowość dla nas zatrzymać. I oto w czasie stosunkowo dość krótkim, zebrali oni kilkadziesiąt tysięcy, z któremi stanęli do licytacyi, a chociaż Zakopanego nie kupili, bo je nabył hr. Zamojski, mimo to cel przez nich zamierzony został w zupełności osiągnięty, gdyż piękna ta miejscowość nie przeszła na własność wyzyskiwaczów. Czy wobec tych dwóch faktów, nie z palca wyssanych, lecz całkiem prawdziwych, ośmieli się jeszcze kto utrzymywać, że towarzystwo parcelacyjne należy w Galicyi do tych rzeczy, których żadną miarą nie można przeprowadzić? Ależ sam Bank krajowy i byle sejm mu to polecił, może i powinien tę instytucyę w życie wprowadzić.

Gdyby hr. Stanisław Tarnowski, zajmujący tak piękne stanowisko społeczne, i mający niemały wpływ w swojém stronnictwie wszechpotężném, chciał się podjąć tego zadania, zaiste położyłby tém stokroć większe zasługi około dobra powszechnego, niż gdyby ogłosił jeszcze tysiąc równie słabych i bezkrwistych broszur, jak jego ostatnia p. t. „Próby rozstroju“.

Józef Rogosz.





KWESTYA MIESZKAŃ W WARSZAWIE

V. Co zrobiono dla poprawy u nas i co zrobić należy?

Rozporządzenia administracyjne.—Postanowienia księcia Namiestnika z lat 1816, 1817 i 1818 r.—przepisy z r. 1820—reskrypt z r. 1826—postanowienie Rady administracyjnéj z r. 1858—komitet do planu regulacyjnego Warszawy z r. 1856, skutki jego działalności—podkomitet obywatelski z r. 1879—kanalizacya.—Działalność społeczeństwa: spółka budowy domów dla rzemieślników i robotników z r. 1862 i jéj wady—projekt towarzystwa budowlanego warszawskiego z r. 1873.—Ślady w literaturze.—Oczywiste zaniedbanie sprawy. Środki zaradcze: potrzeba rewizyi przepisów policyi budowniczéj—potrzeba oddzielnych organów do kontroli mieszkań—projekt dwóch towarzystw: jednego dla budowy, drugiego dla polepszenia złych mieszkań—potrzeba spółek i przedsiębierstw prywatnych. Dwa najbliższe środki: ankieta stanu mieszkań jako dalszy ciąg czynności spisu jednodniowego z r. 1882—i rubryka specyalna w prasie.

Z poprzedniego przedstawienia okazuje się, że sprawa mieszkań dla klas biédniejszych ogarnęła cały zachód, że tam powszechnie nad nią się zastanawiają i pożyteczne myśli w czyn wprowadzają. A my? co zrobiliśmy na tém polu?

Zbyt pocieszającéj na to pytanie odpowiedzi nikt się zapewne nie będzie spodziewał. Ani w dziedzinie ustawodawczéj, ani w sferze samoistnéj działalności społecznéj o sprawie téj nie słychać, a panująca cisza nie licuje z potrzebą chwili i niebezpieczeństwem grożącego zła. Jakkolwiek bądź jest, z naturalnego obowiązku rachowania się ściśle z tém, co własnych spraw dotyczy, niech mi wolno będzie zaznaczyć wszelkie objawy, chociażby najmniéj wydatne, byle cokolwiek związane z kwestyą, o któréj mowa. Zacznijmy od rozporządzeń natury administracyjnéj. Wertując przepisy budownicze, od czasu powstania królestwa kongresowego, nie znajdujemy żadnego postanowienia odnoszącego się wprost do mieszkań i kwestyę tę wyjaśniającego. Nie brak przecież przepisów dotyczących warunków zamieszkania w miastach wogóle, a w Warszawie w szczególności, to jest takich przepisów, które pośrednio

ze sprawą łączyć się mogą. Działalność w tėj mierze rozpoczęto zaraz po ustaleniu się stosunków w kraju, jak tego dowodem postanowienia księcia Namiestnika z lat 1816 i 1817. Dla uporządkowania i podniesienia Warszawy jako też przedmieścia Pragi, postanowieniem z d. 3 lutego 1816 r. (1), zakazano całkiem wznoszenia w obrębie miasta nowych domów drewnianych, a nawet reparowania dawniejszych, aby tym sposobem dojść prędzėj do bezpieczniejszych i trwalszych budowli murowanych. Zwrócono téż uwagę na opuszczone domy murowane, które szpeciły ulice i stawały się schronieniem dla włóczęgów. W celu zapobieżenia podobnym nieprzyzwoitościom, jak się wyraża tekst odnośnego przepisu, postanowienie z d. 16 kwietnia 1816 r. (2) zaleciło zobowiązać właścicieli, aby takie domy należycie wyreparowali i mieszkalnemi uczynili, pod rygorem sprzedaży domów przez licytacyą w wypadku niewykonania rozkazu w ciągu lat trzech od daty wydania tego prawa. Przepis rzeczony odnosił się do wszelkich opuszczonych nieruchomości, chociażby właściciele ich pozostawali pod kuratelą, lub zgoła byli nieobecni i niewiadomi z pobytu, co w owym czasie dosyć często się zdarzało. Tęż samę zasadę rozciągnięto postanowieniem z d. 27 maja 1817 r. (3) do domów, grożących zawaleniem. W myśl tego prawa po stwierdzeniu przez stosowny protokół władzy administracyjnėj grożącego niebezpieczeństwa, wzywano właścicieli nieruchomości do niezwłocznego naprawiania, jeżeli to było jeszcze możliwe, a częściėj do niezwłocznego rozebrania budynku z terminem niedłuższym nad jeden tydzień dla obecnych, a dwa tygodnie dla nieobecnych posiadaczy. W razie niezastosowania się do rozporządzenia władzy, po upływie powyższego terminu, władza z urzędu rozporządzić mogła rozebranie i sprzedaż materyałów przez licytacyę, strącając sobie nadto z osiągniętėj ceny koszta dokonanėj rozbiórki.

Postanowienie to odnosiło się do wszystkich miast w kraju. Jeszcze ostrzejszy charakter nosiło inne postanowienie, wydane w rok późniėj, mianowicie d. 19 czerwca 1818 r., a dotyczące placów pustych (4) po miastach. Na zasadzie tego postanowienia zobowiązywano właścicieli do wystawiania na tych placach domów, z terminem lat trzech dla miast wojewódzkich i obwodowych, a lat

(1) Zbiór postanowień administracyjnych. Wydział spraw wewnętrznych. Część IV, tom 2 str. 9.

(2) Zbiór tychże przepisów cz. V. Zarząd gospodarczy m. Warszawy. Tom 2 str. 257.

(3) Tamże część I. Gospodarstwo miejskie. Tom 2 str. 329.

(4) Tamże część I. Tom 2 str. 335.

czterech dla wszystkich innych. Sankcyą tego prawa była również przymusowa sprzedaż przez licytacyą pustego placu po upływie wskazanego powyżéj terminu, przyczém każdy przystępujący do nabycia musiał składać deklaracyą, że plac zabuduje, inaczéj do licytacyi przypuszczony być nie mógł. Tak w tym jak i w poprzednich wypadkach szacunek osiągnięty ze sprzedaży oddawano właścicielowi, lub składano do depozytu sądowego, jeżeli zachodziły jakiekolwiek kwestye.

Dodać trzeba, że zatwierdzone w d. 30 września 1820 r. przez księcia Namiestnika Zajączka ogólne przepisy policyi budowniczéj dla miast (1) ograniczają znacznie wznoszenie domów drewnianych, zastrzegają wznoszenie na rynkach miast większych domów przynajmniéj jednopiętrowych itp.

Wracając do gospodarstwa saméj Warszawy, wspomniéć jeszcze należy o reskrypcie komisyi spraw wewnętrznych i policyi z d. 16 września 1826 r. (2), obejmującym zakaz wznoszenia w stolicy domów parterowych, z zastrzeżeniem, że jedynie w ulicach drugorzędnych powstawać mogą budowle parterowe murowane, byle mury i fundamenta pozwalały na dobudowanie w przyszłości przynajmniéj jednego piętra.

Jeżeli te rozporządzenia wydawano z wyłączną myślą uporządkowania miast, a przedewszystkiém Warszawy, to w późniejszym czasie w uzupełnieniu takowych przyszły inne, które poniekąd potrącały o kwestyą mieszkań.

Z tego rodzaju postanowień zaznaczyć można wydane z Najwyższego upoważnienia postanowienie Rady Administracyjnéj z d. 8 stycznia 1858 r. (3) w przedmiocie dozwolenia budowy domów drewnianych w okolicy podokopowéj Warszawy, oraz przygotowaną w tym duchu instrukcyą z d. 28 kwietnia 1858 r. (4).

---

(1) Tamże część I. Tom 2, str, 339.

(2) Tamże część V. Tom 2, str. 261.

(3) Tamże część V. Tom 2, str. 281.

(4) Tamże str. 291. Wszystkie przytoczone przepisy obowiązują u nas do obecnéj pory, lecz od czasu nowego urządzenia zarządu gospodarczego m. Warszawy z r. 1870 w miejsce powyższych przepisów, zaczęto stosować odnośne przepisy ustawy budowniczéj dla Cesarstwa, które wcale do kraju wprowadzone nie zostały. Dopiéro Senat postanowieniem Ogólnego Zebrania departamentów pierwszego i kasacyjnych z r. 1884 kwestyę tę rozwiązał, wyjaśniając, że poddanie wydziałów służby budowniczéj pod zwierzchnictwo ministeryum spraw wewnętrznych w Petersburgu, nie zniosło wcale przepisów policyi budowniczéj Królestwa Polskiego. (Zbiór wyroków ogólnego zebrania z r. 1884 Nr. 10). Pomyłka powstała skutkiem niejasnéj redakcyi jednego z artykułów urządzenia gospodarczego m. Warszawy (art. II, ustęp 2. Dziennik Praw. Tom 70, str. 263) i w następstwie tej pomyłki przez lat 14 nie stosowano istniejących praw. Na

Przywiedzione postanowienie stanowi odstępstwo od dawniéj wydanego prawa z r. 1816, a w motywach przytoczono, że ma ono na celu zwiększenie liczby dogodnych i tańszych pomieszkań dla mniéj zamożnéj ludności (1). We wspomnianéj instrukcyi określono warunki i zasady budowy, przyczém zakazano stanowczo w domach drewnianych mieszkań poddasznych.

To ostatnie zastrzeżenie, chociaż w życiu zbyt często obchodzone, zasługiwało na uznanie. Natomiast trudno uważać za postęp zmianę zakazu budowania w Warszawie domów drewnianych, zwłaszcza w lat 40 przeszło po wydaniu takiego rozporządzenia. Nie zwrócono uwagi, że rozwiązanie kwestyi tanich mieszkań zależy od całkiem innych okoliczności, i że najmniéj znaczną w téj mierze rolę gra okoliczność, czy domy w pewnéj stronie miasta z cegły czy z drzewa będą pobudowane. Donioślejszego znaczenia dla poprawy zewnętrznych warunków mieszkaniowych w Warszawie, było utworzenie pod przewodnictwem prezydenta miasta komitetu do sporządzenia planu regulacyjnego miasta Warszawy i przedmieścia Pragi, co nastąpiło w myśl decyzyi Namiestnika z d. 16 (28) grudnia 1853, na zasadzie reskryptu Komisyi Spraw Wewnętrznych i Duchownych z d. 16 (28) czerwca 1856 r. (2). Do uczestnictwa w komitecie w myśl decyzyi Namiestnika z d. 11 (23) czerwca 1859 r. (3) powołano także trzech obywateli miasta. Za wpływem i przy udziale komitetu sporządzono plany sytuacyjne Warszawy i Pragi, zaprojektowano założenie parku aleksandrowskiego na Pradze, zniesienie kilkunastu domów i założenie skweru na Krakowskiém Przedmieściu, otworzenie Placu Zielonego ze skwerem, skwery na Placu Ewangelickim i przed szpitalem ewangelickim, dwa place targowe w pobliżu okopów, obwałowanie Pragi od Wisły i bulwark drewniany wzdłuż Wisły od Solca, nareszcie nowe ulice jak Erywańską, Maryańską, hr. Berga i Włodzimierską. Przy otwieraniu tych ulic nieopatrznie wprawdzie znoszono wolne w mieście przestrzenie, jak to już na początku téj pracy zaznaczaliśmy, zawsze jednak w ogólnym bilansie działalność komitetu nie pozostała bez pożytku dla miasta.

---

wiasem dodaję, że przepisy ustawy budowniczéj rosyjskiéj żadnych rozporządzeń, odnoszących się wprost do mieszkań, również nie zawierają.

(1) Dla Pragi zrobiono wyjątek wcześniéj jeszcze, bo przez postanowienie Rady Administracyjnéj z d. 29 Czerwca 1832 r. Tamże str. 267. Na niektórych odległych ulicach Warszawy z mocy postanowienia tejże Rady z d. 18 (30) Czerwca 1847 r. także mogły być wznoszone domy drewniane. Tamże str. 269.

(2) Tamże str. 231 i 233.

(3) Tamże str. 241.

Po zaprowadzeniu tych porządków nastąpiła kilkunastoletnia pauza, podczas któréj rozpoczął się gwałtowny wzrost ludności miasta, rodząc nowe potrzeby i prowadząc za sobą widmo groźnéj kwestyi mieszkań w całéj pełni.

Z późniejszych faktów wspomnieć należy o wchodzącéj pomału w życie kanalizacyi, jako objawie niepomiernéj dla miasta wagi (1). Reasumując wszystko, wypływa, że rozporządzenia administracyjne kwestyi mieszkań u nas nie rozwiązały, a nawet prawie, że jéj nie dotykały.

Nie posiadamy też żadnych organów ani do badania stanu mieszkań, ani do rozstrzygania powstających wątpliwości, ani do jakiejkolwiek w kierunku złych mieszkań kontroli (2). Zwróćmy się teraz do działalności społecznéj, stanowiącéj najpotężniejszą dźwignię w kwestyi mieszkań, jak to już w poprzednim rozdziale zaznaczyłem. Rozglądając się naokoło siebie i sięgając nieco w przeszłość, nie spostrzegamy w naszém życiu żadnych towarzystw budowlanych, żadnych stowarzyszeń robotniczych, które gdzieindziéj tak wiele się przyczyniają do praktycznego rozwiązania sprawy. Na szarém tle téj bezczynności widnieje jeden dodatni fakt, mianowicie spółka budowy domów dla rzemieśników i robotników.

Kółko ludzi dobréj woli, za kontraktem z d. 7 lutego 1862 roku przed pisarzem aktowym Bryndzą, zawiązało rzeczoną spółkę, w ce-

---

(1) Już po wydrukowaniu piérwszéj części téj pracy wyszła broszura p. Blocha p. t. Głos w kwestyi kanalizacyi m. Warszawy. Autor, stanąwszy na gruncie interesu materyalnego właścicieli domów, przemawia za ograniczeniem kanalizacyi do przyjmowania ścieków, bez obowiązkowego spławiania ekskrementów. W wywodach swoich autor zachodzi tak daleko, że stawia znak zapytania nad szkodliwością parowania nieczystości, przywodząc różnorodne opinie piérwszorzędnych badaczy, zarówno jak i zwyczajnych profanów, naprzykład niemających chyba pretensyi do naukowych studyów obywateli miasta Warszawy. Czy końcowy wywód autora jest słuszny, nie chcę przesądzać, ale wątpię, czy taką drogą dowodzenia autor mógł wielu ludzi przekonać. Obok tych śmiałych wycieczek w tajniki nauki, razi w książce zupełny brak wyjaśnień ekonomicznéj natury. Autor twierdzi, że właściciele domów, w razie przyjęcia zasady przymusowego kanalizowania fekalii, zostaną zrujnowani, ale na poparcie tego nie przytacza żadnych szczegółowych danych, ani co do wartości nieruchomości, ani co do pobieranych dochodów, ani wreszcie co do leżących na nieruchomościach ciężarów. Daléj, autor unika rozbioru środków, przy pomocy których możnaby ułatwić obywatelom wszechstronną kanalizacyę, zapewniając ulgi a choćby i zwolnienia w drodze wyjątkowéj. Nakoniec, autor pomija zupełném milczeniem prawo ekonomiczne, wedle którego koszta produkcyi ostatecznie spadają na konsumenta. I w téj sprawie bez udziału lokatorów rzecz nie przejdzie, a kwestya nakładów w rezultacie zredukować się może do kwestyi awansów na kanalizacyę.

(2) W ostatnich latach funkcyonują w Warszawie komisye sanitarne, przy udziale lekarzy, komisye te przecież zajmują się sprawdzaniem ogólnego stanu sanitarnego nieruchomości, ale nie wkraczają w zakres mieszkań.

lu udogodnienia i uczynienia tańszemi mieszkań dla biedniejszéj klasy w Warszawie, przy zapewnieniu spólnikom umiarkowanego procentu. Każdy ze spólników wniósł udział w kwocie rs. 3000, poczém dodatkowo w r. 1864 spólnicy dołożyli po rs. 450, co podniosło cyfrę udziału do rs. 3450. Że zaś spólników jest 27, zebrano zatém kapitał rs. 93150.

Według osnowy kontraktu zamierzono złożyć rs. 90000, a powiększywszy ten kapitał drogą pożyczkl do rs. 150000, z tą ostatnią cyfrą rozwijać działalność w kierunku przez kontrakt spółkowy wskazanym.

Wkrótce po zawiązaniu spółka nabyła za niską stosunkowo cenę rs. 7,500 przy zbiegu ulic Czerniakowskiéj i Szaréj obszerny plac około 42000 łok. kwadr., który na siedm części został podzielony. Jednę z tych części w dwóch kawałkach spółka odprzedała w r. 1883 za cenę rs. 12000, pozostawiając przy sobie resztę. Na dwóch wybudowano dwa duże domy, jeden w r. 1864, drugi w r. 1880, cztery inne place nie zostały dotąd zabudowane i świecą ciągle pustkami. Niezależnie od tego spółka w r. 1862 nabyła jeszcze inny plac przy ulicy Pańskiéj, a wybudowawszy na nim dom, sprzedała go w r. 1878 z zarobkiem rs. 10.321 kop. 22¼, o czém protokół spółki z r. 1879 przekonywa.

Wreszcie w tymże 1879 r. spółka nabyła jeszcze plac przy ulicy Siennéj, na którym również dom został wybudowany, i w posiadaniu spółki pozostaje.

Tym sposobem spółka posiada obecnie trzy domy i cztery place, a przestrzeń gruntu tak pod domami jak i pod placami, do spółki należącego, wynosi blisko 43.500 łok kw. Na posiadane trzy domy spólnicy zaciągali pożyczki w Towarzystwie kredytowem m. Warszawy w ogólnéj kwocie rs. 44.500, któréj jednak nie użyli na rozszerzenie działalności spółkowéj, jakby to z litery kontraktu należało, lecz przeciwnie fundusze z pożyczek dzielili pomiędzy sobą podnosili, i tym sposobem udziały swoje w znacznéj części wycofali. Dodajmy, że spółka daje co rok mniéj więcéj rs. 100 dochodu na udział, a jakkolwiek były lata bez żadnéj dywidendy, to znowu kiedy indziéj cyfra zysku rocznego znakomicie przewyższała kwotę rs. 100.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę te zyski i stan majątku spółkowego, którego wartość, choćby przez wzrost cen na place i domy, znakomicie się podniosła, to rzuca się w oczy odrazu, że strona ekonomiczna interesu spółkowego rozwinęła się pomyślnie, a nawet bardzo pomyślnie. Pomimo to, już w dorocznéj uchwale z r. 1879 spotykamy postanowienie zbycia głównego domu przy zbiegu ulicy

Szaréj i Czerniakowskiéj, daléj w r. 1884 spólnicy zdecydowali sprzedaż wszystkich nieruchomości, a świéżo na posiedzeniu z d. 1 marca 1889 r. postanowienie to powtórzyli. Ludzie, należący do spółki, znani są z najlepszych tendencyi, i o obojętność dla spraw ogólnych posądzać ich nie można, a przecież widocznie zniechęcili się. Zkąd pochodzi podobne zniechęcenie? Ażeby zrozumiéć to, należy wniknąć nieco głębiéj w samę sprawę i jéj stan rzeczywisty. Jakoż nie trudno będzie wykazać, że już przy zawiązaniu przedsięwzięcia, nie obeszło się bez błędów, wykonanie zaś nie było w zgodzie ani z pierwotną myślą założycieli, ani z istotnemi zadaniami spółki.

Znaleźli się uczciwi ludzie, co dali chętnie fundusze, ale zabrakło umiejętnych rąk do energicznego i wytrwałego prowadzenia rzeczy, która uległa do pewnego stopnia spaczeniu.

Pierwszym błędem było zamknięcie działalności spółki, z góry, przez kontrakt, w sferze 150,000 rs., licząc w to i pożyczki z zewnątrz. Jakkolwiek z natury rzeczy kontrakt musiał wskazywać, kto i ile do spółki wnosi, to przecież szranki mogły pozostać otwarte dla nowych spólników i nowych kapitałów, o ileby powodzenie do rozszerzenia obrotów zachęcać mogło. Zamknięta w zaczarowaném kole ludzi i środków, tych ostatnich stosunkowo zbyt małych, spółka skazaną była, że tak powiem, od chwili swego założenia na żywot liliputa, który w swym wzroście podnieść się wyżéj nie może. Stała się téż rzecz dziwna, a przecież naturalna, że pomimo oczywistego powodzenia, spółka nawet skromnie zakreślonych granic nie wyczerpała, a zmniejszając fundusze zamiast je powiększać, możliwego rozwoju dobrowolnie się zrzekła. Drugim i ważniejszym daleko błędem był brak odpowiedniéj administracyi. Ani w kontrakcie, ani późniéj przez cały ciąg dwudziestosiedmioletniego istnienia nie pomyślano o tém, że przedsięwzięcie tego rodzaju wymaga specyalnéj obsługi, połączonéj z jakąś moralną opieką nad biednemi lokatorami i wymagającéj zastosowania odpowiednich sił i osób. Jeżeli pod jakim względem, to właśnie pod tym i jedynie pod tym, sprawa ta nie może się obejść bez dobroczynnéj ręki w kierunku nagięcia się do istotnych potrzeb ludzi niezamożnych, tak co do sposobu płacenia komornego, jak i co do utrzymania mieszkań w odpowiednim stanie.

Zwyczajna gospodarka przez rządcę téj dokładności nie zapewni i zapewnić nie może, a za najlepszy tego dowód niechaj posłuży właśnie spółka, o któréj mowa.

I cóż tam widzimy? Te same brudy, a przynajmniéj nie wiele mniejsze, niż u pierwszego lepszego prywatnego właściciela, ża-

dnych udogodnień, odświeżenia czy odmalowania izby lokator doprosić się nie może. System umów o komorne, jak wszędzie, oparty na rachunku miesięcznym, chociaż jeżeli gdzie, to w tego rodzaju przedsiębiorstwie należało zastosować terminy tygodniowe, zgodnie ze sposobem pobierania zarobków. Na placu należącym do spółki, tuż obok dwóch kamienic, na rogu Czerniakowskiéj i Szaréj znajduje się cuchnąca sadzawka, zatruwająca do koła powietrze. Jeszcze na posiedzeniu spólników z r. 1878 była mowa o zasypaniu tego rozsadnika miazmatów, a jednak do téj pory sadzawka spokojnie istnieje i szkody dla zdrowia przynosić nie przestaje. Wprost placów spółki, z drugiéj strony ulicy Szaréj leżą place innego właściciela nieoparkanione, wstrętne zbiorowiska błota i śmieci; place te należą do osób rodziny arystokratycznéj, które o stanie rzeczy zapewne wcale nie wiedzą. Przypuścić można, że przy odpowiedniém porozumieniu się z właścicielami tych placów możnaby położyć tamę złemu i zaprowadzić jakiś porządek. Gdy tymczasem obecne warunki nadają całéj okolicy, pomimo bezpośredniego sąsiedztwa z tyłami pięknego parku Frascati, bardzo przykry widok. Jeden tylko prawdziwie pożyteczny krok administracyi spółkowéj zaznaczyć należy, a mianowicie wyjednanie u magistratu wybrukowania ulicy Szaréj w r. 1878, na co spółka udzieliła nawet miastu chwilową zaliczkę. Na ogół jednak biorąc, administracya spółki nie umiała postawić przedsiębiorstwa na właściwéj stopie. I nic dziwnego, że taki stan rzeczy zniechęca ożywionych inną myślą założycieli. Przedsiębiorstwo to, jako zbyt drobne pod względem pieniężnym, dla ludzi zamożnych stanowi poprostu kulę u nogi. Gdyby ono jednak uległo większemu rozwinięciu, przypuścić można, że budziłoby więcéj zajęcia wśród samych założycieli, którym zapewne nie zyski, lecz pożytek ogólny leżał w téj sprawie na sercu. Z drugiéj strony jednak spółka ta zasługuje na podznaczenie nietylko jako objaw uczciwych usiłowań, ale eksperyment ekonomiczny na gruncie własnym dokonany. Bądź co bądź działalność spółki stwierdziła tę prawdę, zdobytą już w drodze doświadczenia w innych krajach, że budowa domów dla biedniejszych warstw może się opłacić i przedstawia ze stanowiska finansowego dobry interes. Błędy w szczegółach są zawsze do sprostowania, wykazanie zaś, że przedsiębiorstwa tego rodzaju mają u nas prawo bytu pod względem pieniężnym, posiada niepomierną dla przyszłości wartość. Uzbrojone takiém doświadczeniem społeczeństwo chętniéj i łatwiéj może puścić się na drogę nowych eksperymentów, bez obaw, jakie towarzyszą rzeczom nieznanym i niezbadanym.

Z kolei wspomnieć tu muszę jeszcze o projekcie towarzystwa budowlanego warszawskiego z r. 1873.

Za inicyatywą dwóch budowniczych powstała myśl założenia towarzystwa dla wykonywania rozmaitego rodzaju robót budowlanych w Warszawie i gubernii Warszawskiéj. Przygotowano stosowną ustawę, która pozyskała zatwierdzenie rządu 30 marca 1873 r. Ustawę tę znaleźć można wydrukowaną w całéj rozciągłości w „Ekonomiście“ z r. 1873 (zesz. VI za m. czerwiec). Wedle paragrafu drugiego ustawy, działalność towarzystwa miała obejmować najróżnorodniejsze czynności, jako to: 1) nabywanie placów i domów; 2) budowanie na własny rachunek lub na zlecenie; 3) rozbiórkę starych domów; 4) urządzanie targów, bazarów, ogrodów, parków, kanałów i wodociągów; 5) sprzedaż nieruchomości, zamianę, wydzierżawianie całych posesyi i wynajmowanie pojedyńczych lokali; 6) nabywanie, dzierżawę i urządzanie zakładów, dostarczających materyałów budowlanych; 7) zarządzanie domami ze zlecenia; 8) pośrednictwo przy kupnie i sprzedaży nieruchomości miejskich. Jak widać z powyższego wyszczególnienia założyciele pragnęli rozwinąć jakąś szeroką działalność spekulacyjną, nie wyłączając także i wynajmu lokali. Jednakże kwestyi mieszkań dla niezamożnych ustawa bezpośrednio wcale nie poruszała. Towarzystwo do skutku nie doszło. Ustawa wymagała zapisu wysokiéj ilości akcyi w ciągu sześciu miesięcy, pod rygorem rozwiązania, gdy więc zapisy nie dosięgły wskazanéj cyfry w powyższym terminie, rzecz cała upadła, a późniéj w innéj drodze podnoszona wcale nie była.

Oto wszystko, co możemy o działalności naszéj na polu kwestyi mieszkań powiedziéć (1), gdy zaś rzecz cała redukuje się do jednego słabego w wykonaniu objawu, rola sprawozdawcy staje się doprawdy przykrą.

W literaturze sprawa nie przedstawia się lepiéj.

Pierwszy początek dała „Biblioteka Warszawska“, drukując w r. 1849, rozprawkę tłómaczoną z francuskiego o mieszkaniach dla klasy robotniczéj. Czy i o ile prasa peryodyczna podnosiła tę kwestyę, trudno powiedziéć, o ile pamiętam; kiedyś „Przegląd Tygodniowy“ coś w tym przedmiocie drukował, to pewna przecież, że luźne artykuły, jeżeli były, nie pozostawiły żadnego po sobie śladu. Po przejrzeniu zaś bibliografii znalazłem zaledwie dwie broszury, a pierwszą stanowi odczyt dra Lettego traktujący o mieszka-

(1) Pochlebniéj mogłaby wyglądać wzmianka o urządzeniu wzorowych mieszkań przez niektórych przemysłowców dla swoich robotników. Że wspomnę pp. Hordliczków, pp. Temlera i Szwedego i innych. Tego rodzaju pomoc w kierunku mieszkań nosi specyficzny charakter, i nie wchodziła w zakres obecnéj pracy. Zamilczałem téż o niéj, mówiąc o stosunkach za granicą, gdzie w tym kierunku dosyć dużo, zwłaszcza we Francyi, zrobiono.

niach dla robotników, pod tytułem: Kwestya mieszkań, wydany w tłómaczeniu polskiém przez redakcyą „Przeglądu Tygodniowego“ w zbiorze Wiedzy w r. 1868, drugą zaś książeczka oryginalna, wydana we Lwowie w r. 1888 z okazyi zjazdu techników p. t. Wady i ulepszenia naszych pomieszkań. Praca ta rozpatruje kwestyą mieszkań poważnie, ale głównie ze stanowiska technicznego.

Ubóstwo to jest niewymownym dowodem naszéj apatyi. Że nic nie robimy, to już mniejsza, ale że zgoła nad kwestyą nie zastanawiamy się, a co zatém idzie, wcale kwestyi nie rozumiemy, tego niczém usprawiedliwić nie można.

Biéda się rozpanosza, tysiące ludzi umiéra przedwczesną śmiercią, choroby się gnieżdżą, niebezpieczeństwa moralne rosną, fakty codzienne na każdym kroku o tém przekonywają, a my przechodzimy nad zjawiskami do porządku dziennego. Dowodów zupełnego zapoznania sprawy nie potrzebowałbym szukać daleko. Dość przytoczyć, że tak ciekawa epoka, jak ta, która miała miejsce pomiędzy 1870 a 1880 rokiem, epoka niesłychanego wstrząśnienia cen na mieszkania, nie wywołała ani w literaturze, ani w życiu dyskusyi i ruchu, pozostawiając nas daléj w błogiém uśpieniu. Szerokie rozprawy w literaturach innych narodów również nie znalazły u nas odgłosu, odbiły się od nas, jakby bez echa. I czémże my się zajmujemy, jeżeli tego rodzaju kwestye pozostają w zupełnéj poniewierce? Pochłaniamy sprawozdania o wielkiéj polityce, gonimy za wielkiemi problematami wieku, karmią nas tysiącznemi rzeczami, które niczego nie uczą, a zapominamy o sprawach najbliższych. Przypomina to astronomów zapatrzonych w niebo, którzy nie wiedzą o tém, że koszula im się podarła.

W istocie, znamy taktykę Salisbury'ego lub Floquet'a, wiemy co robi awanturnik Boulanger, na jakim koniu córka jego jedzie do ślubu, badamy na wylot miłostki arcyksięcia Rudolfa, za mało jednak okazujemy ochoty do poznania siebie samych, swoich braków i ułomności, swoich potrzeb i niedostatków.

Jeżeli już nareszcie zejdziemy na tor miejscowy, to zawsze i jedynie zwracamy się ku wielkim rzeczom i wielkim ludziom. Spadły ceny cukru, bogaci akcyonaryusze stracili wysokie dywidenty, ha! wielki wypadek! zaczynamy wiele pisać i mówić, rozprawiamy w jaki sposób dojść do powiększenia ceny tego produktu. Że zaś biedniejsza ludność dostaje cukier taniéj, tego się w rachunek nie bierze. Municypalność żąda od właścicieli domów kanalizowania nieruchomości, parę tysięcy właścicieli obawia się znacznego wydatku, znowu wielki wypadek! znowu rozprawy, ba-

dania pseudo-naukowe, byle uwolnić się od ciężaru. Że zaś przed kilku laty ceny mieszkań zgnębiły byt trzystu tysięcy biedniejszych mieszkańców, o tém milczy się najzupełniéj!

Ale wróćmy do przedmiotu. Brak mieszkań i drogość ze wszelkiemi złemi skutkami ma miejsce, ludność uboższa czuje to, ugina się pod ciężarem upośledzenia; co więc robić?

I tutaj wracamy do postawionego poprzednio pytania. Środki mogą być rozmaite, chociaż nie wszystkie są dla nas dostępne.

Przedewszystkiém mógłbym zwrócić uwagę na potrzebę rewizyi przepisów policyi budowniczéj i stosowne uzupełnienie w kierunku mieszkań i ich zdrowotności, jak również na potrzebę organów dla rozwinięcia czujności i kontroli nad mieszkaniami, z odpowiedniemi atrybucyami i przy udziale odpowiednich sił obywatelskich, na wzór stosunków, gdzieindziéj ustalonych.

Nie sięgając przecież zbyt daleko i pomnąc, że najskuteczniejszą ulgę, po nad prawa i przepisy, przynosi wewnętrzna społeczna pomoc, skierowana ku dobru uboższych, powinniśmy najprzód w tym kierunku szukać sposobów wyjścia, nie spuszczając z oka téj zasadniczéj prawdy, że poprawa nie może nastąpić bez powiększenia ilości mieszkań, to jest bez podniesienia zaofiarowania odnośnie do zapotrzebowania.

Musimy tu zrobić już z góry jeszcze jedno zastrzeżenie.

Używając wyrazu pomoc, nie mamy na myśli żadnéj dobroczynności w ścisłém znaczeniu tego wyrazu, żadnych darowizn i ofiar w kierunku wyrzucenia czegoś bezpowrotnie na rzecz innych. Rozumie się samo przez się, że o ile społeczność na drodze indywidualnych lub zbiorowych usiłowań przysporzy i polepszy w mieście mieszkania dla biedniejszych, o ile przez to wpłynie na poprawę ich bytu, działalność taka będzie błogą w skutkach, dobroczynną, jeżeli chcemy tak powiedzieć, ale nie idzie zatém, aby robić to darmo, aby dostarczać mieszkania bez zapłaty za nie.

W tym ostatnim sensie zrozumiana pomoc, w większości wypadków, nie byłaby pożądaną, mogłaby nawet być szkodliwą. Ludzie powinni sami myśléć o swych potrzebach i na potrzeby zarabiać. Darmocha znosi zapał do pracy i energię, zmniejsza ducha przedsiębiorczości, wyradza apatyą i fałszywe pretensye. Nie o takiéj pomocy więc możemy mówić, tylko o skierowaniu środków materyalnych na budowę domów dla niezamożnych i na ulepszenie ich mieszkań, za stosownem za to wynagrodzeniem.

Pierwszą w tym kierunku drogą jest założenie dwóch towarzystw budowlanych: jednego poświęconego wyszukiwaniu odpowiednich placów i budowaniu domów, drugiego dla zakupywania

domów w złym stanie, poprawiania ich i ulepszania znajdujących się w nich mieszkań. Ewentualnie, mogłoby jedno towarzystwo połączyć w sobie obadwa zadania. Potrzeba i pożyteczność podobnych instytucyi wobec tego, co się powyżéj powiedziało, nie wymaga dalszego usprawiedliwienia. Pole do działania znalazłoby się bardzo obszerne. Istnieją jeszcze znaczne przestrzenie na krańcach ulic, istnieją liczne place na Pradze, które dałyby się korzystnie zużytkować, a przy rozwinięciu i zapewnieniu uboższym łatwiejszéj komunikacyi tramwajowéj do punktów pracy i do środka miasta (1), wpłynęłoby się na rozrost miasta wszerz i wzdłuż i na rozlanie zaludnienia po większéj przestrzeni. Administracya domów z drobnemi lokalami łączy się z większemi kłopotami; aby koszta administracyi nie obciążały budżetu i nie wymagały podwyższenia stopy komornego, do udziału w téj pracy trzeba zaprosić szersze koła, a zwłaszcza swobodniejsze od pracy siły kobiece z warstw zamożniejszych.

Towarzystwa, przy względzie na upowszechnioną u nas wyższą stopę procentową, mogłyby regulować rachunki podług 6-cio procentowéj dywidendy, i przy dobréj administracyi dostarczyłyby jeszcze mieszkań stosunkowo bardzo tanich. Nie trzeba zapominać, że właściciele drobnych domków wyciągają ze swych biédnych lokatorów zyski większe, aniżeli ktokolwiek, i że oni to stanowią klasę wyzyskiwaczy, zarabiających po 10% i 15% od ceny swych realności. Jeżeli towarzystwa odrzucą na bok taki wyzysk, poprzestając na skromnym zarobku, będą w stanie ustanawiać tańsze komorne, które ze swéj strony, przyciągać zacznie lokatorów. Na lokatorach w tych warunkach nie zbraknie, zwłaszcza, gdy mieszkania choć cokolwiek wyróżnią się po nad panujące dzisiaj zaniedbanie. Ale może mi powiedzą, że przybytek mieszkań sprowadzi za sobą ich nadmiar, skutkiem którego liczne mieszkania pozostaną nie zajęte. Otóż tak być nie może.

Większa taniość pozwoli ludności biédniejszéj lepiéj się lokować, ta ludność zacznie zajmować więcéj przestrzeni, więcéj izb licząc na ogół, a przy zwiększoném zapotrzebowaniu pochłonięte zostanie łatwo większe zaofiarowanie. Nie dość na tém, z poprawą warunków zamieszkania łączy się podniesienie pracy i produkcyi, któréj rezultatem znowu jest poprawa bytu, lepsze życie i szersza konsumcya. Że zaś warstwy biédniejsze stanowią liczną masę,

(1) Zbyteczną rzeczą byłoby dowodzić, jak dalece istnieje potrzeba linii tramwajowych do okolic zamieszkałych przez ludzi niezamożnych. Tymczasem w Warszawie linie przez Dobrę, Solec, Czerniakowską dotąd wcale nie zostały zaprowadzone.

wszelka więc wśród nich zmiana w kierunku zwiększonéj konsumcyi, rodzi skutki zbyt znaczne, aby się nie miały odbić wyraźnie na większém zażądaniu wszelkich przedmiotów a więc i mieszkań (1).

Tu przewiduję nowy zarzut: skąd wziąć kapitały? Zarzut byłby niebezpieczny, gdyby chodziło na razie o wielkie miliony, bo skądże ich wziąć? Ale tego rodzaju przedsięwzięcia rozwijają się stopniowo. Można zacząć na razie z mniejszym kapitałem, można pozyskać pożyczkę od towarzystwa kredytowego, rozszerzając działalność stopniowo w miarę powodzenia. Gdy rzecz wejdzie w życie, własnym pędem przyciągać będzie nowe siły i środki pieniężne. Nie należy téż spuszczać z uwagi pożytecznego ruchu, jakiby powstał, skutkiem zwiększonéj działalności budowlanéj. W konsekwencyi i ten ruch przyczyniłby się do ogólnego ożywienia, nie bez pewnego chociaż pośredniego ale pożytecznego skutku dla samych instytucyi (2). Współrzędnie powinna rozwinąć się działalność indywidualna i usiłowania jednostek. Świecące z daleka dobre przykłady, szlachetne czyny Miss Octavii Hill i jéj naśladowców, prawdopodobnie znajdą oddźwięk w społeczności, gdy tę kwestyą pozna i zacznie o niéj myśléć. Można więc robić sobie nadzieję, że powstaną prywatne spółki i przedsiębiorstwa i rozpoczną pożyteczną pod tym względem pracę. Na pierwszém zaś miejscu spodziewać się należy reformy istniejącéj spółki z r. 1862, o jakiéj była mowa, w kierunku większéj sprężystości i energii działania.

Zanim jednak cokolwiek na tych drogach się objawi, zwrócić należy uwagę na dwa inne najbliższe środki, które przedewszystkiém użyte być winny.

Pierwszym z nich jest przeprowadzenie szczegółowego badania stanu mieszkań biédniejszych. Badanie takie do pewnego stopnia stanowić może dalszy ciąg czynności przedsiębranéj w r. 1882, mianowicie spisu jednodniowego. Objęto już w pewne ramy cyfrowe ogólny stan mieszkań, potrzeba pójść daléj, aby wykryć dane szcze-

---

(1) Wiemy z początkowych rozdziałów téj pracy, że upośledzona w bycie mieszkaniowym ludność Warszawy zajmuje 73000 izb, otóż pytanie, co by było, gdyby ludność ta z jakichkolwiek powodów poprawiła swój byt i w następstwie zajęła mieszkania o 50% większe, dobierając na swe potrzeby jeszcze 36.500 izb? Stałby się naprawdę wielki wypadek! Zapotrzebowanie takiéj dodatkowéj ilości pokoi, wymagałoby powiększenia budowli mieszkalnych a więc i miasta o $1/6$ część, bo Warszawa cała posiada tylko 207.120 izb. A ile by w razie takiego wzrostu przybyło roboty dla mularzy, malarzy, stolarzy, wszelkiego rodzaju robotników i przedsiębiorców!

(2) Obawy co do funduszów powtarzają się prawie zawsze przy otwieraniu każdéj nowéj instytucyi. Z jaką to trwogą rodziły się nasze towarzystwa kredytowe, zwłaszcza prowincyonalne, a przecież na listy ich nie zabrakło nabywców!

gółowe co do przestrzeni i wewnętrznego urządzenia, oraz aby powiązać takowe ze statystyką chorób i śmiertelności, jak również ze statystyką moralności.

Tą samą drogą, na jakiéj dokonano spisu jednodniowego, należy zająć się i tą nową czynnością, zapraszając do jéj wykonania co najmniéj równie liczne siły, jak to miało miejsce w r. 1882, bo podobna praca tylko przy licznym udziale i pomocy ludzi dobréj woli może być przeprowadzona.

Drugim środkiem jest wprowadzenie w czasopismach stałéj rubryki, dla rozbiorów i dociekań w kwestyi mieszkań, a zarazem dla zbierania faktów życia codziennego z téj dziedziny.

Prasa zaspała sprawę—niech więc jéj choć późno przyzna należne miejsce i otworzy dyskusyą. Sądzę, że więcéj pożytku przyniesie, taka rubryka i praca nad nią, aniżeli konkursy na felietony i nowele, któremi społeczeństwo zostało już przeładowane.

Za ważnością sprawy przemawia wszystko i zarówno wzory zagraniczne, jak i obserwacya w łonie własnego społeczeństwa, zarówno poglądy uczonych jak i względy na własną przyszłość. Czas wielki zająć się kwestyą, któréj rozwiązanie stanowi warunek pożytecznego rozwoju i postępu.

Adolf Suligowski.





ABISYNIA
I JÉJ MIESZKAŃCY (*).

Gdy żeglarz, płynący po falach morza Czerwonego w bliskości wybrzeża palącéj Samhary, skieruje wzrok ku zachodniéj stronie horyzontu, oczom jego przedstawi się olbrzymia ściana skalista, która niby *fata morgana*, zdaje się wyrastać z równiny nadbrzeżnéj, owiana lekką zasłoną błękitnéj dali i nęci znużonego i spragnionego podróżnika obietnicą ożywczego chłodu, orzeźwiającéj zieleni i szumu kryształowych potoków. Jest to stroma, uwieńczona licznemi szczytami, wschodnia krawędź Abisynii, która tworzy niby olbrzymi bastyon wschodnio-afrykańskiéj wyżyny.

Kraina ta w obszerniejszém znaczeniu ciągnie się 5° do 15° szer. płn. wrzynając się ostrzem prostokątnego trójkąta między wybrzeże morza Czerwonego i dorzecze Nilu (do którego przeważnie należy). W ściślejszém jednak znaczeniu Abisynią nazywa się zwykle tylko północna część tego obszaru (krainy: Tigre na północy, Amhara we środku i Szoa na południu) do wąskiego działu wodnego między systematem Nilu (Abai) i oceanu Indyjskiego. Część ciągnąca się na południe od tego działu (krainy Kaffa i Enarea) stanowi już przejście do wyżyny wschodnio-równikowéj, od któréj

(*) Abisynia, kraina zawsze bardzo ciekawa dla geografa, zwróciła na siebie w ostatnich czasach ogólną uwagę kolonizacyjnemi zapędami Włochów, którzy zajęli port Massaua, awanturniczą wyprawę kozaka Aszynowa, nakoniec śmiercią króla abisyńskiego Jana, jaką poniósł w walkach z mahometanami Sudanu.

Podstawę do niniejszego szkicu geograficznego Abisynii dały nam następujące dzieła: R. Hartmann: Abyssynien und die übrigen Gebiete der Ostküste Afrikas, 1883. Petermann's Mitteilungen 1869: Die geographischen Ergebnisse der englischen Feldzuges in Abessinien. Revue des deux Mondes 1884: L'Abyssinie et son négus. E. Reclus Geographie Universelle t. X. J. Chavanne: Afrika im Lichte unserer Tage, 1881 i t. d.

dolina rzeki Juba, płynącéj do oceanu Indyjskiego, stanowi niezbyt wybitną granicę.

Abisynia jest wyżyną, któréj najwyższe szczyty (Ras Daszan, Abba Jared) sięgają prawie wysokości Mont Blancu, a któréj środkowe zagłębienie zajmuje jezioro Tsana (2000 m.). Wyżyna ta spada na wschód znaną już nam stromą, na 3000 m. wysoką ścianą ku zbudowanemu przez korale, niskiemu, pustynnemu wybrzeżu Samhary, w któréj piaskach giną spływające z wyżyny potoki; wybrzeże to ku południowi coraz bardziéj się rozszerza, w miarę jak krawędź wyżyny, biegnąca w kierunku południkowym, oddala się od ukośnie biegnącego wybrzeża morza. Na zachód wyżyna pochyla się zwolna za rzekami systematu Nilu (Abai z jeziorem Tsana, Takassie) ku stepowym równinom Sennaaru. Płynące wody pokrajały tę wyżynę, tę naturalną skalistą fortecę, głębokiemi dolinami, których materyał uniosły dla zbudowania żyznego Egiptu. Wskutek tego jednolita wyżyna zmieniła się na labirynt skał, forteca rozpadła się na oddzielne forty, piętrzące się tarasowato jeden nad drugim, w dzikim bezładzie, „niby rozburzone prace przedwiekowych Tytanów“. Abisyńczycy powiadają, że „Bóg, wyprowadzając ziemię z chaosu, zapomniał o Abisynii“. Skały te, kształtu piramid, graniastosłupów, walców, stożków, wyglądają to jak wieże kościołów, to jak piszczałki organów, to jak olbrzymie katedry gotyckie. Na płaskich zwykle szczytach tych skał, zwanych amba, wnoszą się często osady, klasztory i warownie (Debra Tabor, Magdala i t. d), do których dostać się można nieraz tylko przy pomocy sznura, drabiny lub wyrąbanych schodów skalistych. Wogóle Abi synia jest jedną z najniedostępniejszych krain na ziemi; niedziw też, że pozostała ona niepodległą, mimo zdobywczych zapędów Egiptu od Faraonów do Kedywów; że pozostała, podobnie jak Czarnogóra, chrześciańską wyspą śród mahometańskiego morza, którego fale roztrącały się darcmnie o jéj strome skaliste wybrzeża.

Dziko malownicza górska przyroda Abisynii zjednała jéj miano „afrykańskiéj Szwajcaryi“, jakkolwiek szczyty jéj podczas lata nie błyszczą w promieniach słońca srebrną oponą wiecznych śniegów, a do ich stóp niespływają „błękitną piersią“ lodowce-„delfiny“. Abisynia posiada jednak malownicze górskie jeziora, zapewne wypełnione wodą kratery wygasłych wulkanów.

Fundament wyżyny tworzą granity, gnejsy i łupki krystaliczne; na nim spoczywa żelazisty piaskowiec, przez który przebiły się w wielu miejscach skały wybuchowe (źródła gorące), szczególniéj bazalt, tworzący podobnie jak w Dekanie, rozległe pokrywy i dzielący się na prawidłowe słupy. W związku z wulkanizmem, miano-

wicie ze źródłami gorącemi, są, jak się zdaje, często w Abisynii napotykane drzewa skamieniałe: prawdopodobnie pod działaniem gorącéj wody drzewa te obumarły, a następnie, roztworzony w wodzie kwas krzemowy, przeniknął na podstawie włoskowatości przez włókna drzewne aż do wierzchołków.

Abisynia nie jest zupełnie pozbawiona skarbów mineralnych, szczególniéj obficie znajduje się żelazo, służące do wyrobu broni, oraz siarka (w kraterach wulkanu), któréj używają do wyrobu prochu. Samhara obfituje w sól, szczególniéj obficie osadza się ona w jeziorze Assal, leżącém wpobliżu zatoki Tedżura poniżéj poziomu morza: wskutek silnego parowania na powierzchni tego jeziora tworzy się skorupa solna na dwa cale gruba. Na wyżynie znajduje się sól kamienna.

Klimat Abisynii, jako krainy bardzo urozmaiconéj pod względem plastyki terenu, jest téż bardzo urozmaicony. Na niskiém wybrzeżu Samhary jest gorący, zapewne najgorętszy na ziemi: do portu Massaua możnaby z całą słusznością zastosować formę wyrażenia, używaną w różnych krajach Wschodu: „Allahu, mając Massauę, po co stwarzałeś piekło?“: średnia temperatura roku sięga tam + 35° C. (u nas tylko 7½° C.), niedziw téż, że nawet dość wytrwali na gorąco Włosi z utęschnieniem spoglądają z Massauy na chłodniejsze wyżyny Abisynii.

W samych górach, stosownie do różnych kondygnacyi kraju, spotykamy różny klimat i związane z nim życie roślinne i zwierzęce: po nad gorącą, lesistą krainą bawełny (a zarazem febry), rozesłaną u stóp wyżyny i w głębokich dolinach (Kuolla), wznoszą się piętrami krainy umiarkowane (woino dega), gdzie na niższych piętrach rozsiadły się najczęściéj rolnicze osady ludzkie, tonące w zieleni ogrodów; gdzie rosną olbrzymie sykomory, banany, drzewa cytrynowe, oliwne i t. d.; na wyższych piętrach rozścielają się zielone kobierce łąk alpejskich, tchnące wonią róż i jaśminów; jest to kraina pasterzy odzianych w skóry zwierząt, abisyńska Arkadya. Wyżéj wznosi się dzika kraina alpejskich szczytów (dega), gdzie w zimie panują już mrozy. Na góry Abisynii wkraczaja z równin okolicznych wielkie gróboskórne oraz lew, który w chłodniejszych okolicach porasta bujnym włosem; zwierzęta te nie przechodzą jednak zwykle po nad Kuolla i niższe piętro woino dega. Wyżéj bujają antylopy skalne i liczne ptaki drapieżne, które tutaj, jak wogóle na wschodzie, spełniają rolę policyi sanitarnéj, usuwając padlinę. Gwarne uczty tych ptaków dowodzą nam w sposób naoczny, że najwyższém prawém przyrody jest siła: zasiadają one zawsze we wzorowym porządku wedle wielkości i siły, niby wytworni goście przy etykietalnym stole magnata.

Abisynia leży w pasie deszczów letnich zenitalnych. Na dega a czasem i na woino dega pada grad i śnieg; na szczycie Ras Daszan ma on się podobno utrzymywać przez cały rok. Deszcze, jak wogóle w krajach gorących, są gwałtowne; wezbrane od nich górskie potoki zrządzają straszliwe spustoszenia: podmywają skały, spłókują ziemię rodzajną, unoszą lasy. Wszystko stacza się w szumiącą, spienioną otchłań wód, biada zwierzętom i ludziom zaskoczonym przez rozszalały żywioł. Masy mułu i rumowiska, osadzone przez takie dzikie potoki, zmieniają żyzne niwy i bujne pastwiska w pustynie. Wylewy obejmują nieraz wielkie obszary i przerywają komunikacye na tygodnie, a nawet miesiące. Całe obozy, rozłożone w suchych łożyskach rzek, giną nieraz zaskoczone przez wezbrany potok. Wiadomo, że już na równinach Sennaaru, nagle wezbrane w porze deszczów, potoki zrządzają straszne zniszczenia, o ileż straszniejsze być one muszą w krainie alpejskiéj, jak Abisynia.

Nie należy jednak zapominać, że to zniszczenie w jednêm miejscu jest zarodem życia dla drugiego: ze skał Abisynii rozkruszonych i uniesionych przez potoki został zbudowany Egipt, który już Herodot nazwał „darem rzeki".

W czasie suchéj pory roku mniejsze rzeki zupełnie wysychają; nawet dopływ Nilu, Takanie nie dosięga wtedy rzeki głównéj i rozpada się na łańcuch kałuż, w których niezbyt wygodnie ściśnięte, roją się zwierzęta wodne: ryby, żółwie, krokodyle i hipopotamy.

* * *

Pewniejsze historyczne wieści o Abisynii datują się dopiero od czasu Ptolemeusza III Euergetesa (247—222): wtedy na wybrzeżu Abisynii, na zachód dzisiejszéj zatoki Annesley leżało miasto portowe Adulis, które zakwitło handlem dzięki kolonistom greckim. Stąd galery handlowe przywoziły kość słoniową, rogi nosorożców, baty ze skóry hipopotamów itd. Wówczas w Abisynii nie tylko polowano na słonie, ale chwytano je żywe i tresowano do wojny; wówczas w północnéj części tego kraju, w dzisiejszéj krainie Tigre, powstało kwitnące państwo Axum, do którego przemknęła grecka kultura i które zawiązało ścisłe stosunki z południowo-zachodnią Arabią i rozprzestrzeniło tam swą władzę; wówczas ludność arabska zaczęła się dobrowolnie lub z musu przesiedlać do Abisynii. W pobliżu dzisiejszego miasta Axum napotykają się liczne pomniki, świadczące o dawnéj kulturze. Axum uległo zniszczeniu wskutek wojen, a może i trzęsienia ziemi.

W państwie tém rozpowszechniła się religia chrześciańska zaprowadzona około połowy czwartego wieku, przez dwóch rozbitków Frumencyusza i Aedizyusza; pierwszy z nich został mianowany przez patryarchę aleksandryjskiego arcybiskupem (abuna) Abisynii. Następnie Abisyńczycy przedsiębrali wyprawy do Arabii, o czém się przekonywamy z wyżéj wspomnianych pomników koło Axumu i z ksiąg historycznych; wyprawy te nie natrafiały na przeszkody wobec wązkości morza Czerwonego, szczególniéj w pobliżu cieśniny Bab el Mandeb i wobec wielkich zdolności żeglarskich, jakie dziś jeszcze spotykamy u rybackiéj ludności osiadłéj na wybrzeżu Abisynii. Wyprawy te sprowadziły za sobą pomieszanie się dwóch etnicznych elementów, murzyńskiego i semickiego w pobliżu cieśniny Bab el Mandeb; z Arabii przeszła też do Abisynii religia żydowska, któréj abisyńscy wyznawcy, zwani Falasza, wzrosłszy w siłę, zapanowali na czas jakiś nad Abisynią; ale następnie chrześcianie znów odzyskali swe polityczne znaczenie.

W Szoa panuje do dziśdnia dynastya Salomona, reprezentowana przez inteligentnego króla Menileka; historya téj dynastyi jest nawpół mityczną: w Biblii czytamy, jak wiadomo, o pewnéj królowéj Saba, która odwiedziła Salomona; owocem ich miłości był Menilek. Hartmann sądzi, iż owa „królowa" była to jakaś księżna abisyńska lub meroityjska. Menilek założył w Abisynii kolonią żydowską i dynastyę Salomona z tytułem królewskim (*negus*).

Ile historycznéj prawdy mieści się w tém całém podaniu, trudno rozstrzygnąć, to jednak pewna, że już w odległéj starożytności przeniknął do Abisynii judaizm. Musiało się to stać za panowania téj staréj dynastyi, która wyprowadza swój początek od Salomona. Władcy Szoy, używający tytułu królewskiego, wyprowadzają właśnie, jak już wspomnieliśmy, swój ród od Salomona i noszą często imię Menilek.

Około roku 1530 dom Salomona siedział też w Gondar (Amhara) na tronie cesarskim czyli króla królów (*negus negesti*). W owym czasie pewien fanatyk mahometański, Mohammed Guranje zgromadził mahometańskie ludy i poprowadził je na chrześciańskie państwo Abisynii. Abisyńczycy zwrócili się o pomoc do kolonizujących wybrzeża Afryki Portugalczyków. Dzielny zastęp luzytański, w rodzaju towarzyszy Korteza lub Pizarra, zjawił się w Abisynii pod wodzą Doma Christovao da Gamy, zwyciężył tłumy mahometańskie i wypędził je z Abisynii. Tron Salomona został uratowany i Galaudies (Klaudyusz) zyskał godność *negusa negesti*. Jako nagrody żądali Portugalczycy ziemi oraz uznanie papieża za głowę kościoła abisyńskiego. Ale Galaudies odrzucił to żądanie i wygnał przyby-

łych jezuitów. Później udało się jednak jezuitom zapuścić w Abisynii silne korzenie, rozpoczęły się prześladowania i walki religijne, ale w końcu (rok 1632) zostali oni po raz drugi wygnani.

Później władza cesarza upadła. Namiestnicy w Szoa, Amhara i Tigre stali się niezależnymi władcami. Około roku 1760 Mikael, ras (tj. władca) Tigre, zamordował cesarza Joasa i osadzał kolejno jego krewnych na tronie w Gondar. Taka zabawka w manekinów z towarzyszeniem zdrad i rozlewu krwi ciągnęła się do najnowszych czasów. Ras Mikael w 1771 roku został zwyciężony przez jednego z gubernatorów (dedjas), Wend Bowesana; drugi gubernator, Kefla Yasus chciał się połączyć z pierwszym dla zamordowania Mikaela, nie znalazł jednak poparcia: Bowesan wypuścił Mikaela, który pobił Yasusa, wziął go do niewoli i kazał stracić. Następnie syn Mikaela, Wolda Selasie został rasem w Tigre. Po jego śmierci (1816) wielu pretendentów walczyło o tę godność, nakoniec posiadł ją ras Ubie, władca surowy, ale roztropny.

W Amharze od 1833 roku władał mężny intrygant ras Ali, który przez pewien czas trzymał cesarza Sagalu Dengela jakby w niewoli; nakoniec w porozumieniu z duchowieństwem zupełnie złożył go z tronu (1833 r.). Tron cesarski w Gondar pozostał pustym.

Namiestnicy Szoy, jak już wiadomo, wyemancypowali się od władzy centralnéj i utworzyli oddzielny tron. W roku 1811 na tron ten wstąpił mądry władca Sahela Selasie. Synowie tego króla, ras Ali i ras Ubie władali około 1855 roku Abisynią, gdy w tém pojawiła się tu nowa gwiazda w osobie Kasy, gubernatora Kuary. Kasa był dzieckiem ludzi ubogich, którzy jednak szczycili się pochodzeniem z krwi Salomona; po śmierci ojca, matka Kasy prowadziła handel znanym środkiem leczniczym kuso. Młody Kasa zaś wychowywał się w klasztorze, gdzie przykładał się z zapałem do nauki, ale gdy klasztor w zamieszkach wojny domowéj został zburzony, Kasa uszedł w góry, zebrał koło siebie gromadę śmiałków i rozpoczął wojnę domową, aby urzeczywistnić swój ambitny plan stania się panem Abisynii; plan ten podzielała i podsycała jego roztropna i energiczna żona, imieniem Tanawicz („ona jest piękna“), do któréj Kasa był tak przywiązany, że jeszcze w kilkanaście lat po jéj śmierci wylewał łzy na jéj wspomnienie. Stawszy się panem jednéj prowincyi, Kasa zaczął przedsiębrać śmiałe wyprawy w sąsiednie kraje mahometańskie, skąd uprowadzał bydło i niewolników. Wyprawy te przyniosły mu środki materyalne, a jego szalona odwaga zjednała mu mnóstwo zwolenników i pozwoliła urzeczywistnić am-

bitne plany. W zwycięskich bitwach pokonał on jednego po drugim władców oddzielnych krain Abisynii i rozkazał się koronować jako cesarz, *negus negesti*, pod imieniem Teodorosa II.

Wśród Abisyńczyków oddawna utrzymywało się podanie, że w tym rozdartym trapionym przez wojny wewnętrzne, kraju zjawi się jakiś niby mesyasz, który przywróci tronowi cesarskiemu dawny jego blask i zdobędzie na muzułmanach święte miasta Arabii. Teodoros umiał to podanie wyzyskać na swoję stronę; po koronacyi pociągnął przeciwko Szoy, któréj król Hailu Mulakut, najstarszy syn Sahela Selasiego, przegrał bitwę i utracił tron.

Teodoros stał się teraz jedynym władcą Abisynii. Roztropny, mężny, szalenie ambitny, surowy, ale sprawiedliwy, stał on się bożyszczem swego narodu; niestety jednak z czasem dał się unieść szałowi cezarów, stał się bezmyślnie okrutnym, wywołał reakcyą. Ta jego zmiana była w związku z jego życiem domowém. Za życia pierwszéj żony i pewien czas po jéj śmierci Teodoros prowadził życie bardzo surowe, nawet swym urzędnikom wzbraniał konkubinatu. W roku 1860 spotkał on pewnego dnia w kościele dziewczynę modlącą się gorąco do Matki Boskiéj; uderzony jéj pięknością i skromnością, zasięgnął o niéj wiadomości i dowiedział się, iż jest jedyną córką byłego władcy na Tigre, jego dawnego współzawodnika, którego pokonał i wtrącił do więzienia. Teodoros zażądał jéj ręki, ale został grzecznie odtrącony; nie należał on jednak do ludzi, którzy łatwo odstępują swych pragnień: położył za warunek uwolnienie ojca z więzienia; wówczas Waisero Terunisz („ty jesteś czysta") poświęciła się dla ojca i oddała rękę Teodorosowi bez miłości. Małżeństwo to nie było szczęśliwe; Waisero była dumna, patrzyła na swego męża z góry, jako na przywłaszczyciela, parweniusza, nie ukrywała braku miłości i szacunku. Gwałtowny Teodoros oddalił ją od siebie i wziął konkubiny; następnie oddał się pijaństwu, stał się okrutnym tyranem, mordercą. Dla utrzymania w posłuszeństwie niezadowolonych wassalów Teodoros powołał pod broń czwartą część mieszkańców swego państwa, na którą pozostałe trzy czwarte musiały pracować (i to z wyłączeniem bardzo licznego duchowieństwa). Uciskana ludność rolnicza zaczęła się burzyć, Teodoros dla wyżywienia swego wojska musiał przedsiębrać łupieskie wyprawy we własnym kraju. Rolnicy skryli się na niedostępne amby, cesarz zastawał wszędzie pustynie; środków żywności brakowało, głód, choroby i dezercya osłabiły i uszczupliły jego niezwyciężoną armią. Z resztkami jéj wykonał Teodoros niesłychanie utrudzający marsz po górach i schronił się przed swymi wassalami na niedostępną ambę Magdala.

Tymczasem wystąpił przeciw Teodorosowi, nowy, potężny wróg—Anglia. Teodoros oddawna z właściwym mu uporem układał plan politycznego i handlowego sojuszu z Anglią w celu zawojowania Egiptu i napisał w tym przedmiocie list do królowéj angielskiéj; rząd angielski jednak nie miał naówczas żadnego interesu występować wrogo przeciw Egiptowi; Teodoros więc długo czekał na odpowiedź, w końcu Anglicy odmówili współudziału. Dumny i rozdrażniony Teodoros rozkazał uwięzić konsula angielskiego, a nawet i nadzwyczajnego posła, wówczas Anglicy wypowiedzieli Teodorosowi wojnę i generał Napier, wylądowawszy z armią w zatoce Annesley, wkroczył do Abisynii i pociągnął ku Magdali. Gdy Anglicy stanęli u stóp téj amby, armia Teodorosa była już zupełnie zdezorganizowana. „Tam w górze na ciemnéj skale bazaltowéj, mówi Markham, znajdował się król tylko z 3000 zbrojnych w karabiny skałkowe i lontowe, gromadą zbrojną w dzidy i z kilku armatami stworzonemi przez jego potężną wolę, któremi jednak nikt nie umiał kierować; przybył on tu na krótko przed Anglikami po niewysłowionych trudach marszu, aby tu umrzéć. Gdy już najdzielniejsza część jego wojska była wybita przewagą broni, Teodoros podczas układów, napisał do wodza angielskiego te dumne słowa: „wojownik, co najsilniejszych mężów kołysał na ręku jak dzieci, nie zniesie nigdy, ażeby był kołysany przez innych“. Teodoros, mówi daléj Markham, „był za dumny, aby jak Abd el Kader lub Szamil przyjąć łaskę zwycięzcy i swe barbarzyńskie, ale bohaterskie życie zakończyć w złoconém więzieniu, jako interesujące trofeum schlebiać narodowéj dumie Anglików; gdy więc już wszyscy jego towarzysze opuścili go, lub zginęli, odebrał sobie życie wystrzałem z pistoletu. Wolał sobie zadać śmierć, niż żyć w poniżeniu i pogardzie. Zginął jak bohater“.

Tak skończył człowiek, który był jedném z najważniejszych zjawisk w nowéj historyi Afryki. „Przez swe własne zdolności, mówi Markham, bez pomocy z zewnątrz doszedł on do władzy swą szaloną odwagą i militarnym talentem, ścieląc wszystko przed sobą. W początkach swego panowania kierowany był wzniosłym i szlachetnym celem (zgnieceniem mahometanizmu), lecz nieumiejętność rządzenia i szalona duma doprowadziły go do zguby. Duma ta rosła w miarę jak napotykała opór, aż na koniec doszła prawie do szaleństwa, które się wyraziło w bezmyślnych okrucieństwach i mordach. Ale nawet pośród tych wstrętnych czynów miał Teodoros przebłyski szlachetności: nie znał co to bojaźń ludzi: jego najniebezpieczniejsi wrogowie, gdy wpadli mu w ręce, najczęściéj nie ponosili śmierci, lecz byli ułaskawieni“. „Porywany wrażeniem chwili, mówi pewien europejczyk, który służył na dworze Teodoro-

sa, z temperamentem namiętnym, przechodził on zarówno w gniewie jak i dobroci wszelkie granice praw boskich i ludzkich. Jego niepohamowana ambicya i duma nie pozwalała mu przyznać się do winy, upokorzyć się, lub posłuchać czyjéjś rady. Czy karał czy nagradzał, czynił to bez wszelkiéj miary. Miał on wielką pamięć, umysł żywy, sąd trafny i szybki. Dwie siły: zła i dobra, walczyły w jego duszy i w miarę jak zwyciężała jedna, lub druga, stawał on się bohaterem, lub dzikiém zwierzęciem".

Teodoros więc był mieszaniną złych i dobrych popędów, mających potęgę namiętności; był typem swego narodu. Dla tego dłużéj zatrzymaliśmy się nad jego charakterystyką.

Anglicy nie dali się omamić tylko przypadkowo łatwém zwycięstwem; wiedzieli, jak trudne jest utrzymanie tego górzystego kraju i jego wojowniczych mieszkańców, opuścili więc Abisynią. Syn pewnego abisyńskiego gubernatora, który poczęści wskutek sprytu, po części wskutek osobistéj niechęci do Teodorosa, trzymał stronę Anglików, imieniem Kasai, opanował tron negusa i zaczął panować pod imieniem Jana (Johanes). Potrafił on pozyskać sobie powszechne uznanie, nawet dumny Menilek z Szoy poddał się jego władzy. Krainy Enarea i Kaffa, téż przyłączyły się do Abisynii. Johanes rezydował zwykle w Samara na wyżynie Debra Tabor, ku wschodowi od jeziora Tsana; był to władca utalentowany i wojownik mężny: zniszczył on trzy armie egipskie, wysłane na zawojowanie Abisynii, w czém naturalnie wielką pomocą była górzysta, niedostępna przyroda kraju. W ostatnich czasach Johanes, jak wiadomo, zginął w walce z mahometanami Sudanu.

* * *

Mieszkańcy Abisynii są mieszaniną ludności napływowéj, która tu przyszła z południowo zachodniéj Arabii i z okolicznych równin, oraz ludności pierwotnéj, która dotąd stanowi główny pień etniczny Abisynii i jest rasą przejściową między pierwotnymi Egipcyanami a murzynami. Ci pierwotni mieszkańcy noszą imiona Agau, co znaczy „wolni", i zamieszkują dotąd niezmieszani okolice nad górną Takasssie i na zachód jeziora Tsana. Według niektórych egiptologów, Agau są potomkami nubijskiego ludu Uaua, o którym wspominają starożytne pomniki egipskie i który stopniowo został wyparty ku górnemu Nilowi. Różne obrzędy u Agau przypominają starożytną religią Egipcyan: u źródeł Nilu niebieskiego i u źródeł Takassie Agau obchodzą święto na cześć boskiéj rzeki. Czczą oni téż węże, które grają tak ważną rolę w pierwotnéj mitologii egipskiéj i które są dotąd czczone przez wiele narodów. Mówią osobnym dyalektem hamatenga lub hamoa, który zresztą jest pokrewny językowi amharinia, powszechnie używanemu w Abisynii.

Do Agau należy też zaliczyć bardzo rozsiany po Abisynii lud Falasza czyli tak zwanych „żydów abisyńskich“. Ludzie ci zajmują się przemysłem, szczególniéj żelaznym i dla tego, jak to zwykle bywa w Afryce, uważani są za czarodziejów. Według samych Falaszów, mają oni pochodzić z Jerozolimy, są bardzo religijni, obserwują szabas w sobotę, zaprzeczają boskiego pochodzenia Chrystusowi, uważają położnice za nieczyste, w dzień wielkiéjnocy zabijają baranka na ofiarę, zanurzają dzieci przy chrzcie, pięcioksiąg Mojżesza mają w wysokiéj czci i t. d. Według Heuglina, Fąlasza zewnętrznie nie różnią się od reszty Abisyńczyków. O języku hebrajskim nic nie wiedzą. Żyją podobnie jak mahometanie, odosobnieni w oddzielnych wsiach i kwartałach miejskich, posiadają ziemię i prócz przemysłu zajmują się rolnictwem. Pracowitością i sprytem przewyższają, podobnie jak mahometanie, abisyńskich chrześcian.

Nabożeństwo Falaszów jest mieszaniną starych obrzędów chrześciańskich z żydowskiemi. Ostatnie pochodzą z owych czasów, gdy przeniesiony przez jemeńskich Arabów do Abisynii zepsuty judaizm stał się tu religią państwową. W owe czasy Falaszowie mieli wielką władzę w Abisynii i posiadali własnych królów, następnie utracili tę władzę i ulegli prześladowaniom religijnym ze strony władców chrześciańskich.

Falaszowie bywają uważani przez niektórych badaczy za prawdziwych żydów, Hartmann jednak stanowczo temu zaprzecza; według niego, są oni, podobnie jak czarni żydzi Indostanu i wybrzeża Loango, jak żydzi Madagaskaru i Karaici krymscy, tylko pseudożydami, to jest ludami, które przyjęły tylko zwyczaje żydów, ale zresztą nic z nimi wspólnego nie mają. Prócz Falaszów żyje w Abisynii jeszcze wiele ludów blisko pokrewnych ludowi Agau, wyznających różne religie, będące mieszaniną judaizmu, chrześcianizmu i poganizmu.

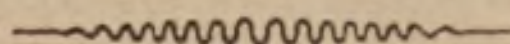
Prócz plemion pokrewnych Agau, żyją też w Abisynii plemiona od nich różne, przeważne liczbą i politycznem znaczeniem, mówiące językiem geer, należącym do grupy języków semickich; do plemion tych należą Amharowie, zamieszkujący krainę tegoż nazwiska, oraz krainę Szoa; daléj mieszkańcy krainy Tigre i t. d. są to mieszaniny Agau z innemi narodami, mianowicie z Galami, ludem murzyńskim, zamieszkującym po części Abisynią po części krainy na południe od niéj leżące, oraz z Arabami, którzy tu przywędrowali przez morze Czerwone. Mimo tych prowincyonalnych różnic, lud abisyński jest dość jednolity: głównym przecie jest tu wyżéj wspomniony lud Agau pokrewny Nubijczykom, którzy znów stanowią ogniwo łączne między Agau i Egipcyanami. Tych ostatnich, lud Retu starożytnych pomników, uważa Hartmann za potomków

Nubijczyków (Barabra), którzy ulegli zmieszaniu z Berberami, murzynami Sudanu i Semitami (Arabami). Dalsze pomieszanie się Egipcyan w czasie wojen z Persami, Grekami i mahometanami wytworzyło dzisiejszych Fellachów. Wobec pokrewieństwa Egipcyan z ludem Barabra, a daléj z Agau, nie należy się dziwić, gdy na wyżynie Abisynii spotkamy indywidua, których rysy twarzy przypominają typy ludu faraonów, napotykane na starożytnych pomnikach.

Z drugiéj strony ciż sami Agau są przez wielu słusznie uważani za pokrewnych ludowi Gala, których nie można znów oddzielić od murzynów. Cały szereg przekonywających dowodów prowadzi nas wogóle do uważania centralno i wschodnio-afrykańskich ludów za nierozerwany łańcuch grup etnicznych. Dowodzą nam tego zarówno liczne wspólne cechy fizyczne, cielesne, jako też wspólne urządzenia państwowe i domowe, podobne prawidła moralne i obrzędowe, podobne zasady językowe. Jeżeli mianowicie przejdziemy kolejno wszystkie narzecza tych plemion, to znajdziemy w nich wiele wyrazów wspólnych, co do których przypuszczenie zapożyczenia jest wykluczone tak, iż wspólność ta musi polegać na wewnętrzném pokrewieństwie języków. Naturalnie, że chcąc w tym kierunku porównywać z sobą różne te plemiona, trzeba naprzód wziąć pod uwagę stykające się z sobą, sąsiednie ogniwa, a nie przeciwstawiać odrazu ogniw ostatecznych. Jeżeli ktoś zechce wziąć do porównania człowieka wyższego stanu z narodu Agau i murzyna Hausa lub Njam-Njam, ten znajdzie między tymi ludźmi tak wielkie różnice cielesne, że wszelka myśl o pokrewieństwie wyda mu się niemożliwą; jeżeli jednak porównywać będziemy kolejno każdy naród z sąsiednim, to znajdziemy dostateczną ilość analogii.

Plemiona Amhara i Tigre, a szczególniéj to ostatnie, są zmieszane z elementem semickim (syro-arabskim); jednakże zmieszanie nie było na tyle intensywne, aby mogło wpłynąć znacznie na zmianę typu fizycznego. Wobec wąskości morza Czerwonego, nie ulega kwestyi, że już w odległéj starożytności handlowe ludy wybrzeża arabskiego musiały odwiédzać wybrzeże Abisynii i osiedlać się na niém; ruch ten trwa do chwili obecnéj. Arabowie osiedlający się w Abisynii, wstępują chętnie w związki małżeńskie z kobietami abisyńskiemi, co nie pozostaje bez śladów na fizycznym typie ludności Abisynii, nie w tym jednak stopniu, jak sądzi Hartmann, aby ludność tę można było zaliczyć do Semitów.

(*D. n.*) *Wacław Nałkowski*





Z OBCEGO ZAGONA.

Historya i historycy. *L'histoire et les Historiens* par Louis Bourdeau. Paris, 1888. str. 472 in 8⁰.

W dalszym ciągu tytułu czytamy, że jest to studyum krytyczne o historyi uważanéj jako umiejętność pozytywna. Ducha książki zapowiada króciutki wstęp charakteryzujący pogląd autora na historyografią. Historyą, powiada, należy całkowicie przerobić, albo raczéj historyi dotychczas nie mamy. Nawet fundamenta trzeba dopiero zakładać. Budowa czeka na architekta. Zaledwie można powiedziéć, iż przeszłość przekazała nam materyały. Ażeby się jakaś umiejętność mogła ukonstytuować, wielu warunków potrzeba. Najprzód potrzeba jasno określić jéj przedmiot; następnie problemata mające się rozwiązywać należy rozłożyć w porządku rosnącéj ich zależności tak, by stanowiły program racyonalny; daléj, potrzeba metody stosownéj, mogącéj uwydatnić poszukiwane prawdy; nareszcie, zdobyte wiadomości powinny być sformułowane w prawa. Otóż, dotychczasowa historya żadnemu z tych wymagań nie czyni zadość. Przedmiot jéj chwiejny, źle określony, bez stałych granic; program pełen chaotyczności; metoda bezsilna do stwierdzenia niezawodności faktów, niezdolna wcale do wykazania praw. Zamierzamy złożyć na to dowody i wskazać jakby powinny być badane rzeczy ludzkie, ażeby mogły zająć miejsce w szeregu umiejętności.

Coby na taki zuchwały zamiar powiedziały setki, a może tysiące zmarłych i żyjących historyków? Nie jest-że to bluźnierstwem twierdzić, że historyi dotychczas jako umiejętności nie mamy, że zaledwie zgromadzono materyały do jéj zbudowania? Wczytawszy się w książkę, przestajemy podejrzewać autora o zarozumiałość, lub lekceważenie dotychczasowych historyków. Na twierdzenie autora, że dotychczasowa historya nie jest umiejętnością pozytywną, ta-

ką jak np. matematyka, astronomia lub mechanika, zgadzamy się całkowicie, z czego nie wynika ażeby historya taka, jaką jest obecnie, żadnéj naukowéj nie miała wartości. Czy kiedyś zyska tę ścisłość, jaką podziwiamy w umiejętnościach pozytywnych, można poniekąd wątpić, ale usiłowaniom dążącym do podniesienia jéj na stopień pozytywności, chociażby niewieńczonym zupełném powodzeniem, przyklasnąć należy.

Mamy do czynienia z dziełem nawskróś krytyczném, a ztąd już sama definicya historyi, którą na czele podają historycy, ulega krytyce. Zamiast dotychczasowych, znanych i mniéj więcéj jednako brzmiących definicyi autor podaje taką: „Historya jest umiejętnością rozwoju rozumu“. Rozwój zaś rozumu przejawiał się stopniowo w miarę rozwijania się potrzeb człowieka. Najpierwszą jego potrzebą było zaspokojenie głodu a na wynajdywaniu sposobów tego zaspakajania ćwiczył się jego rozum. Potém dopiero mogły się zjawić inne wyższe potrzeby; a zatém historya powinna obejmować ogół faktów, któremi rozum kieruje, lub od których zależy. Wszędzie, gdzie ludzie żyją, gdzie się ich rozum kształci i gdzie się dokonywają zmiany za pomocą pracy w gatunku ludzkim, wszędzie tam przygotowywa się materyał historyczny. Byłoby to ideałem, gdybyśmy zdołali ogarnąć, poznać wszystkich ludzi i wszystkie rzeczy. Umiejętność zatém winna poznać ich jak najwięcéj, gdyż o tyle będzie mniéj zupełną, o ile poszukiwania swoje ograniczy do mniejszéj liczby ludzi i rzeczy. Tymczasem historycy zaniedbywali téj powinności i zamiast obserwować ogół ludzi, ograniczali swoje badania do pewnych osób; zamiast przyglądać się funkcyom rozumu, opowiadali zdarzenia. Takie traktowanie rzeczy nie odpowiada wcale wymaganiom umiejętności. Trzeba poznanie rodu ludzkiego oprzéć na szerszéj podstawie.

Zarzut ten, zbyt stanowczo wyrażony, nie jest zupełnie sprawiedliwy. Gdyby autor powiedział, że historycy p r z e w a ż n i e zajmowali się tylko wielkiemi sprawami i wielkimi ludźmi, twierdzenie jego byłoby bliższe prawdy; wiadomo bowiem, że historycy, osobliwie nowsi, wciągają do swoich obrazów wszelkie objawy życia zbiorowego, a więc i literaturę, i umiejętność, i sztukę, życie ekonomiczne, obyczajowe, religijne, prawda, że pokrótce, ale gdyby chcieli traktować je wyczerpująco historya urosłaby do niewymiernych granic. Dla tego téż wprowadzono tu podział pracy na oddzielne gałęzi badań.

Z kolei autor przystępuje do udowodnienia zarzutu w rozdziale traktującym o „czynnikach historyi.“ Do takich czynników historycy zaliczają najprzód sławnych ludzi. Otóż, jest to niesłuszne,

albowiem historyk nie ma prawa pomijać najskromniejszego pracownika tak samo, jak matematyk nie może opuścić najmniejszéj ilości między spółczynnikami pewnéj liczby, a chemik atomu w analizie pewnéj subtancyi. Na półtora miliarda ludzi zamieszkujących kulę ziemską cóż znaczy parę setek ludzi sławnych? Jestże to umiejętność, taka znajomość rodu ludzkiego? Cóżby powiedziano o geografie, któryby zamiast opisu ziemi poprzestał na wzmiance o najwyższych jéj szczytach? A tymczasem historycy, począwszy od starożytnych a skończywszy na Carlyle'u, bohaterów głównie mają na widoku. Otóż historya umiejętna powinnaby rozpocząć swoje dzieło od wyrzucenia z panteonu mnóstwa miernot, które się stały sławnemi dzięki talentowi historyka, lub kaprysowi losu. Historya więcéj liczy Messalin, niż Lukrecyi, więcéj Neronów niż Marków Aureliuszów, a lud przyzwyczaja się do czci dla tych, którzy go zjadają. Wszyscy znają Herostrata, a mało kto budowniczych, którzy wystawili świątynię efeską. Tymczasem ród ludzki nie składa się z pigmejczyków i olbrzymów, lecz z ludzi średniego wzrostu, z bardzo małemi wyjątkami; dopiero imaginacya bajarzy zwanych historykami wydyma ich do niebywałych rozmiarów, a łatwowierność ludzka przyjmuje to za prawdę. Wielkość przypisywana bohaterom jest wynikiem wzrastającéj idealizacyi; chwała ma sobie właściwą perspektywę, tworzącą się wbrew prawom optyki: im jest oddaleńsza, tém rzeczy wydają się większe. Sławni nie zyskują na widzeniu ich zbliska; im się ich lepiéj zna, tém się mniéj podziwia, i dlatego ludzi idealnych, skończonych, znajdujemy tylko w odległéj przeszłości. Każdy wiek skarży się na posuchę wielkich ludzi i narzeka, że wzrost ich ciągle maleje. A zatém, gdyby przyszło definiować wielkich ludzi, trzebaby powiedziéć, że są to tacy, którzy nam się z d a j ą być wielkimi. Dokonane przez nich dzieła są wielkiemi dlatego, że wszyscy, wielka nieznana masa, pomagali im w robocie. Starożytny Herkules był istotą zbiorową: imaginacya skupiła czyny wielu i dodała do nich jego własne. W gruncie, powiada Goethe, wszyscy jesteśmy takiemi istotami zbiorowemi, a to, coby można mianować naszą własnością, jakiż-to drobiazg! Tak więc robotnikiem historyi i czynnikiem cywilizacyi najważniejszym, bohaterem najsławniejszym jest m n ó s t w o nieznane, *la foule des inconnus*. Chociaż ich wartość indywidualna jest drobna, ale dodawana do siebie ciągle, zwiększa się według progresyi nieskończonéj i staje się wielkością niewymierną. Są to jak gdyby drobne oszczędności wytwarzające olbrzymie kapitały, z któremi porównane skarby wielkich bogaczów stanowią marną drobnostkę. Tak samo w historyi; niewidzialna praca mas góruje nad przewagą

bohaterów. Ogół ludzki ma więcéj dowcipu od Woltera, więcéj nauki od Arystotelesa, więcéj świętości od pojedynczych świętych, więcéj potęgi od wszystkich potentatów, a żaden geniusz nie dorównywa geniuszowi ludzkości. Ażeby jednakże to deprecyonowanie wielkich ludzi, albo lepiéj mówiąc, to ich postawienie na właściwém miejscu w historyi, nie zdawało się kaprysem zrzędzącego krytyka, autor przebiega i ocenia rozmaite rodzaje sławy i sławnych ludzi. Najprzód tedy sławni w zakresie sztuk użytecznych, ci, o których Byron powiada, że „ulżyli trud nasz doczesny". Słusznie należy im się i sława i wdzięczność nasza, ale tylko w pewnéj cząstce; żeby jednakże twierdzić, że oni sami więcéj uczynili, niż mnóstwo ich poprzedników i spółpracowników, że to oni, na własną rękę byli wynalazcami sztuk, rzemiosł, machin itp., żeby to twierdzić, nie trzebaby znać historyi tych wynalazków. Ściśle mówiąc wynalazków doraźnych, wyskakujących z głowy geniuszów nie ma; są tylko stopniowe ulepszania, udoskonalania, dokonywane przez setki głów i rąk, poczém nagle niewprawnemu oku zdaje się, jakoby patrzyło na istne stworzenie *ex nihilo.* Kto zliczy lub wskaże tych, co się przyłożyli do wytworzenia wielkich gałęzi pracy dającéj byt milionom, np. przyswojenie zwierząt, polowanie, rybołówstwo, rolnictwo, przygotowywanie pokarmów, tkactwo, budownictwo. Komu to wszystko przypisać? gdzie są ci sławni? Albo weźmy nowsze wynalazki. Czyż Gutenberg sam tylko zasługuje na chwałę za wynalazek druku? Dziś wiadomo, że wiele usiłowań poprzedziło jego rezultat, polegający na małém ulepszeniu tj. na odlewaniu czcionek z metalu, zamiast wycinania na drzewie. Wszakże te czcionki z ołowiu były zamiękkie; Schoeffer zaczął je lać z miedzi, a znów potém jakiś nieznany poprawiacz użył mieszaniny złożonéj z ołowiu i antymonu. Nie mniéj drukarstwo XV w. jeszcze było w kolebce, jak o tém świadczy nazwa pierwszych druków inkunabułów, *incunabula.* Od tego, do dzisiejszéj stereotypii, ileż potrzeba było jeszcze prób i ulepszeń! Toż, co się tyczy np. zegaru i pojedynczych jego części? Kto je wynalazł a potém złożył w całość? Ilu miał poprzedników i spółpracowników Watt, nim doszedł do machiny parowéj? Thurston, pisząc w dwóch tomach jéj historyą, kończy temi słowy: Wielkie wynalazki nie są nigdy dziełem jednego człowieka; wielki wynalazek jest wypadkową (*la résultante*) usiłowań podejmowanych przez mnóstwo pracowników. Oto mały dowód tego twierdzenia. W r. 1864 oświetlenie gazem liczyło zaledwie pół wieku istnienia, a już w tym czasie wydano 4000 patentów na dokonane w szczegółach ulepszenia. Jaka cząstka w tym ruchu przypadła na Lebona i Murdoch'a? Pewnie taka, jak na dziecko, które zakopie żołądź

w ziemi. Dzięki drzémiącéj w nasieniu sile ewolucyjnéj, wyrośnie z małego ziarna dąb olbrzymi. Wynalazcy tedy są niezliczeni, a tymczasem chwała zaledwie niektórych spotyka; do historyi zaś umiejętnéj potrzebaby szczegółów nietyle z życia kilku uprzywilejowanych wynalazców, ile raczéj wykazania rozwoju samego wynalazku, ażeby poznać, jak umysł ludzki, zawsze w zapasach z oporną naturą rzeczy, w końcu odnosi nad przeszkodami zwycięstwo.

Jak z wynalazcami tak i z pracownikami na innych polach dotychczasowa historya postępuje na wspak. Bo oto jéj sławni artyści tworzą arcydzieła i sami są wielkimi; tymczasem zdaniem autora, sprawcą arcydzieła jest zbiorowy ogół (*tout le monde*), chociaż bowiem autor jest bezpośrednio twórcą arcydzieła, jednak osobistość jego nie wystarcza do zrozumienia téj produkcyi piękna; rodziców i dalszych jéj przodków trzeba szukać w tradycyi i otoczeniu społecznem. Okazałoby się wówczas, że cząstka na jego udział przypadająca jest bardzo niewielka. Najdowodniéj można to sprawdzić na literaturze, chociaż nie wszyscy się do pożyczek przyznają. Eschyles nie taił, że wiele czerpał z Homera, Goethe zaś pisał: „Gdybym mógł wyliczyć wszystkie długi, którem zaciągnął u wielkich moich poprzedników i spółczesnych, drobna zaledwie reszta byłaby moją własnością“. Szekspir, uważany za najbardziéj twórczego z poetów, mało naprawdę stworzył. Największy jego wielbiciel, Malone, obliczył, że na 6,043 wierszy składających trylogię „Henryk VI“, 1771 wierszy wziął wprost z poprzednio istniejącego utworu, a 2373 mniéj więcéj zmodyfikował. Anglicy nazywają go *myriad minded*, otóż te niezliczone dusze mówiące przez niego, należą w znacznéj części do poprzedników, z których brał pochop lub natchnienie do swoich dramatów. Molière powtarza za Terencyuszem, że brał, gdzie co dobrego znalazł, a znajdował i u starożytnych, i u bajarzy średniowiecznych i u Hiszpanów i u Włochów. Z 240 bajek Lafontaine'a, podobno 15 czy też 16 są jego roboty. Panuje tedy w świecie literackim straszny komunizm. Hasłem na tém polu zdaje się być maksyma: naśladuj tak, by cię nie zdołano naśladować; nazywa się to oryginalnością. Tymczasem najwyższą poezyą jest taka, która wyraża uczucia ogólne, a ta jest dziełem do gruntu zbiorowém, nieosobistém, póki jeszcze nie istnieje pismo, póki nie ma kogo i czego naśladować.

Nie inaczéj się dzieje w umiejętnościach: i tu odkrycia, wynalazki są rezultatem długiego szeregu poszukiwań, badań, nagromadzeniem drobnych wygranych i malutkich zysków. Pracownicy umiejętności są niezliczeni, tymczasem historya wspomina tylko o najsławniejszych i przez to popełnia wielką niesprawiedliwość,

albowiem chwała kilku okupiona jest ofiarą wielu zapomnianych. Katalog memoryałów naukowych, prowadzony przez londyńskie Towarzystwo królewskie, wylicza w peryodzie 1800—1863 r. więcéj niż 200 tysięcy memoryałów zawierających oryginalne badania naukowe. Gdyby zaś można wyliczyć wszystkie zdobycze umiejętne od początku nauk, przekonanoby się, iż największy geniusz nie zrównoważyłby tych mrówczych prac niewidzialnego geniusza ludzkości. Tych, których nazywamy wielkimi w nauce, należałoby mianować heroldami, nie zaś odkrywcami prawd, albowiem najczęściéj zasługa ich polega na uporządkowaniu wiadomości nagromadzonych wiekami.

Następnie autor rozważa sławnych ludzi w zakresie moralności, polityki, religii i do tych samych dochodzi wniosków, mianowicie, że twórcami historyi nie są wielcy ludzie, jak dotychczas wielu mniema, lecz ten bezimienny geniusz rodu ludzkiego, który koleją czasu doprowadza rzeczy do dojrzałości, a wtedy zjawi się nie Piotr to Paweł i spadły owoc podejmie, bo jak Szekspir trafnie powiedział: *ripeness is all.* Leibnitz i Newton, każdy na swoję rękę znajduje rachunek nieskończony; Sheele i Priestley izolują równocześnie tlen; Le Verrier i Adam, nie wiedząc o sobie, obrachowują elementa planety Neptuna; Wallace i Darwin równocześnie wpadają na teoryą doboru naturalnego; w tym samym roku (1837) wydano 4 patenta na wynalazek telegrafu elektrycznego; Graham Bell i Elizeusz Gray, żądali w tym samym dniu (14 lutego 1876) patentu na wynalazek telefonu, a Edison tuż za nimi podążał. Otóż, w historyografii trzebaby dokonać zmian takich jak w porządku politycznym: świetne arystokracye chwały podciągnąć pod prawo pospolite, ażeby zbladły wobec rosnącego znaczenia mas. Historya odtąd powinna się stać nieosobistą i powszechną.

Jeżeli zatém głównemi czynnikami historyi są nie ludzie wielcy, lecz fakta, historycy więc powinni dążyć do jak najkompletniejszego poznania faktów, nie jak dotychczas tylko głośnych, lecz wszystkich. Fakta głośne uderzają wyobraźnią, stąd zamiłowanie do nich; ale téż są one przypadkowe i przechodnie; przeciwnie, fakta zwyczajne, pospolite, odbywają się prawidłowo, nie budzą ciekawości i stąd są lekceważone. Dwie te grupy faktów autor nazywa zdarzeniami i funkcyami. Zdarzenia, to np. w świecie fizycznym: zaćmienia słońca, ukazywanie się komet, zimy ostre lub łagodne, posuchy, głody, mory i t. p.; a w świecie politycznym: zmiana rządu, wojny, traktaty, zdobycze terytoryalne, rewolucye, i t. p. Funkcye, to fakta zwyczajne odbywające się regularnie, od których zależy byt ludzi wszędzie i zawsze. Historya tedy wów-

czas zasłuży na nazwę umiejętnéj, gdy potrafi obu grupom faktów słuszną wyznaczyć wagę. Nie wielu na têm zależy, co było przyczyną wygnania Owidyusza, ale wszystkich interesuje historya pokarmów, odzieży, mieszkania, sztuk; mniejszą liczbę, ale zawsze wielu, obchodzi historya idei, dzieje moralności; przez te fakta przejawia się rozum a historya powinna być obrazem rozwoju rozumu. Historycy uwodzą się rozgłosem, detalicznie opisują wojny, wyliczają tysiące poległych, cieszą się zdobytemi prowincyami, a czyż nie więcéj warte zdobycze medycyny lub hygieny, takie np. szczepienie ospy, oszczędzające życie tysiącom? A ile mu miejsca poświęca historya? Zastosowanie pary będzie więcéj obchodziło potomność, niż wszystkie bitwy Napoleona. Wynalezienie zapałek, których produkcya obecnie w Europie ceni się na 300 milionów franków, zasługuje na szersze opracowanie, niż wojny Rzymian prowadzone z Mitrydatem. Zaproponujcie któremu ze sławnych historyków napisanie historyi XIX wiekn; wnet zadmie w trąbę epiczną i zacznie nam wyliczać wszystkie zmiany panujących, upadek gabinetów, wojny i rewolucye. Czyliż potomność nie wolałaby poznać zastosowania nowych motorów, rozwoju przemysłu i handlu, dróg żelaznych, wielkiego postępu umiejętności? Wszystko to stanowić będzie trwałą przyczynę modyfikującą wygląd świata, powodującą dalsze zmiany, a tymczasem owe drobiazgi utoną w niepamięci.

Ażeby dojść do takiéj historyografii, jakiéj sobie autor życzy, potrzeba zmienić metodę samych badań historycznych. Dotychczasowa metoda była opowiadającą; historya opowiadała i opowiada mnóstwo faktów, co do których pewności można podnosić na każdym niemal kroku wątpliwość. Metoda zatém, mniéj podległa zarzutom, może być statystyczną: musi ona sprawdzać fakta i podawać je ściśle. Księga poświęcona metodzie zawiéra krytykę metody narracyjnéj, polegającéj na świadectwach przeszłości, a świadectwa te są niezmiernie podejrzane. Nagromadzono tu mnóstwo przykładów, nieraz bardzo ciekawych i komicznych, jak to najpoważniejsi historycy brali tytuł króla za jego nazwisko, jak np. fabrykowano sprawozdanie o bitwie pod Solferino, które następnie posłużyło za źródło urzędowe do historycznéj narracyi. Komuż wreszcie nie wiadomo, jak zdarzenie pewne, widziane przez rozmaitych świadków, rozmaicie i niezgodnie bywa opowiadane, a cóż dopiéro gdy opowiadania takie przejdą przez ust tysiące! Pewności tedy i ścisłości w historyi prawie być nie może, póki ją traktują metodą narracyjną. Do błędów ułomnéj informacyi przybywają błędy wynikające z gustu estetycznego; historyk musi pię-

knie opowiadać, stąd historya dotychczasowa raczéj do sztuki, niż do umiejętności winna być zaliczana. Umiejętności chodzi o prawdę, historyi o piękno; drogi ich inne i cele inne; gwoli piękna, historyk dobiéra przedmiotów odpowiednich, grupuje one, wysuwa naprzód te, które mu się wydają wzniosłe, uderzające, ażeby utworzyć dzieło piękne. Otóż, te względy estetyczne fałszują rzeczywistość. Historycy dogadzają gustowi czytelnika, którego bardziéj pociągają zdarzenia tragiczne, niż pospolite, dla tego historye ich więcéj się zajmują epokami burzliwemi, niż spokojnemi, i jak romanse, tracą interes, jak tylko życie płynie spokojnie i prawidłowo. Nawet z romansów potomność może więcéj dowie się o naszych czasach, niż z całéj wielkiéj kolekcyi historyków.

Daléj, na historyków działają interes i namiętności; schlebiają oni ludziom i narodom. Quintus Vitelliusz, dziad cesarza tegoż imienia, był synem łatacza i piekarzówny. Gdy został kwestorem za Augusta, jakiś protoplasta Niesieckiego, nazwiskiem Eulogiusz sfabrykował mu genealogią, w któréj między wstępnymi pomieścił króla Fauna, dawniejszego jeszcze od Romulusa. Retorowie greccy, poszukując chleba w Rzymie, fabrykowali historye rzymskie, sprzedając je więcéj dającemu zwycięzcy. Czasami znów wdzięczność kieruje piórem historyka, jak np. gdy Wellejusz Paterculus chwalił Tyberiusza i Sejana za doznane łaski. Za naszych czasów gdy ten i ów okadzał Napoleona III, Wiktor Hugo pełen nienawiści, wydał swój paszkwil *Napoleon le Petit*. Wolter zapewniał, że gdyby miał jakie obowiązki względem dyabła, chwaliłby jego rogi. Strach przed panem i chlebodawcą jest, u historyków zwłaszcza, początkiem mądrości. „Bardzo miłuję prawdę — pisał Wolter o sobie—ale mam wstręt do męczeństwa“. Historya całkiem bezstronna nie podobałaby się nikomu, zadrasnęłaby wszystkie namiętności, nie pochlebiwszy żadnéj.

Do tego wszystkiego dodajmy przesądy opinii politycznych, patryotycznych, religijnych, moralnych, a przekonamy się, że pewność, niezawodność, stanowiące wieczny postulat umiejętności, nigdy nie będą udziałem historyi narracyjnéj. Zmuszona poprzestawać na cieniu prawdy, historya leży o całą przepaść od umiejętności, która dąży do ujęcia zupełnéj prawdy i pewności. Po téj krytyce metody historycznéj i saméj historyi autor konkluduje: Cóż tedy wiemy ostatecznie z historyi? Bardzo mało, prawie nic. Oprócz niewielu wypadków zgodnie podawanych, które bez wielkiego ryzyka można przyjąć za pewne, reszta jest niepewna. W historyi, tak jak w filozofii, wątpienie jest początkiem mądrości.

Co na to poradzić? Jużeśmy wspominali, że autor widzi radę w statystyce. Bardzo pięknie. Ale zkąd wziąć dane statystyczne do całéj historyi, zwłaszcza, że statystyka właściwie dopiero w naszym wieku i to zaledwie w niektórych krajach stała się przedmiotem teoretycznych rozmyślań i opieki rządów? Niewątpliwie, tą metodą możnaby zyskać prawdę, gdyby samo narzędzie, tj. statystyka, było mniéj zawodne. Kto porównywał tablice statystyczne, wié, do jak odmiennych rezultatów i wniosków prowadzą one rachmistrzów. Zawodność metody statystycznéj wszakże tkwi nie w niéj saméj, bo gdzie matematykę do badań można zastosować, rezultaty są ścisłe—lecz w samych rachmistrzach i w naturze człowieka wogóle. Przypuśćmy na chwilę, że cała kula ziemska pokryta jest biurami statystycznémi, że rachunek odbywa się według jednakowych zasad wszędzie, że liczby dotyczące wszelkich objawów życia są ścisłe—pytanie, czy w ocenieniu wyrażonych przez nie faktów i zjawisk będzie można osiągnąć taką zgodność, do jakiéj dochodzą matematycy operujący oderwanemi wielkościami? Nie zdaje się. W ludziach żywych grają tak liczne pobudki, na ich czyny składają się tak różnorodne motywy, że ocena cyfr i wyciągnięte z nich wnioski muszą być zabarwione subiektywnym poglądem rachmistrza. Chodzi, dajmy na to, o ocenienie rewolucyi francuskiéj z końca zeszłego wieku. Mamy cyfry jak najpewniejsze zabitych i ranionych, cyfry dotyczące wydatków na uzbrojenie i wyżywienie, strat poniesionych przez rolnictwo, handel i przemysł, nareszcie, co już jest niemożliwe, wyrażone w cyfrach boleści i cierpienia moralne milionów nie walczących ale zainteresowanych; a z drugiéj strony wszystkie zdobycze natury umysłowéj i moralnéj, osiągnione przez to wielkie wstrząśnienie w zakresie prawa, obyczaju, politycznych urządzeń, itp. Pytanie, czy historycy-statystycy zgodzą się na jeden wniosek w ocenieniu tak doniosłego zdarzenia? Nie sądzimy. Dla miłośników wojny, jako metody hartowania charakterów, wojna zawsze będzie szkołą Opatrzności; dla miłośników pokoju klęski wojny nigdy nie zrównoważą wątpliwych stron jéj dodatnich. I tak samo w tysiącu innych wypadków. O historyi zupełnie obiektywnéj, prawie myśléć niepodobna: ludzie zawsze będą patrzyli na innych ludzi i na ich czyny przez różowe lub okopcone okulary swoich uczuć, interesów, namiętności i głupoty. Swoją drogą przyznajemy, że statystyka zastosowana do historyi odjęłaby jéj wprawdzie urok romansu, ale zbliżyłaby ją do umiejętności: więc téż bardzo rozumnie napisaną krytykę historyografii możnaby zalecić do odczytania wszystkim, a głównie historykom.

Sygma.



OSTATNIE CHWILE DYABŁA STADNICKIEGO.

Powieść historyczna p. Adama Krechowieckiego p. t. „Starosta zygwulski“, stała się niedawno powodem polemiki, przeprowadzonéj w łamach „Biblioteki warszawskiéj“ (1887 t. III, 284 i IV 147) między powieściopisarzem a jego krytykiem p. Wł. K. Zielińskim na temat historycznéj postaci Stadnickiego. W polemice téj krytyk, opierający swą erudycyą na Święckim i Niesieckim, ponieść musiał oczywiście porażkę, skoro przeciwnikowi jego znane były dwie najlepsze stosunkowo prace w tym przedmiocie tj. krytycznie, choć stronniczo, napisany ustęp Kazim. hr. Stadnickiego w „Rodowodach Stadnickich“ (ob. tekst do tab. 3 pod K) i na rękopiśmiennych materyałach oparta, rozprawa p. Aug. Sokołowskiego („Ateneum“, 1883, IV, 74—103). Z tém wszystkiém, przeczytawszy powyżéj wymienioną polemikę, przychodzi się do przekonania, że kwestya śmierci Stadnickiego z powodu stanu źródeł pozostaje i nadal w zawieszeniu. Nietylko sposób i okoliczności towarzyszące śmierci, ale nawet data i miejsce otoczone są mgłą niepewności. Jedni od strzały, drudzy od kuli, inni wreszcie od szabli ginąć mu każą; ci Tarnawkę czy Tarnawę jakąś—bo wielka jest w Galicyi, na domiar zamieszania, liczba wsi téj nazwy — owi nieistniejący jakiś Tarnawiec albo odległy Tarnów, jako miejsce śmierci wymieniają; datę zaś, z wyjątkiem Siarczyńskiego (Obraz wieku Zygmunta III. Lwów 1828, II, 272), który bez przytoczenia źródła, 14 sierpnia 1610 podaje, wszyscy zresztą inni zupełném pokrywają milczeniem.

W takim stanie rzeczy, pożądane będzie może wybrnąć raz z téj gmatwaniny, poradziwszy się akt grodów przemyskiego i sanockiego, na których terytoryum dramat się odegrał. W istocie księgi „*relationum castrensium*“ przemyskie i sanockie z lat 1610—1611 zawiérają wyjaśnienie zagadki w kilku aktach, z których naj-

ważniejsze poniżéj w całości umieszczamy (1). Według tych aktów rzecz miała się jak następuje:

Wojsko skonfederowanéj przeciw Stadnickiemu szlachty przemyskiéj, w liczbie 1300 ludzi, pod wodzą Łukasza Opalińskiego, koło Jarosławia w obwarowanym obozie stojące, dowiedziawszy się od szpiegów, iż „dyabeł" łańcucki w Wojutyczach, niedaleko Sambora, przebywa, postanowiło wykonać zajazd. Zbliżywszy się tedy manowcami i cichaczem pod wieś, uderzono na nią niespodziewanie dnia 15 lipca 1610 r. Sam Stadnicki tylko dla tego uniknął śmierci, że przypadkowo był nieobecny, ale żona jego Anna z Ziemaczyc wraz z najmłodszą córeczką Felicyaną i „licznym dobranych dziewic fraucymerem" dostała się do niewoli. Wszystko, co tylko miało jaką wartość w pieniądzach, kosztownościach i sukniach, zrabowano, dwór i budynki gospodarskie puszczono z dymem, „wielu ze służby na kształt wieprzów zarznięto", tak że „krew ludzka dwór i wieś całą zbroczyła". Po spustoszeniu Wojutycz Opalińscy wrócili do swego dworu, a Stadnicki gdzieś się przyczaił. Przez 3 tygodnie był spokój, potém „dyabeł" znowu na wiérzch wypłynął. Dnia 6 sierpnia wyruszył pod noc na czele 100 ludzi—Węgrów, Wołochów i innéj zbieraniny—z zamku brata swego Marcina Stadnickiego w Rybotyczach i udał się w kierunku miasteczka Kańczugi. Następnego dnia przebywał oddział w lasach koło Iskania nad Sanem, a w niedzielę, 8 tegoż miesiąca, otrzymał prowiant w Hadlach, majętności pana Marcina. Tuż obok leżała Tarnawka, wioska księżny Anny z Kostków Sztemberków Ostrogskiéj, wdowy po wojewodzie wołyńskim Aleksandrze Ostrogskim, najważniejszéj aliantki Opalińskiego. W nocy więc urządzono wyprawę na tę wieś, w któréj młynarz tamtejszy z synem i dwaj chłopi z pobliskiego Huszowa, dali szyję pod miecz za to tylko, że byli poddanymi Ostrogskiéj. Potém wrócono do Hadel... (2)

W tém miejscu przerywa się znowu opowiadanie, bo żaden akt nie wyświeca nam wypadków następujących dni kilkunastu. Tyle tylko wiemy, że Stadnicki „ludzi skupiał i ich oczekiwał", ukrywając się tymczasem po dobrach swojéj, licznie w przemyskiém i sanockiém rozrodzonéj, familii. Oczekiwał szczególnie

(1) Możność wyjaśnienia téj sprawy zawdzięczam J. M. prof. drowi Liskemu, który mi z bogatych skarbów archiwum „bernardyńskiego" korzystać łaskawie zezwolił. Uważam sobie tedy za miły obowiązek złożyć mu za to na tém miejscu najserdeczniejsze podziękowanie.

(2) *Castr. Praem.* t. 326, p. 1266. Tę samę Tarnawkę zniszczyła później (20/XI) pani Stadnicka na czele 300 ludzi, w przechodzie z Hadel do Łańcuta. *Ibid. p.* 1756.

posiłków z Węgier, od Gabryela Batorego. Rzeczywiście, oddział węgierski, w liczbie 9 chorągwi jazdy i trochę piechoty, przeszedł 26 sierpnia Beskid koło Turki, ale spustoszywszy tylko wsi kilka koło Sambora i Drohobyczy, tudzież Skolszczyznę, majętność ks. Janusza Ostrogskiego, brata Aleksandra, już 2 września wrócił napowrót do Węgier (1). Było już bowiem po wszystkiém. I Opaliński nie próżnował w połowie sierpnia, ale przeniósłszy swój obóz do Starego-Miasta, usilne czynił zabiegi celem wyśledzenia miejsca w którém się jego przeciwnik ukrywa. Dnia 20 sierpnia „w piątek przed św. Bartłomiejem", dali nareszcie szpiegowie znać, iż znaleźli pana łańcuckiego na dworze jego krewniaka Krzysztofa Stadnickiego w Tarnawie, między Dobromilem a Chyrowem. Natychmiast wysłano tam 100 ludzi lekkiéj jazdy, zapewne kozaków, a ci zaszedłszy niespodziewanie, ze wszech stron otoczyli Stadnickiego. W tém położeniu bez wyjścia padł starosta zygwulski, kulą z muszkietu raniony poniżéj ramienia a powyżéj piersi z lewéj strony. Przybiegli nieprzyjaciele i „już słabnącemu więcéj niż dziesięcioma uderzeniami w kark rohatyną, głowę odcięli", aby ją na znak zwycięstwa złożyć u stóp Opalińskiego. W dwa dni po wypadku (22/VIII) był woźny sanocki wraz z dwoma szlachcicami świadkiem, jak ciało Stadnickiego w Samborze, dokąd się już główna kwatera Opalińskiego była posunęła, celem dalszego transportu wkładano do beczki, przyczém wszyscy trzéj Sanoczanie te same rany zauważyli, jakie powyższy opis podaje. A gdy po 8 tygodniach zabierano się wreszcie do pogrzebu, wtedy miał sąd sanocki sposobność sprawdzić te rany w swym własnym grodzie, gdzie mu 21 października ciało przedstawiono, celem odbycia obrzędu zwanego *„capitis proclamatio"*, tj. urzędowego obwołania zabójców (2).

Tak przedstawiają sprawę akta grodu sanockiego. Ale ma tu i gród przemyski coś do powiedzenia, bo do Przemyśla zawieziono ciało wprost z Sambora i złożono je w zwykłéj Stadnickiego gospodzie, aby dać rodzinie możność zajęcia się pogrzebem. Otóż 26 sierpnia zjawia się w grodzie przemyskim sam Łukasz Opaliński i oświadcza w „recognicyi" swojéj, że całą odpowiedzialność za

---

(1) W rękopisie biblioteki Jagielońskiéj 3729. II. 11. znajdują się 2 listy oryg. ówczesnego rezydenta skolskiego Jakubowskiego, opisujące z wielkiém ożywieniem ten wypadek.

(2) Dwa dni przedtém (19/X) odbyła się *„capitis proclamatio"* w Przemyślu, bezpośrednio przed wywiezieniem ciała z tego miasta (*Castr. Praem.* t. 326 p. 1451). Jeżeli potém znowu wrócono z Sanoka do Przemyśla, jakby to wypadało z dawniejszych biografów Stadnickiego, którzy mu w Przemyślu miejsce wiecznego spoczynku naznaczają, to doprawdy, że starosta zygwulski i po śmierci nie rychło doczekał się spokoju.

zabicie starosty zygwulskiego na siebie wyłącznie przyjmuje. Nic w tém dziwnego: chciał oszczędzić kobiecie, aliantce swojéj, kłopotów sądowych, tylko to zastanawia, że jako miejsce, gdzie przeciwnika „zdrowie Pan Bóg w ręce mu dał“, przytacza nie Tarnawę ale Tarnawkę, czyli z ruska *Ternawkę.* Więcej jeszcze; woźny sądowy przemyski, który na tym samym dniu dokonał wizyi trupa Stadnickiego, podaje wprawdzie jako miejsce wypadku także Tarnawę („*Ternawa*“), ale jako datę nie piątek po św. Bartłomieju (20/VIII), ale piątek po św. Wawrzyńcu (13/VIII) wymienia, a ranę tylko jednę od kuli w szyi spostrzega.

Na podstawie więc samych tylko aktów przemyskich możnaby we wszystkich trzech zasadniczych punktach do całkiem odmiennych dojść wyników. Jak tu pogodzić te sprzeczności—mając zwłaszcza na uwadze, że oba grody przedstawiają dwa przeciwne sobie obozy, bo w Sanoku był kasztelanem Marcin Stadnicki, brat i towarzysz Stanisława, a w Przemyślu rezydował, jako starosta, sprzymierzeniec Opalińskiego Adam Stadnicki? Najłatwiéj dochodzi się z miejscem do ładu. Nie ma najmniejszego powodu przypuszczać, że Stadnicki zginął 20-go, albo choćby tylko 13-go sierpnia w téj saméj Tarnawce, w któréj 8-go dokazywał. Innych Tarnawek jest kilka, ale jedna na milę tylko odległości od owéj Tarnawy pod Chyrowem. W téj zatém okolicy i w tym wypadku Tarnawa i Tarnawka na jedno prawie wychodzą, tém bardziéj, że Stadnicki nie zginął na miejscu, w którém go wyśledzono, ale miał jeszcze czas kawał drogi uciekać. Widać to z „rekognicyi“ Opalińskiego, i widać jeszcze lepiéj ze współczesnego (z 25/IX 1610) listu Cieleckiego do Rudnickiego, biskupa warmińskiego (Niesiecki, VIII, 480), który także i z tego względu akta sanockie doskonale popiera, że Stadnickiemu w ostatnich chwilach życia u brata stryjecznego przebywać każe. Daty obie jeden mają, ale bardzo ważny naówczas szczegół wspólny, tj. dzień tygodniowy: piątek. Albo więc jedna strona albo druga w bliższém oznaczeniu tego piątku się pomyliła. W sanockich aktach data, raz jest w protestacyi Stadnickich wprost wyrażona, a powtóre pośrednio poparta przez zeznanie woźnego, który trupa w Samborze 22 sierpnia „*in recenti*“ oglądał. Sama wreszcie data czynności sądowych przemyskich: 26 sierpnia, dalszym jest za piątkiem po św. Bartłomieju argumentem, bo dobrze się łączy z 20 i 22, ale zbyt jest oddalona od 13 sierpnia. Przecież Opaliński nie mógł przez całe 2 tygodni z ciałem wozić się po kraju. Wszystko to prowadzi do wniosku, który już sam przez się bardziéj jest prawdopodobny: że się raczéj woźny przemyski w gospodzie źle

poinformował. niżeli brat nieboszczyka, albo bliższy wypadku sługa sądowy sanocki. A jeśli się tak rzeczy mają, że sanockie daty dzienne są prawdziwe, to nowém to jest zarazem stwierdzeniem wskazanego przez nas powyżéj miejsca śmierci, bo z Tarnawy pod Chyrowem jedzie się do Przemyśla n a S a m b o r, ale nie z Tarnawki pod Kończugą ani téż z jakiéjkolwiek innéj. Najtrudniéj roztrzygnąć kwestyą ran Stadnickiego, choć i tutaj panuje co do głównéj, w przybliżeniu, zgoda. Zresztą, ponieważ rana między szyją a piersią nie jest o d r a z u śmiertelną, przeto przypuścić należy, że żołnierze Opalińskiego nie dali umrzéć Stadnickiemu w spokoju, ale mu razów dla przyśpieszenia zgonu nie oszczędzili. Dlatego we wszystkich trzech szczegółach przyznaliśmy sanockim aktom pierwszeństwo, na nich opierając treść naszego opowiadania.

Niezgodność aktów w sprawie śmierci Stadnickiego, jakkolwiek wiele trudności przysparza, ma jednak także i swoję dobrą stronę. Oto wyjaśnia nam dotychczasową niezgodność wiadomości. Cóż dziwnego, że sprawa dzisiaj była niejasna, skoro ją już w kilka tygodni po wypadku zagmatwano? A tak gdy jedni z téj tylko, drudzy z tamtéj tylko strony pośrednio czy bezpośrednio wiadomości swe czerpali, prawda, jak się to zwykle dzieje, dała się wyśledzić dopiero po wysłuchaniu stron obu.

1.

Proclamatio capitis olim generosi Stanislai Stadniczki capitanci ziguultensis.

Actum f. 5 post fc. Sti. Lucae Ev. prox. (21/X) a. d. 1610.

Coram generoso Sigismundo Chamlecz vicecapitaneo sanocensi. Ad officium et acta praesentia castrensia capitanealia sanocensia veniens personaliter magnificus Martinus Stadniczki a Żmigrod in Rymanow, castellanus sanocensis, tutor legitimus filiorum et successorum legitimorum olim generosi Stanislai Stadniczki, capitanei ziguultensis, habens penes se generosum Wladislaum Stadniczki filium praefati capitanei zigwultensis natu maiorem aetatem iam ultra annos quatuordecem agentem, petiit et requisivit ab officio praesenti, quatenus officium cadaver exaugue ab infrascriptis homicidis interemptum, tunnae iam ab aliquot hebdomadis impositum et iam obvolutum, circumspiceret et vulnera lethalia sibi illata, ex quibus interiit, videret. Quod officium ad ipsius requisitionem tunna apertta et obuolutionibus circumdepositis vidit: inprimis amputatum caput a cadavere separatum, tum et vulnus ex pixide inferius bracchium sinistrum in pectus traiectum prope mamillam sinistram; quae vulnera etiam ministerialis Regni generalis providus Jacobus Turtiga de Dylągowa et nobiles Melchior Kiczyński et Nicolaus Kurowski in recenti, dum et quando in tunnam ex instantia et administratione generosi Lucae Opaleński per eius famulas et substitutos in civitate Nowy Sambor, ubi protunc idem generosus Lucas Opaleński cum copiis suis stativam agebat, imponeretur, die dominico ante festum St. Bartholomei Apostoli proxime praeterritum (22/VIII), vidit quod et ab eodem officio examinatus personaliter retulit. Circa quam rellationem suam, hoc idem corpus esse per illustrem et magnificam Annam a Stemberk, olim illustris

et magnifici Alexandri ducis in Ostrog pallatini Wolchiniae consortem relictam viduam, principalem, et eius complices: magnificum Adamum Stadniczki a Żmigrod castellanum calisiensem, pramisliensem capitaneum, Joannem Swientosławski, refferendarium Regni, Joannem Grabiński et Lucam Opaleński, capitaneum leżaiscensem occisum, ter et ultra iuris formam quater publice in foro civitatis Sanok et in castro sanocensi publicavit et proclamavit.

Castr. Sanoc. t. 142. p. 1736—7.

2.

Stadniczy protestantur contra pallatinam Wolchiniae et alios complices.

Actum f. 6 in vigilia fe. Circumcisionis Chri. (31/XII) a. 1610.

Ad officium actaque praesentia castrensia capitanealia sanocensia personaliter veniens nobilis Petrus Gonkowski, magnifici Martini Stadniczki castellani sanocensis patrui et tutoris naturalis liberorum olim generosi Stanislai Stadniczki a Żmigrod et in Lanczuth heredis, capitanei zigwultensis, mandatarius superplendo priorem protestationem per eundem castellanum sanocensem ad acta praesentia in vigilia festi proxime praeteriti Sti. Thomae apostoli (20/XII) personaliter factam (1) et eam in formam debitam redigendo, ex mandato eiusdem castellani sanocensis iterum talem in copia protestationem porrexit et nomine praefati mandantis sui protestatus est in et contra magnificam Annam de Stemberk, olim illustris ac magnifici Alexandri Ducis in Osztrog pallatini Wolchiniae consortem relictam viduam, uti principalem, et generosos Joannem Swientoszlawski, refferendarium Regni, Joannem Grabinszki, Lucam Opalenszki, capitaneum leżaiscensem et Annam de Pilcza Opalenszka, consortem ipsius, tanquam complices et facinorum infrascriptorum cooperatores, facta de eo prius sufficienti inquisitione, pro eo, quia illi habita inter se prius mutua conspiratione machinationeque et foederibus eo nomine pactis, secumque contra fas et leges Regni priuatim et clanculum ad interrimendum et de hac vita tollendum generosum olim Stanislaum Stadniczki capitaneum zigwultensem initis, tali modo et ratione in ea intentione et conspiratione sua processerunt et praefatam confederationem, coniurationemque suam in vitam eius mutuo factam prosequuti sunt. In primis posteaquam de eius e Lublino (ubi prosequendarum iure iniuriarum suarum causa, non paruo temporis spatio sub iudiciis Tribunalis Regni commoratus erat) reditu, resciuissent atque rure suo, Woytycze dicto, cum uxore, liberis ac tota familia, ubi tunc pacificus et ab hostibus suis, qui ei insidiabantur, remotior degebat, eum manere ab exploratoribus, quos frequentes idem tidem eo mittere solebant, intelexissent, facta e Jaroslaula, ubi tum ad eam rem collectus erat frequens exercitus, expeditione, ac prout in pactis conuenerat exercitui (qui mille trecentos equites, peditesque referebat numerum) generoso Luca Opalenszki capitaneo leżaiscensi praefecto et campiductoris munus gerente, nocte intempesta et locis inviis cellanti aduentus sui causa, itum est: et villam Woyticze usque, turmis in parem ordinem actis, sub claua et signis bellicis progressum, ibique nihil crudelissimum quodque non tentatum. Ipse quidem olim Stadnicius forte fortuna absens tum fuit, sed uxor, liberi, familia per insperatum aduentum et cruentam inuasionem oppressi, multi ex familia instar porconem mactati, trucidatique et cruor humanus per totam curiam, villamque perfusus, uxor generosa Anna de Ziemaczyce Stadniczka, cum tenerima filiola Faeliciana Stadniczka ac frequenti lectissimarum virginum gyneceo in captiuitatem abductae, res multae preciosae (pecuniae scilicet plusquam viginti millia aureorum, gemmae preciosae, Margarethae,

---

(1) Pierwszej tej protestacyi nie drukujemy, ponieważ tylko w ogólnych obraca się wyrazach i niczego ciekawego nie zawiera.

vestes, vestimenta, ornatus omnis muliebris aeque ac virilis) per praefatos hostes acceptae, curia denique vastissima et splendore aedificiorum satis superque conspicua igne fabricato et opera data superposito absumpta et in cineres versa, caeteraque omnia solo aequata sunt. Haec dum ita peracta essent, hostis iterum parta praeda et tot facinoribus inauditis auctus ad castra, quae in campo trans civitatem Leżaiszk prope fluvium Sąn metatus erat et vallo fossaque intercluserat, cum praefatis captiuis generosa scilicet Anna a Ziemaczycze Stadniczka et filiola eius Faeliciana caeterisque pedisequis rediit, easque ibidem sub arctissima custodia in captivitate et servitute summa detinuit. Nec mora: hostis iis quae in Woyticze perpetraverat non contentus, ad foedera et pacta seu coniurationem de tollendo e vivis olim praefato Stadnicio secum initis animum convertit, expeditionem denuo parat; coniunctisque copiis et unitis, tam praefata principalis, quam et complices memorati, viribus, eodem ipso Luca Opalenszki (quo commodius bellum pactis institutum illis quas cum Stadnicio habebat apertis inimititiis praetexissent) exercitui praefecto, eundem olim praefatum Stanislaum Stadniczki, prioribus bellis et hostium invasionibus iam satis afflictum et locis ignotis invilsque efugiendae hostium violentiae causa latitantem, non denunciata sibi hostilitate nullamque ob causam prosequuntur, exploratores varios arte calidissima instructos et varia specie dolisque fascinatos praemittunt, exercitum longe priori numero superiorem et magis armis instructum sub oppido Stary Sambor locant castraque ibidem metantur, eumque ubi ab exploratoribus certo loco latitare intelligunt, centum leuioris armaturae milites armatos tum e castris expediunt, qui dum ex improuiso insperateque eum adorti sunt, ita circumegerunt, ut ne fuga quidem eilabi et vitae suae prospicere posset, circumactumque crudeliter interremerunt, ictu pixidis pectore tenus letaliter vulnerauerunt, vulneratumque et iam languentem ictibus plusquam decem frameae in ceruicem datis caput ipsius amputanerunt, vestibus vestimentisque, pecunia, annulis, quos circa se habebat spoliauerunt et cadaver sic interremptum una cum capite abscisso, victoriam gestientes, praefato Opalenscio, protunc nomine principalis et complicum exercitus praefecto, tradiderunt, atque hisce factis crimina inuasionis, incendii, coniurationis, spolii et praedae ad extremumque necis comiserunt. In quorum omnium verificationem idem protestans nomine praefati mandantis sui statuit ministerialem Regni generalem nobilem Bartolomeum Laszkowszki cum nobilibus Joanne Szebienszki et altero Joanne Szebienszki, qui praemissis: nempe combustioni curiae Woyticze et interremptioni olim generosi Stanislai Stadniczki atque captiuationi generosae Annae Stadniczka cum filiola ipsius caeterisque pedisequis se interfuisse eaque sibi prolata esse officio praesenti retulerunt, offerendo eundem principalem suum et quibus idem competierit easdem iniurias omnes et crimina se iure prosequi velle.

Castr. Sanoc. t. 142. p. 1829—32.

3.

Castellanus sanocensis meliorat protestationem.

Actum f. 2 post fe. Visitationis B. V. Mariae prox. (4/VII) a. d. 1611.

Ad officium et acta praesentia castrensia capitanealia sanocensia personaliter veniens magnificus Martinus Stadniczky de Zmigrod castellanus sanocensis, considerato eo, quod in terminata prottestationis coram officio praesenti castrensi capitaneatus Sanocensis feria secunda in vigilia festi Sti. Thomae apostoli (20/XII) anno proxime praeterrito per se ipsum recognita, ac deinceps in capitali protestatione in ampliori forma per nobilem Petrum Gonkowski famulum suum feria sexta in vigilia festi Circumcisionis Christi (31/XII) anno eodem porrecta, temporis diei et loci in quo aliquid facinorum in protestatione specificatorum commissum est, nulla mentio facta est, ideo eosdem defectus protestationis supplendo proclamationemque capitis generosi olim Stanislai Stadniczky capitanei Ży-

guultensis fratris sui germani coram eodem officio feria quinta post festum Sti. Lucae Evangelistae proxima (21/X) anno supradicto per se personaliter factam, quam deinceps in formam redditam per praedictum famulum suum porrectam (1), meliorando, ratione contentorum protestationis (quam hic pro expressis habere vult) nempe domus generosorum Wladislai, Sigismundi et Stanislai Stadniczkych, olim generosi Stanislai Stadniczky capitanei Zyguultensis successorum, hereditariae villae Woitycze feria quinta ipso die Divisionis Apostolorum (15/VII) anni proxime praeteriti sub tempus cellebrationis iuditiorum Tribunalis, a quibus reddierat, invasionis, obsanguinolationis, depraedationis, incendii, villae depopulationis, tum praedicti generosi Stanislai Stadniczky fratris protestantis, parentis vero pupillorum per exploratores investigationis, persequtionis, eiusdemque immani et crudeli morte nullam ob causam et non denunciata hostilitate feria sexta ante festum Sti. Bartholomei (20/VIII) anno proxime praeterrito sub idem tempus iuditiorum Tribunalitiorum in villa Tarnawa generosi Christophori Stadniczkij hereditaria in terra sanocensi sita, sublatione et interemptione, denique ratione mutuae cum principalibus et complicibus aliisque personis tumultuariae in vitam praedicti olim Stadniczky coniurationis, conscriptionis et contra iura publica confederationis, sollenniter protestatus est offerendo se pro tam atrocibus iniuriis cum iisdem principali et complicibus, qui sunt inculpati et io protestationibus suprascriptis nominati, iure acturum.

Castr. Sanoc. t. 143. p. 193—4.

4.

Recognitio Opaliński.

Actum f. 5 post fe. Sti. Bartholomei ap. prox. (26/VIII) a. 1610.

Łukasz Opaliński ze Bnina starosta leżejski przyszedszy do urzędu niniejszego i do act grodzkich przemyskich dobrowolne zeznanie i manifestatią publiczną z strony zabicia niebosczika Stanisława Stadniczkiego z Łańczuta za excessy wielkie i nieposłuszeństwo jego wieczną banicią w sądzie trybunalskiem banniowanego uczynieł i zeznał taką, iż on pogardziwszy prawo pospolite i zwierzchność JKrMci odpowiedź temu to manifestującemu dał, majętność mu wszystkę spustoszeł, popaleł, kościoły desertował wiele ludzi dziwnem tyraństwem pobieł i niedawnego czasu trybunał znieważeł i z ludźmi cudzoziemskiemi zgwałcieł a nakoniecz temi czasy nietelko na tego to starostę i majętność jego i na dzierzawę starostwa jego uczyniwszy zmowę z cudzoziemcy, ale na wiele ludzi i na zgubę ojczyzny nastąpić umyśleł, co się czasu swego pokaże, czego ścierpieć nie mogąc a chcąc jego złe przedsięwzięcie praecipere i uprzedzidź, aby nie telko zdrowia swego, na które się beł nieprzyjaciel zasadzieł za odpowiedzią, ale i zguby ojczyzny ochronił, nastąpić mu nań przyszło i tam we wsi pewnéj Ternawce kiedy on ludzi skupiał i ich oczekiwał bitwę z niem zwiodszy zdrowie jego P. Bóg w ręce mu dał i w ucieczce zabit jest. Którego ciało jako banita i nieprzyjaciela ojczyzny i jemu odpowiedzianego tu w Przemyślu do gospody jego zwykły złożone i oddane jest. A przytem aby komu inszemu niewinnemu żadnéj trudności o to nie zadawano do tego się zna i na każdem placu znać będzie, że go on, tuendo et defendendo vitam suam et salutem Reipublicae, jako głównego nieprzyjaciela o zdrowie jego stojącego et varias insidias et conatus in vitam eius czyniącego, propriis viribus et auxiliis zniósł i skończył.

Castr. Praemisl. t. 326. p. 1242.

---

(1) Ma być zapewne: porrexit.

5.

Visio cadaveris Stadnicki.

Actum ut supra. (26/VIII 1610).

Ad officium et acta praesentia castrensia capitanealia Praemisliensia personaliter veniens ministerialis regni generalis providus Jaczko Bardlowsky de Rakowa officio praesenti notus cum nobilibus Petro Jakubowsky et Alexandro Makowsky sibi in maius testimonium adiunctis, publice ultroque recognovit, quia die hodierna in domo famati Stanislai Zgrzebny civis Praemisliensis, hic Praemisliae in circulo sita, corpus olim generosi Stanislai Stadniczki de Łanczuth, capitanei Ziguultensis, in villa Ternawa feria sexta post festum sancti Laurentii martyris proxime praeterita (13/VIII) interemptum et hic Praemisliam in praefatam domum Zgrzebnego advectum et depositum, tum etiam vulnus ex pixide globo per collum eiusdem olim capitanei Ziguultensis traiectum in recenti viderunt et debite conspexerunt, de quo hanc relacionem coram officio praesenti fecerunt.

Castr. Praem. ut supra.

Dr. Fryderyk Papée.





RENY.

OBRAZEK Z PÓŁNOCY.

Znając reny tylko z opisów i rysunków, rad byłem poznać te zwierzęta bliżéj. Czekałem z niecierpliwością chwili, kiedy koczownicy Samojedzi zbliżą się ze swemi czumami do miasta. Wreszcie owa chwila nastała. Zasłyszawszy o pojawieniu się renów, pośpieszyłem je obejrzéć.

Najprzód uderzyło mię w oczy to, że rysunki widziane przezemnie nie były podobne do renów żywych. Naprzykład niezgrabne zwierzę w dziele Brehma „Życie zwierząt“ wcale nie daje pojęcia o zręczném, niezmiernie miłém stworzeniu.

Reny ujrzałem raz pierwszy zaprzężone w sanie, po trzy do każdych sań. Sanie niezmiernie lekkie, na wysokich „kopyłach“, stosunkowo długie, zastosowane do jazdy po głębokim śniegu; za siedzenie służy niewielka deska prawie czworokątna, pokryta skórą rena. Na desce siąść może jeden lub dwu ludzi, z trudnością trzech. Nogi wiszą po bokach sań.

Takie urządzenie sań zadziwi być może tych, co wiedzą, że na północy mrozy dochodzą 40° i wyżéj. My przywykliśmy nogi chować w sanie, okrywać je futrem, Samojed zwiesza je spokojnie z boku. Wié on doskonale, że dzięki swéj odzieży może urągać najcięższym mrozom i wiatrom.

Odziéwa się Samojed w skóry rena. Futro to tak ciepłe i zarazem lekkie, że pod tym względem żadne inne mu nie wyrówna. Natura zabezpieczyła rena od zimna wybornie, może on w swém futrze o niezmiernie gęstéj sierści, wytrzymać najcięższe mrozy, mieszkać w miejscach posuniętych daleko na północ, dając możność istnienia człowiekowi, Samojed bez rena nie mógłby być mieszkańcem tundry.

Ren Samojeda żywi, odziéwa, wozi, daje materyał do budowy czum. Za to wszystko nie potrzebuje od Samojeda nic. Konia trzeba żywić owsem i sianem, ren żywi się sam latem i zimą, przeważnie mchem, wygrzebując go z pod głębokiego śniegu.

— Na rena pracować nie trzeba — mówi Samojed. Rzeczywiście nie trzeba. Ren sam dba o siebie, Samojed eksploatuje tylko jego siły, skóry i w końcu mięso. Mięso stawiamy z-umysłu na końcu: dla mięsa Samojed rena nie zabije. Będzie on żywić się byle jak i byle czém, a rena zabije chyba wówczas, gdy ostateczny głód go zmusi. Potrzeba skór częściéj zmusza Samojeda do wydania wyroku śmierci na drogie dla niego zwierzę.

Skóry umieją wyprawiać Samojedzi sami. Trudnią się tém kobiety. One téż bardzo zręcznie szyją odzież ze skóry, do czego używają nici, robionych z żył renów.

Koszul Samojedzi nie znają. Na gołe ciało wdziéwa się „malica“, rodzaj szerokiéj i długiéj koszuli, zrobionéj z futra rena, włosem do środka. Malica nie rozcięta na piersi. Głowa wsuwa się w otwór zrobiony na szyję, przyczém elastyczne futro rozciąga się i po przejściu głowy przez otwór, kurczy się znowu, tak, że futrzany kołnierz szczelnie przystaje do szyi. Malica jest lekka i niezmiernie ciepła, żadne nasze futro nie grzeje tak, jak ona. Nie rozcięta z przodu, nie dopuszcza ona wiatru do nóg i ciała, wada na którą cierpią nasze futra z rozchodzącemi się połami.

Lecz malica — to tylko połowa ubrania Samojeda. Na malicę wdziéwa się „sowik“, takaż koszula, nie rozcięta z przodu, również z futra rena, tylko sierścią na wierzch. Rękawy sowika lub malicy kończą się rękawicami, w które sypią drobno strugane próchno brzozowe, grające u samojedów rolę pudru; próchno wciąga w siebie pot, przez co rękawice nie wilgotnieją i ręce nie marzną.

Nogi okrywa Samojedowi również ren. Futro z nóg rena używa się jako materyał na rodzaj kamaszy t. zw. „pimy“. Sposób ochrony nóg takiż jak i reszty ciała: jedne kamasze sierścią na wiérzch, drugie sierścią do ciała. Pimy zachodzą daleko za kolana. Na silnych mrozach nie przemakają one, u nas byłyby całkiem niepraktyczne. Malica i sowik również mają dla nas złe strony, pomimo, że są cieplejsze i lżejsze od naszych futer: mianowicie brak wentylacyi. Bywają chwile, kiedy w malicy tak gorąco, że doznaje się uczucia duszności, strasznie bolesnego i męczącego, a na piersiach w celu wentylacyi roztworzyć malicy nie można. Malica i sowik są tanie, około 20 rs. każda, lecz do podróży wygodniejsza choć droższa „dacha“, szerokie i długie futro z kołnierzem, z rozchodzącemi się połami, kryte z wierzchu skórkami młodych renów,

sierścią na wierzch, podbite jakim bądź innem futrem lub temiż renami. Skóry renów są u nas nieznane. Myślę, że mogłyby skutecznie konkurować z baranami, są one cieplejsze, lżejsze; nie droższe od baranów — nie śmierdzą. Co się tyczy trwałości, to Samojedom malica i sowik noszone bez przerwy służą na dwa lata. Noszone po naszemu starczyłyby tak długo, jak baranki, przewyższając je ciepłem i lekkością. Sierść z nich wyłazi łatwiéj, niż z innych futer, lecz nie tak znowu obficie, aby to stanowiło wadę, dla któréj nie możnaby futer renów używać. Na tanie futra, kurtki do gospodarstwa i polowania, na futerka dla dzieci, są one bardzo stosowne.

Odziany w malicę, sowik, pimy, czapkę z uszami z futra młodego rena, Samojed nie boi się żadnych mrozów. Siedzi spokojnie na deszczułce swoich sanek, nocuje w chłodnym czumie na śniegu, to jest prawie tak, jak pod gołem niebem. Ciepło mu w skórach renów i wygodnie, bo lekka odzież ruchów nie krępuje.

Kobiety noszą malice naszywane kolorowemi kawałkami sukna, z rozchodzącemi się połami. Sowik i pimy, jak u mężczyzn.

Lecz wróćmy do renów.

Reny, jak mówiłem, ujrzałem raz pierwszy zaprzężone w sanie. Sań było 5, po trzy reny u każdych. Każda trójka była dobrana wzrostem i maścią. Reny były białe i siwo-kasztanowate, prawie wszystkie bez rogów, dwa czy trzy tylko miały po jednym rogu.

Większość ich leżała na śniegu. Dla nich to wyborne posłanie.

Zapytałem Samojedów, gdzie podziały się rogi renów.

— Odpiłowaliśmy je (było to w końcu stycznia). Około Zwiastowania nowe wyrosną. Na wiosnę odpiłować nie można, bo krew cieknie wówczas i ren zginąć może, teraz to można.

Rogi mają zarówno samcy, jak i samice. Zrzucają je corok. Na lato wyrastają nowe. Z początku są one pokryte sierścią, póżniéj skórka z sierścią odpada, róg staje się martwym i może być odpiłowany.

— Czy można po rogach poznać wiek?

— Nie!

— Po czémże poznajecie? może po zębach?

— Nie, tak wiemy, ile któremu lat.

— Czém je żywicie? Siano, lub chléb jeść będą?

— Niektóre jedzą chléb, a siana nie dajemy. Reny lubią biały mech i tylko nim żyją.

Siadłem na sanki. Samojed zagadał do trójki leżącéj na śniegu, reny wstały i przygotowały się do jazdy. Obok mnie usiadł

Samojed z długą żerdzią sosnową w ręku, służącą do kierowania renów, i puściliśmy się w drogę,—od miasta do czumu Samojedów.

Drogę zrobili Samojedzi lasem, wybierając miejsca nie uczęszczane,—reny boją się koni,—konie renów,—wskutek czego dla spacerów lepsza droga ustronna.

Jechaliśmy szybko. Reny biegły wyciągniętym kłusem,—jeden galopem. Kłus renów jest tak szybki,—jak konia, pomimo że ren znacznie mniejszy.

Przypatrzyłem się swemu woźnicy. Włosy miał ciemno-kasztanowate i słaby rudy zarost na twarzy. Samojedzi, są wogóle bruneci, bez zarostu. Widoczna więc była domieszka innéj krwi.

— Ty Samojed?—zapytałem.

— Samojeda,—piszę się Samojeda,—odpowiedział. My Samojedy, naród—ot także Cygani... Tu urwał.

Dla czego Samojedowi przyszli na myśl Cygani? Porównał on własne nędzne włóczęgowskie życie z cygańskiém i znalazł podobieństwo. I tu i tam nędza, biéda, niewygody. Zdziwi się może nie jeden z czytelników, skąd Samojed zna Cyganów. Odpowiedź łatwa—są oni i na północy. Handlują końmi, wróżą, żebrzą, prowadzą zupełnie taki sam rodzaj życia, jak u nas. Latem w szatrach płóciennych,—zimą tulą się u włościan. Cygan mniéj jest wytrwały na mróz od Samojeda.

Reny przeniosły nas szybko do czumu. Powitała nas na wstępie para psów. Oba nie wielkiego wzrostu, o długiéj, nie kędzierzawéj sierści. Jeden biały z czarnemi łatkami,—drugi jasno-żółty. Psy niezmiernie łagodne,—żaden nie zaszczekał, żaden nie rzucił się na obcego.

Wszedłem do czumu. Czum jest to namiot stożkowaty utworzony z żerdzi, pokrytych skórami renów. U wierzchu,—otwór na dym. Wejście zasłonięte skórą rena. W środku czumu blacha na któréj rozkłada się ognisko. Pod blachą jama wykopana w śniegu—blacha opiera się na dwóch równoległych żerdziach. Nad ogniem dwa kociołki: w jednym gotuje się jedzenie,—w drugim topi się śniég na wodę. Po obu stronach ogniska, na śniegu rozciągnięte skóry. To posłanie dla dwu rodzin samojedzkich.

Poszukałem wskazówek, czém żywią się Samojedzi. W kociołku były resztki stokfisza.

— Stokfiszem żyjecie?

— Stokfiszem,—flakami.

— A mięso renów jécie?

— Rzadko. Dla skór chyba zabijamy.

Wyszliśmy z czumu. Z lasu zbliżał się do nas ren. Podszedł i zaczął chciwie jeść śniég w miejscu, gdzie można było podejrzé-

wać nieco soli. Reny sól niezmiernie lubią, choć tego przysmaku nigdy nie dostają. Samojed nie może robić zbytecznych wydatków. „Nie nasze kapitały“, mówi on.

Z powrotem, do miasta reny biegły nie tak ochoczo jak do czumu. Ciągle starały się one zawrócić napowrót, wskutek czego Samojed kilka razy musiał złazić z sani i reny na właściwą drogę naprowadzać.

Poznałem reny,—lecz wiele stron ciekawych zostało dla mnie nieznanych. Nie widziałem renów w stadzie; nie widziałem jak dostają mech z pod śniegu, nie widziałem jak zbierają je Samojedzi przy pomocy psów, jak łapią. Postanowiłem z tém wszystkiém bliżéj się zapoznać.

Umyśliłem pojechać do czumu raz drugi. Idąc zabrałem z sobą chléb dobrze osolony i siano. Chléb reny jadły bardzo chętnie,—siano z mniejszym apetytem. Jadąc do czumu powiedziałem, że chciałbym widziéć, jak reny się łapią.

— Możemy pokazać, jeśli stado blizko.

Stado zastaliśmy blizko czumu,—o parę set kroków. Widać było reny pomiędzy drzewami. Biały śniég, zielone młode sosny, reny między niemi,—był to śliczny obrazek, pożałowałem, że nie jestem malarzem.

Samojed zlazł z sań i poszedł w kierunku stada; wołając na psy: lo! lo! Psy ochoczo skoczyły na to znane wezwanie. Raby pies jako starszy zachowywał się poważniéj, lecz żółty, młody, rwał się naprzód. Widocznie spędzanie renów do czumu było dla niego ogromną uciechą. Gdy Samojed krzyknął na młodego zapaleńca, i ten spokojnie zaczął iść obok starego psa. Psy były wybornie tresowane.

Poszedłem z Samojedem. Zbliżywszy się do stada na sto kroków, Samojed puścił psy.

— Ho, ho! hej, hej!—zachęcał on i bez tego ochocze pieski. Psy puściły się szybko ku renom, szczekając ciągle, jak gończe, gdy zwierza gonią. Na głos psów stado porwało się i rozdzieliło na dwie części: jedna poszła na prawo,—druga na lewo.

Psy zaczęły „okładać“ tę część stada, która poszła na prawo. Zwróciły one reny w stronę czumu i przypędziły prawie tuż do nas. Wreszcie, widząc, że reny idą prosto do czumu, porzuciły je i wróciły do miejsca, skąd reny zostały ruszone: tam została druga połowa stada,—należało i tę przypędzić.

Po chwili usłyszeliśmy szczekanie. To psy „okładały“ drugą połowę stada. Wreszcie z pomiędzy drzew pokazała się reszta renów. Całe stado było przed czumem.

Samojedzi wzięli arkany do ręki. Reny, widząc na co się zanosi, zwróciły się napowrót do lasu, lecz psy, szczekając zawzięcie, odcięły im drogę. Chcąc niechąc, reny zwróciły się napowrót do czumu. Arkan świsnął w powietrzu i jeden z renów został złapany za szyję. Inny Samojed również zręcznie złapał drugiego rena. Wprawa w rzucaniu arkanu—wyborna.

Psy stały na straży stada i każdego okazującego chęć do ucieczki rena zwracały napowrót. Wreszcie Samojedzi odwołali psy ku wielkiemu niezadowoleniu młodego, który okazywał chęć upędzania się daléj. Reny znikły między drzewami.

Wróciliśmy do domu, lecz dla mnie tego było mało. Na drugi dzień namówiłem kolegów pójść do lasu rano, by zobaczyć reny na pastwisku. Idąc, nie zapomniałem zabrać z sobą chleba z solą.

Przyszliśmy do czumu, gdy Samojedzi jeszcze spali. Przed czumem zastaliśmy około dziesiątka renów,—reszta stada, składającego się z głów 40, była w lesie. Dostałem z kieszeni kawałek chleba i pokazałem renom. Jeden podbiegł do mnie natychmiast,—za nim reszta—zostaliśmy okrążeni przez miłe stworzenia. Reny zwietrzyły chleb w kieszeni i przypuściły do niéj atak. Dzieliłem stadko chlebem,—w końcu i chleba nie stało. Ale reny nie porzucały nas, i ciągle szukały chleba w kieszeniach, choć te były dawno puste. Żałowałem, że nie było chleba więcéj.

Nakarmiwszy reny chlebem, chciałem poszukać reszty pasącéj się w lesie. Samojedzi wstali i wyszli na nasze spotkanie. Na pytanie, gdzie reszta renów, odpowiedzieli:

— Idźcie za temi,—one was doprowadzą do stada.

— Kiedy te same za nami stadem chodzą i opuszczać nas nie myślą.

Samojedzi zwrócili się w stronę, gdzie leżały arkany. Arkany świsnęły w powietrzu,—i w obu razach pudło—reny nie zostały złapane. Lecz tak być powinno. Samojedzi nie łapali renów, lecz chcieli je odpędzić. Psy chciały obłożyć stado, lecz Samojedzi zmusili je do odwrotu. Reny znikają między drzewami.

Koledzy nie chcą iść za renami po głębokim śniegu. Puszczam się w drogę sam; Samojed chce iść razem zemną: tylko zjé obiad.

Wchodzimy do czumu, gdzie zastajemy obie rodziny Samojedów. Nad rozłożonem ogniskiem wisi kocioł. Jedna z kobiet jeszcze śpi. Gospodarz naiwnie objaśnia przyczynę, dla któréj żona jego towarzysza nie wywczasowała się. Gołe trzyletnie dziecko stoi wśród czumu i przypatruje się nam uważnie. Matka krzyczy na dziewczynkę, aby się ubrała,—ta narzuca na siebie swą malicę.

W kotle kipi jakaś brudna polewka. Samojedka dosypuje do kotła garść mąki i miesza drewnianą łyżką. Psy patrzą bacznie na kocioł i na kawałki chleba rozłożone na blasze, służącéj za podstawę dla ogniska. Są to kawałki chleba, zebrane żebraniną w mieście.

Nędza!

Obiad jeszcze nie gotów. Gospodarz zabawia nas rozmową.

— Czemu nie jécie mięsa renów? pyta mój kolega.

— Nie dla nas,—nie nasze kapitały; flaki tańsze.

— A mięso surowe jécie?

— Jemy i surowe i krew ciepłą pijemy.

— Reny doicie?

— Nie.

— Ile płaci się za rena?—zapytałem.

— Około 10 rs.

— Jak myślicie, mogłyby reny żyć bez mchu,—trawą i sianem?

— Kto je wié... latem trawę jedzą.

— A w cieplejszym kraju mogłyby żyć?

— A Ryga od was daleko?—zapytał Samojed.

— Nie bardzo.

Tam byli nasi. Lato całe byli. Reny nic,—żyły, zarobili pieniędzy. Przez wodę przeprawiali się na renach,—wszyscy schodzili się patrzyć.

— W jakiż sposób odbywa się przeprawa?

— Reny płyną. Sanie płyną za niemi, a my trzymamy się za sanie.

— A psy wasze żyłyby u nas?

— To napewno.

— Czém je karmicie?

— Co zostanie od obiadu,—to ich.

— Czy wszystkie psy takie łagodne, jak te?

— Nie,—w tundrze są złe,—te co nie bywały na Rusi i ludzi nie znają,—te kąsają.

— Czy wszystkie takie małe jak wasze?

— Prawie wszystkie. Są większe, lecz nie o wiele.

— A do polowania zdadzą się wasze psy?

— Chodzą, nawet za kaczkami i gęśmi.

— Węch dobry mają?

— Dobry. Latem reny idą daleko od czumu,—5 wiorst i więcéj,—psy zawsze znajdą—„na nos biorą“.

Wszystkie psy na północy,—i kudłate Samojedów i z krótszą sierścią (lecz większego wzrostu) w miejscowościach posuniętych bardziéj na południe, mają doskonały węch i dają się układać do po-

lowania na ptastwo, mianowicie na cietrzewie, głuszce i kaczki. Psy te z kształtu mordy i stojących uszu podobne są do lisa.

Kiedy tak bawiliśmy się rozmową, flaki w kociołku ugotowały się i Samojedzi zabrali się do jedzenia. Flaki zostały wyciągnięte z kociołka i Samojedzi zaczęli krajać je na mniejsze kawałki w poszczerbionych miskach, poczém posolili i zabrali się do jedzenia.

Psy łakomie patrzyły na nędzną strawę, oczekując kolei, lecz same nie ruszały nawet tych kawałków chleba, co leżały przed niemi na blasze.

— Bez nas —mówi Samojed —możeby i zjadły chleb, przy nas nie ruszą.

Wreszcie obiad się skończył. Samojedka zaczęła zbiérać przesuszone kawałki chleba. Jeden wpadł w jamę wykopaną pod blachą. Pies rzucił się i zabrał kawałek jak swoję własność. Niedojedzone resztki zostały wylane w korytko drewniane, psy podjadły, poczém wyszliśmy z Samojedem z czumu. Rad byłem, że dostaliśmy się na świeże powietrze z dziury, w której dym oczy wygryzał.

— Dla czego nie budujecie domów — spytałem — czyż w domach nie lepiéj?

— W domach lepiéj, lecz z renami źle. Ren szuka paszy, dla rena trzeba koczować. Domu nie przeniesiesz, jak czum, gdy pasza w jedném miejscu zostanie zjedzona.

Idziemy długo świeżemi śladami renów. Po drodze spotykamy obszerne place z rozgrzebanym śniegiem. Tu reny szukały sobie paszy. Z pod śniegu widać zielony mech i krzaczki jagód-borówek. Lecz śladu jeszcze nie widać.

Idziemy daléj, brnąc w niezmiernie głębokim śniegu. Wreszcie las rzednie, kończy się, ustępując miejsca torfowisku, porosłemu karłowatą jedliną. Na skraisku lasu widać stado renów. Rozdzieliły się one i pojedynczo szukają żywności, dostając ją z pod głębokiego śniegu. Obrazek prześliczny.

Na widok takiego stada renów, choćby swojskich, u każdego myśliwego krew zaczyna żywiéj krążyć; dziki ren jest zupełnie podobny do domowego.

Przypatrujemy się stadku. Psy niecierpliwią się, rade one rozpocząć polowanie. Wreszcie Samojed daje pozwolenie. Psy rzucają się naprzód, szczekając, okładają stada i pędzą je prosto na nas.

— Licz, ile sztuk—mówi mi Samojed.

Liczę, trzydzieści. Dziesięć poszło w stronę. Tu Samojed zaczyna przypatrywać się śladom.

— Są wszystkie reny, na które dziś kolej do zaprzęgu. Reszty możemy nie szukać.

Psy pędzą stado na ścieżkę udeptaną przez reny do czumu. Reny zaczynają iść jeden za drugim—gęsiego. Psy widząc reny na dobréj drodze, przestają szczekać i idą spokojnie za ostatnim renem.

Stado podchodzi do czumu. Tu psy mają robotę, reny trzeba zapędzić do zagrody.

Zagroda utworzona z kilku zestawionych sani i arkanów, trzymanych przez Samojedów za jeden koniec, gdy drugi zarzucony na sanie.

Reny nie mają chęci wejść do zagrody i rozbiegają się w różne strony, lecz psy nie próżnują. Okładają one stado i zawracają do czumu, kierując je ku zagrodzie. Młody, żółty pies niezmiernie zadowolniony, że może upędzać się za renami, i gdy te w końcu wbiegły do zagrody, to biédna psina smutnie opuściła ogon; radaby ona jeszcze pogonić, lecz na teraz—skończone.

Stado stanęło w ciasnéj zagrodzie, smutnie oczekując niepożądanego zaprzęgania. Samojedzi łapali reny, dobiérając trójki według wzrostu i maści, białe z białemi, ciemne z ciemnemi. Pięć trójek złapano, reszta została wypuszczona z zagrody.

Młody znowu pies okazał chęć zawrócenia stada, lecz okrzyk Samojeda powstrzymał te zapędy. Reny znikły w lesie. Połapane trójki poprowadzono do sań i rozpoczęło się zaprzęganie. Uprząż Samojedów bardzo prosta. Na głowę rena nakłada się uździenica, zrobiona ze skóry i kości, zawiązywana za rogami. Powód uździenicy przywiązany do szerokiego popręgu skórzanego drugiego rena, aby reny w biegu nie rozchodziły się. Naszelnik nałożony na kark zastępuje chomąto. Przywiązany do naszelnika rzemień ze skóry morsa spełnia rolę postronków.

Rzemień ów idzie do sań między przedniemi i tylnemi nogami rena, jeśli ten jest środkowy, gdy zaś zaprzężony z boku (w trójce), to rzemień przechodzi tylko między przedniemi nogami, z boku tylnych. Ren więc ciągnie karkiem, uprząż wogóle niewygodna, choć bardzo lekka.

Sanie są w użyciu latem i zimą, co Samojedzi objaśniają tém, że na tundrze wiele jest kępin, a więc użycie kół niemożebne. Tylko, latem Samojedzi zaprzęgają nie trzy reny, lecz sześć lub pięć, jeżdżą zaś również szybko. Dziennie reny bez popasu robią 100 wiorst. Należy tylko co 10 wiorst dać im trochę wypocząć. Biegną reny z szeroko otworzoną paszczą, co im ułatwia oddychanie.

— Przez to one nigdy nie potnieją—utrzymuje Samojed.

I—licz.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Głód po przednówku. — Ulga w ratach Towarzystwa Kredytowego. — Chłopi i wyrobnicy wobec klęski głodowéj.—Sen Faraona w naszych stosunkach.—Odpowiedź na pytanie: co będzie? — Prawo Malthusa na gruncie naszym.—Klęska rolna we Francyi.—U nas inaczéj.—Lichwa potrzebą społeczną.—Letnie mieszkania pod Warszawą.—Rażący przykład gospodarki niedołęstwa.—Nawet kolej Wiedeńska. — Wychowanie jako źródło pierwsze naprawy. — Bankierzy i przemysłowcy drugą siłą ratunkową. — Budżet ekonomiczny sąsiadów.—Wybory i tryumfy wyborcze.—Tajemnica zwycięztw stronniczych.—Nudny sejm i ciekawe przygotowania.—Ujejski poprzednikiem Asnyka.

. . . .

U nas drobne kapitały nie znają co to ryzyko, istnieją tradycyjne dróżki, po których kredyt krąży uporczywie: hypoteka, weksel z pewném poręczeniem na wysoki procent. Nie praca, nie spryt dają podstawę do marzeń o zarobku, ale lichwa, która się téż stała potrzebą nieodzowną naszych stosunków i nawyknień. Urzędnik, którego życie, napięte wyżéj niż pozwala stan jego, spycha w deficyt kilkadziesięciu lub kilkuset rubli rocznie, nie pojmuje, nie zna innego ratunku, jak pożyczki na 24%, 48% i t. d., nie licząc opłat za prolongatę. Popytajcie w biurach urzędników, rejestrujących areszty, kładzione przez wierzycieli na pensyach, a obaczycie straszną ranę, jaka bodaj czy gdziekolwiek w roztropniejszych społeczeństwach istnieje. Drugi urzędnik zaoszczędził nieco grosza, ten znowu nie pojmuje i nie wyobraża sobie, aby je mógł inaczéj ulokować, jak kupując premiówkę, albo pożyczając koledze na 12%. To nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe.

Gazety trąbiły, że akcye kolei Wiedeńskiéj są złotym interesem—czy je u nas kupowano? Nie, to już zbyt wielkie ryzyko a za mały zysk. Świéżo znowu zjawiły się w dziennikach skargi, że nawet banki chętniéj zdyskontują wątpliwe weksle lichwiarskie, niż

udzielą pomocy wybijającemu się przemysłowcowi. Jakże tu przy tych warunkach wzrastać może bogactwo proporcyonalnie do wzrostu ludności?

Nieustannie mam przed oczyma krzyczący przykład naszéj niezaradności. Warszawa, zostawszy dużém miastem, potrzebuje letnich mieszkań. Jestto potrzeba stała, która nie zniknie jak moda, nie zniknie jak sztucznie wytworzony popyt, nadaje się słowem do przedsiębiorstwa. Wszędzie na świecie to istnieje, w okolicach wszystkich miast są wille, letnie domki i t. d. Tymczasem kapitał nie wyzyskał wcale tego otwierającego się pola, bardzo jak dotąd zyskownego. „Letniacy“ mieszkają w chałupach dawniéj istniejących, albo w barakach, świeżo wystawionych, w ścianach ze szparami, pod dachem, nie chroniącym od deszczu; bez żadnych wygód, bez piwnicy, bez kuchni jakiéj takiéj, z sypiącą się z pułapu glinką, nieraz z gnojowiskiem pode drzwiami. I za to się płaci 50 do 100 rs. za dwa pokoiki. Nigdzie tylu niewygód nie spotyka się z tak wygórowaną ceną! Gdzieindziéj cywilizowany człowiek nie chciałby mieszkać w norach podobnych, trzeba naszego niedołęstwa i poprzestawania na tém co jest, aby dać się obdzierać i nic za to nie wymagać. Kapitał 1000 rs., włożony w to przedsiębiorstwo, przyniósłby z pewnością 200 rs. czyli 20% pewnego, stałego zysku, a ludności Warszawy oddałby wielką przysługę.

Chłopi, odnajmujący letnie mieszkania, nie pojmują zupełnie swego interesu. Ciągną zyski po lichwiarsku, rabunkowo. Nie rozumieją, że niesłychanie drogie w ich stosunkach komorne jest dla nich dobrodziejstwem, które szanować powinni. Oszukują na czém tylko mogą, nie oszczędzają ani jednéj przykrości, jak gdyby, biorąc wygórowaną cenę, łaskę jeszcze robili; nareszcie nieraz kradną. Słowem kompletny obraz zwykłéj u nas gospodarki.

Domki letnie tworzą kolonie po 10, 20, 30 sztuk koło stacyi kolei żelaznéj, czyli mieszczą po 20, 40, 60 rodzin, potrzebujących codzień pieczywa, mięsa i t. d. Gdzieindziéj zakładają się zaraz sklepiki letnie, przekupnie roznoszą towary po domach; tutaj jeżeli nawet coś podobnego istnieje, to w tak nieudolnéj formie, bez organizacyi, bez oparcia stosunków na wzajemném zaufaniu, że świeże powietrze okupywać potrzeba brakiem porządnego pożywienia i innych rzeczy niezbędnych, a nieraz po najzwyklejsze przedmioty koniecznie wypada czynić kosztowne wycieczki do Warszawy. Jednocześnie w lesie wśród dzieci i kobiét spotkać można barczystych mężczyzn, widocznie silnych jak atleci, którzyby bez wysiłku dźwigać mogli tłómoki z towarami, dążących z dzbanusz-

kiem po tradycyjne jagody. Jęczą później, błagają o litość, klnąc się, że to owoc ich całodziennéj pracy, byle tylko zamiast złotówki czterdziestkę wyłudzić. Nawet koléj Wiedeńska i Bydgoska, którym najłatwiéj byłoby się dowiedzieć, jakie są gdzieindziéj porządki, tak mało dba o wygodę publiczności i o zysk własny, że pomimo dwu torów nie powiększa wcale na lato ilości pociągów. Tylko w święta i w niedzielę dodany został j e d e n pociąg spacerowy i tak owarowany różnemi utrudnieniami, że biedny warszawiak, spragniony pól i lasów, więcéj ma przykrości niż oszczędza pieniędzy.

Jedném słowem, wszędzie, gdzie się obrócić, widzimy nie zdobywanie coraz lepszych warunków wstępnym bojem pomysłowości, energii, pracy, ale tylko spychanie życia z dnia na dzień. Wobec tego ratunek od klęsk żywiołowych bardzo trudny. Posiadamy prawdopodobnie tyle kapitałów i kapitalików, że gdyby te wypełzały ze swych kryjówek, to dałoby się zatrudnić ludzi, nie mających co jeść z powodu nieurodzaju. Sprowadzamy tyle jeszcze różnych przedmiotów z zagranicy, że z wielką łatwością można byłoby znacznie powiększyć wytwórczość miejscową i pokryć niedobór otrzymamy z ziemi. Ale do tego potrzeba przedsiębiorczości, energii, odwagi.....

Naturalnie, nic na świecie nie istnieje bez przyczyn i nasze niedołęstwo znajdzie w przeszłości wystarczającą przyczyn liczbę. Ta bogata Francya do swéj dzisiejszéj zamożności przyszła przemysłem ludzkim, krwawą pracą wielu pokoleń. Tam widzimy nieprzerwany prawie szereg wielkich mężów, wysilających swój geniusz i potęgę dla stworzenia materyalnéj podstawy bytu i dobrobytu: Colbert, Turgot, Quesnay, Mirabeau, Necker i t. d. i t. d. Ludność miała przyczyny, czas i pole do rozwinięcia ducha przedsiębiorczości. U nas bywały tylko krótkie chwile zajęcia się rozwojem ekonomicznym. Tém większe zadanie ciąży na teraźniejszośei.

Co roku na tém miejscu zwracamy uwagę rodziców na kierunek wychowania ich dzieci. Te ścieżki, po których oni sami kroczyli, oddawna już porosły chwastem, nikt się już przez nie przedrzéć nie zdoła. Dziś tylko maleńka cząstka gnuśnieć może na posadach, reszta walczyć o byt potrzebuje. Do téj walki dzieci nasze przygotowywać potrzeba. Miesiąc temu otrzymane w uniwersytetach patenty, postawiły przed kilkoma setkami młodzieży trudne pytanie: co z tym pergaminem robić, gdyż przestał on już być laseczką czarnoksięską, która sezamy biur otwiéra. Za półtora miesiąca znowu setki niemal młodzieży znajdzie się na bruku petersburskim, nie wiedząc co począć nietylko z jutrem, ale z życiem całém, do instytutów rzadki szczęśliwiec się dostanie, a do niczego

innego nie są przygotowani. Pracę trzeba umieć upatrzyć, wyszukać, rozpocząć od pierwszego szczebla, a oni ręce, myśl i wiedzę mają przypasowaną do stworzonych przez innych stanowisk dyrektorskich.

Prócz zmienionego wychowania do zdobycia umiejętności życia potrzeba zachęty. O Colbert'ów i Turgot'ów trudno, ale mamy potężnych bankierów, przemysłowców, w których mocy wiele spoczywa. Ambicya ich sięga nieraz po laur zasługi obywatelskiéj, nigdzie zaś wdzięczniejszego pola znaleść nie zdołają, jak krzewiąc wśród społeczeństwa przymioty niezbędne do rozwoju. Można, lub przynajmniéj można próbować szersze koła wciągać do udziału w życiu ekonomicznėm. Należy dać zachętę i opiekę przejawiającéj się przedsiębiorczości. Talenty nieraz wyszukiwać trzeba i wyprowadzać na szersze pole. W wielu jeszcze instytucyach naszych patent ma pierwszeństwo przed zdolnością i umiejętnością. Poczynający pracę nie ma częstokroć dostatecznéj zachęty i wié, że buława marszałkowska leży w sferach dlań niedostępnych. We Francyi lub w Niemczech, jakiś nawet robotnik kolejowy ma przed sobą nadzieję objęcia stanowiska zwrotniczego, nadkonduktora, naczelnika stacyi, to zwykłe szczeble drabiny, dojdzie do posady, na któréj już będzie miał sposobność wykazać gorliwość, przytomność umysłu, zdolności. U nas żaden poczynający swój zawód młodzieniec, podobnie śmiałych nadziei żywić nie może, gdyż zanim nadejdzie czas wakansu, tylu już obywateli zbankrutuje, że wszystkie posady będą szczelnie obsadzone.

Trudność lub łatwość przebycia kryzysu głodowego zależéć będzie w znacznym stopniu od wypadku budżetu ekonomicznego sąsiednich krajów. W téj chwili jednak człowiek, nie szperający w organach specyalnych, nic o tém wiedziéć nie może, wszystko utonęło w nieustannie burzonych falach polityki. Mniejsza nawet o oczekiwanie wojny: znaczna część publiczności poradziła sobie jak gnuśniejsza połowa dziewic biblijnych, którym to zabrakło oliwy do lamp i ochoty do nieustannego czuwania. Ale w tym roku uwagę publiczną zajmowały, więcéj, pochłaniały wybory. Najprzód wybór liberała brukselskiego nabawił niemałego kłopotu konserwatywne ministeryum, spodziewano się awantur. Potém niewinne wybory do rad jeneralnych we Francyi, nabrały znaczenia europejskiego, bo wynikło pytanie, czy „sprawiedliwość ludu nieomylnego“ stoi po stronie Boulangera, czy też przeciwko niemu. Zwłaszcza że wybory powszechne do izby za pasem, ważyć się będzie los republiki, więc naturalnie już dziś każdy krok mężów politycznych przedewszystkiém ma na widoku tę ważną chwilę. Na

dobitkę, wielką niespodziankę, a więc i wrażenie, przyniosły wybory do sejmów austryackich. Najprzód młodoczechy zadali nadspodziewanie dotkliwą klęskę staroczechom; a następnie w Galicyi Rusini uzyskali krzesła nowe, a chłopi, których w przeszłéj kadencyi nie było zupełnie, weszli do sejmu w liczbie sześciu. I jeszcze nie koniec niespodziankom; w Krakowie, siedlisku stańczyków, demokrata Asnyk pobił konserwatystę Mayera.

Tyle faktów musiało być dostatecznie przeżutych i przetrawionych przez pisma. Głębokie maksymy i aforyzmy, wnioski i przepowiednie zapychały szpalty dzienników. Okazało się więc, że młodoczesi i demokraci galicyjscy uważają rezultat wyborów za doniosłe znamię chwili, za fakty świadczące, iż kraj przejrzał, a opinia wchodzi na drogę właściwą. Staroczesi zaś i stańczycy widzą, iż ludność obałamucona wchodzi na bezdroża, a ich klęska piętno hańby rzuca na wsie i miasta.

Dla człowieka, którego te sprawy żywo obchodzą, który je obserwuje wedle możności szczegółowo, ale który stoi zdala, po za sferą odurzenia namiętnościami walki; dla człowieka takiego cały rwetes przedwyborczy i późniejsze kręcenie i kiwanie głowami wydawać się musi nieco kłamstwem konwencyonalném i udaną powagą augurów, starających się nawet siebie przekonać, że po za dymem kadzideł kryje się tajemnica nieśmiertelnéj potęgi, łaski i sprawiedliwości.

Niepodobna przecie przypuścić, aby polityczni ludzie w Pradze lub we Lwowie, a témbardziéj w Londynie i Paryżu nie rozumieli, że wynik zwyczajnych wyborów bynajmniéj nie świadczy o usposobieniu umysłów, o początku jakichś zmian doniosłych itd. Francya jest w kilka miesięcy inną, republikanizm jéj nieustannie to wzrasta, to maleje, jutro większość może być monarchiczną, po jutrze socyalistyczną i znowu wrócić do monarchii; a pomimo to polityczni augurowie nie przestaną w każdym wyniku upatrywać wymiaru sprawiedliwości wszechwładcy-ludu. Toż samo w Anglii i w Belgii, gdzie raz zwyciężają konserwatyści i znowu po pewnym czasie do władzy wracają liberali i tak w kółko, a zawsze prasa wita wschodzące słońce Ormuzda, które nie zagaśnie już nigdy. Czyżby w tych najbardziéj wyrobionych politycznie krajach ludzie zmieniali co lat kilka przekonania? Bardzo to wątpliwe, a zresztą równie podatnéj na wszelkie powiewy fali nie godzi się może nazywać przekonianiami: nie tworzy ona siły społecznéj, na któréj dałoby się oprzéć jakąkolwiek trwałą rachubę.

Wobec tego ogłaszanie tryumfów młodoczechów i demokracyi dla kogoś stojącego po za tamtejszemi stronnictwami w żaden sposób wydawać się nie może wielce znamiennym faktem.

Tajemnicę wyborów dosyć jaskrawo oświetlają cyfry, podane przez jednego z dziennikarskich bojowników naszéj demokracyi, p. E. Przewóskiego w „Przeglądzie Literackim“ „Kraju“:

„Przy opracowaniu nowego projektu reformy wyborczéj ułożono tam prymitywny bardzo kwestyonaryusz dla przekonania się o stopniu wykształcenia szerszych mas ludności. Wzięto tedy na egzamin żołnierzy, którzy przeszli obowiązkowych sześć lat szkół początkowych i oto jaki otrzymano rezultat. Pytano się np. jakie są cztery główne miasta w kraju i nad jakiemi wodami leżą? Na pytanie to 35 na 100 nie dało żadnéj odpowiedzi, 44 tylko cząstkową, 21 zaś jedynie dało odpowiedź zadawalniającą. Na pytanie: kto stanowi prawa? 5) na 100 nie mogło dać żadnéj odpowiedzi, 28 odpowiedziało, że prawa stanowi sam król lub razem z królową (w konstytucyjnéj Belgii); inni jeszcze zgadywali, że przez ministrów, senat itd.; tylko 15 dało w tym względzie odpowiedź rzetelną. Gdy pytano się o sławnych Belgów—67 na 100 zacytowało głośnych cudzoziemców najrozmaitszego rodzaju, pobranych z różnych krajów, 20 na 100 umiało zacytować tylko króla Leopolda I, lub Leopolda II (króla panującego obecnie).“

Tak rzeczy stoją w wysoko cywilizowanéj i wykształconéj Belgii. Opowiadano mi, iż niedaleko Paryża istnieje wioska Trou, któréj mieszkańcy przyjmując udział w wyborach i głosując na republikanów, stale odprawiają modły zbiorowe za króla panującego (po cesarstwie). Cóż wobec tego dziać się musi w ciemnéj Galicyi lub w nieco bardziéj ucywilizowanych lecz niewyrównywających Belgii Czechach? Są rzeczywiście szczególne przykłady naiwności wyborczéj. W Łańcucie głosowano do sejmu lwowskiego na... cesarza Franciszka-Józefa (szczęście jeszcze, że nie ś. p. Rudolfa). Nie podobna przypuszczać, ażeby chłop lub mieszczanin krakowski czy lwowski wiedział dokładnie co sejm oznacza, jakie ma zadania, jakie doń wejść powinny żywioły, a już całkowicie pojąć nie jest w stanie, jakiego rodzaju przepaści dzielą szanownego Prezesa akademii od również szanownego poety Asnyka. O jednego pracach nic nie słyszał, drugiego poezyi nie czytał. Poprostu, odrzuciwszy mistyczny język stronnictw, rezultat zależy od agitacyi. Masa ludności mów wyborczych nie rozumie, właściwymi kierownikami wyborów, „nauczycielami politycznymi ludu“ są nie ci panowie we frakach, którzy górnie deklamują z mównic, ale pokątni faktorowie, nie zawsze nieprzebierający w środkach, aby dla swego kundmana jak najwięcéj głosów zwerbować.

Sejmy i wybory nasuwają z konieczności jeszcze jednę uwagę. Wiadomo powszechnie, że ostatnie posiedzenia sejmu lwowskiego

były dość nudne, wcale nie zajmowały publiczności, o drzémkę przyprawiając posłów, którzy téż w nieznacznéj liczbie przychodzili na posiedzenia. Marszałek, aby uniknąć skandalu, zmuszony bywał czasami otwierać obrady przy liczbie mniejszéj niż regulamin pozwalał. Kiedy przeciwnie, walka wyborcza jest gorącą, głośną, zajmującą. Na sejmie mówi się o drogach, na wyborach o demokracyi i arystokracyi. Do sejmu należą szpitale, na wyborach zaś chodzi o to, czy górę weźmie pan A. czy B. Zadania sejmu przeważnie nie są charakteru politycznego, a kwalifikacye na posłów podają się wyłącznie polityczne. Krzesło jest jedynie zaszczytem. Gdy całe zadanie kończy się na wyborach, na posiedzenie nie ma już istotnie po co chodzić. Posłowie w znacznéj części ani się znają ani interesują szpitalami, szkołami, skądże obrady mogą być pouczające lub zajmujące. Bodaj czy nie ważniejszym faktem niż wybór sześciu chłopów, jest upadek dwu techników, których w następującéj sesyi nie będzie wcale, i prof. Małeckiego, który był znawcą spraw szkolnych.

Gdyby przytém godność poselska traktowana była jako ciężki obowiązek, mniejby wir polityczny pochłaniał ludzi potrzebnych na innych polach. Poświęcenie się wyłączne sprawom politycznym wszystkich pierwszych głów kraju bynajmniéj pomyślnie na rozwój jego nie wpływa. Dodajmy, że nieraz zamiast pracowników i znawców rzeczy wybierani bywają wyobraziciele uniesień chwilowych i przemijających. Ileż się to rozległo okrzyków tryumfalnych po tryumfach wyborczych Ujejskiego i Artura Gołuchowskiego, a jaki stąd wyniknął pożytek? Żaden.

Lus.

Bank włościański.—Instrukcya zastosowana do naszych stosunków prawnych. — Wpływ ekonomiczno-społeczny tego banku. — Towarzystwo łowieckie. —Zbyteczność przy niém nowego klubu. — Nadprodukcya prawników. — Brak ludzi wykształconych w innych zawodach. — Konieczność zmiany kierunków wykształcenia fachowego.

Gazety przynoszą nam wieść urzędową, że czynności przygotowawcze w tutejszych filiach, czyli t. zw. oddziałach banku włościańskiego, już się rozpoczynają. Mianowicie od chwili ogłoszenia odnośnego rozkazu ministeryalnego, prezesi oddziałów przyjmują deklaracye osób, życzących sobie sprzedać lub nabyć parcele majątków przy udziale banku, oraz zarządzają skompletowanie potrzebnych do wykonania tranzakcyi dokumentów. Dalsze czynności nie mogą być przedsiębrane aż do chwili wypracowania i ostatecznego zatwierdzenia instrukcyi, wyjaśniającéj: w jaki sposób ma być stosowana ustawa banku włościańskiego w naszym kraju.

Historya ułożenia instrukcyi daje rękojmię dokładnego i odpowiedniego naszym przepisom hypotecznym opracowania. Władze banku włościańskiego, nie poprzestając na siłach własnych, wezwały do współpracownictwa całe grono osób z magistratury sądowéj, notaryatu i adwokatury, tak, że instrukcya dla banku włościańskiego, w tych kwestyach, które znajomości obowiązującego u nas prawodawstwa cywilnego i praktyki hypotecznéj dotyczą, była rozstrząsana i opracowywana na całym szeregu zebrań prawniczych, odbytych najprzód przy wydziałach hypotecznych sądu okręgowego, a potém przy jednym z departamentów cywilnych, izby sądowéj. Ustawa banku włościańskiego, uwzględniająca w swym tekście przeważnie przepisy i zwyczaje prawne Cesarstwa, musiała z natury stosunków naszych wymagać pewnych zmian i uzupełnień w zastosowaniu do kraju tutejszego. Sposobem przykładu wskażemy na rozwinięty w Cesarstwie, zwłaszcza w guberniach wielkoruskich popęd ludu do łączenia się w gromady; stowarzyszenia w przemyśle i handlu. Tak zwane artele—objaw to samorodny ruski, nieznany u nas i wogóle nieznany na zachodzie Europy, jak nieznaną jest w naszym kraju forma wielkoruska własności ziemi wspólnéj dla całéj gminy. To téż gdy nabywający drogą parcelacyi majątki ziemskie włościanie w guberniach wielkoruskich pozostają chętnie w stałym stosunku własności wspólnéj, przeciwnie nasz chłopek dąży do odseparowania się i do własności indywidualnéj. Ztąd i solidarna odpowiedzialność nabywców-włościan wobec obywatela sprzedawcy za nabyte parcele uważaną jest przez naszych włościan za stosunek uciążliwy i niepożądany, a w najgorszym razie możliwy do przyjęcia na czas tylko. Tymczasem ustawa banku włościańskiego ma na widoku przeważnie nabywanie gruntów przez stowarzyszenia włościan, na wspólną własność dokonywane. Jeżeli przypomnimy sobie przepisy naszego prawa cywilnego, np. przepis wymagający, by mężatka nie inaczéj jak w asystencyi męża czynności prawnych dokonywała, wówczas gdy w Cesarstwie kobiéta zamężna ma prawo samodzielnie swym majątkiem rozrządzać; gdy uprzytomnimy zwłaszcza w pamięci istnienie u nas — nieznanych w Cesarstwie — urządzeń hypotecznych, wówczas zrozumimy łatwo jak poważném zadaniem było opracowanie instrukcyi, przystosowującéj ogólne przepisy o banku włościańskim do kraju naszego. Projekt takiéj instrukcyi, jak wspomnieliśmy, już jest opracowany i czeka przejrzenia i zatwierdzenia w Petersburgu.

Zastanówmy się na chwilę nad możliwym wpływem banku włościańskiego na nasze stosunki agrarne. Bank włościański, jak

to widzimy z jego ustawy, ma mieć w kraju naszym zadanie ekonomiczno-społeczne.

Zadaniem banku włościańskiego jest powiększenie w naszym kraju ilości posiadaczy ziemi z pomiędzy włościan bezrolnych, choćby Polaków, lub Litwinów (za wyłączeniem pewnych powiatów we wzmiankowanych trzech guberniach, w których bank włościanom Polakom, lub Litwinom do nabywania ziemi dopomagać nie będzie), byle tutejszych poddanych, oraz powiększenie ilości ziemi w rękach włościan rolników, którzy już pewną przestrzeń gruntu posiadają.

Tym sposobem z dzisiejszych zagrodników i komorników, utworzyliby się włościanie rolni, drobne przeważnie parcele ziemi posiadający, z dzisiejszych zaś włościan rolnych mogliby się wytworzyć właściciele folwarków nieco większych—włókowych, a moa może i kilkowłókowych.

W pismach naszych niejedokrotnie rozbrzmiewały echa dysput: jaka forma własności ziemskiéj, tj. czy przewaga własności wielkiéj czy małéj jest dla kraju pod względem ekonomicznym i społecznym korzystniejsza. Powtarzanie téj dyskusyi przechodzi znacznie po za ramy kroniki. Zaznaczymy więc tylko, że nasze pismo wypowiadało zawsze potrzebę wytworzenia własności ziemskiéj średniéj (którą u nas mylnie małą nazywają), wytworzenia stanu podobnego pod względem zamożności i obyczajów do fermerów angielskich, szwajcarskich, czeskich, a szczególniéj naszych „gburów“ w Prusach królewskich. Tacy właściciele dwu lub trzy włókowych folwarczków mogą być dość oświeceni i zamożni, a jednak sami około roli pracować muszą—nie zagrożeni ciągłą obawą głodu—tacy średni właściciele nie opuszczą kraju ani z nędzy na emigracyą, ani ze zbytku „do Monaco“. Jednem słowem średni właściciele ziemscy to element staléj do roli przywiązany, niż dawni *glebae adscripti*; staléj, bo z interesu i z dobréj woli nie zaś z musu; element hartowny, twardy, oporny, pracowity, element w którym rozwija się należycie, zrozumienie, a trwa bardzo silnie poczucie czém jest. Dzięki temu elementowi Czechy są silniejsze od nas. My tego elementu dotąd mamy zbyt mało.

Czy bank włościański przyczyni się do wytworzenia takiego stanu średniego po wsiach naszych? Zobaczymy. W każdym razie nie możemy pokładać przesadnych nadziei co do skutków działalności banku na stosunki naszego rolnictwa. Niezależnie od bardzo skomplikowanych formalności, któremi ustawa otoczyła czynności banku, nie należy zapominać, że kapitał banku jest stosun-

kowo nieznaczny i że w kraju naszym, podług przybliżonych obliczeń, dziesięć razy więcéj ziemi jest do zaofiarowania gotowéj, niżby jéj bank włościański w najlepszym razie mógł zakupić.

* * *

Utworzyło się w Warszawie towarzystwo łowieckie, mające podług ustawy za cel przedewszystkiém ochronę zwierzyny. Cel bardzo pożyteczny, ani słowa. Dotyczas jednak bardzo mało słyszymy o środkach ku ochronie zwierzyny przedsięwziętych, a natomiast mamy pełno wiadomości o konkursach strzelniczych, o strzelaniu do gołębi i o nowym jeszcze klubie dla panów myśliwych.

Niechby jeszcze to strzelanie. Zabawka to wprawdzie, ale zabawka leżąca w charakterze, że tak powiem, łowców. Przytém strzelanie do celu i do gołębi kształci w celności, a to dla myśliwych, którzy na to chronią zwierzynę żeby mieć następnie co zabijać, jest koniecznem. Nareszcie sport strzelecki jest jednem z ćwiczeń dla rozwoju fizycznego użytecznych. Ale po co ten nowy klub i co w nim będą robić panowie myśliwi? Wszak mamy klubów podostatkiem, a nawet już istnieje jeden klub myśliwski. I we wszystkich tych klubach i resursach, bez względu na ich nazwę, jeden i ten sam rodzaj rozrywki panuje. Karty, karty i jeszcze raz karty. Dotąd towarzystwo wioślarskie jeszcze się jakoś bez kart trzyma, ale i tam nawet, ze względu na potrzebę powiększenia dochodu, na utrzymanie lokalu, nieraz już wnoszono projekt wprowadzenia gry karcianéj. Może jednak towarzystwo wioślarskie, dzięki liczbie,a skromności wymagań swych członków, jakoś od zarazy karcianéj ocaleje. Zresztą co do klubu sport wioślarski z natury rzeczy w letniéj tylko porze roku może być uprawiany, chodzi więc o to, żeby było jakieś miejsce, jakiś lokal, w którym by się członkowie towarzystwa w zimie spotykać mogli i jakąś łączność między sobą utrzymywali. Ale sport myśliwski, rozwija się przeważnie zimą,—krótkie zaś przerwy letnie zapełnia rozrywkami pomocniczemi w rodzaju konkursów strzelniczych, *tir aux pigeons* itp. Daléj, towarzystwo wioślarskie liczy wśród swych członków prawie wyłącznie „dzieci Warszawy", towarzystwo zaś łowieckie ma w swém gronie wielu członków innych—z prowincyi, z okolic bardzo od Warszawy odległych. Po cóż tych zmuszać do ponoszenia ciężaru na klub, z którego korzystać nie mogą. Nakoniec pauza w polowaniach, które już dostatecznie członków towarzystwa łowieckiego zbliżają i łączą, przypada na porę letnią, gdy przeważna ilość członków warszawskich wyjeżdża z miasta; kiedy więc, dla kogo i w jakim celu ten nowy

klub myśliwski ma być potrzebny? Doprawdy, jest on raczéj szkodliwym dla towarzystwa łowieckiego ciężarem i chyba nie będę fałszywym prorokiem, twierdząc, że jeżeli się klub ten utrzyma, to najpożyteczniejsi i najpożądańsi członkowie, ci którzy tylko racyonalne polowanie i ochronę zwierzyny mają na celu, opuszczą towarzystwo łowieckie.

* * *

Stu nowych prawników przybyło nam tego roku z jednego uniwersytetu Warszawskiego. Jeżeli dodamy do téj cyfry pewną ilość młodych prawników którzy ukończyli uniwersytety w Cesarstwie i zagranicą, podziw i obawa zdjąć nas musi. Gdybyśmy byli społeczeństwem bogatém, które może pozwalać sobie na takie zbytki jak wykształcenie dla wykształcenia, to hyperprodukcya pewnych uzdolnień fachowych nie byłaby zbyt w praktyce szkodliwą. Aleśmy biedacy, więc musimy zdobywać takie wykształcenie, któreby stanowiło narzędzie zarobku. Czy zaś wykształcenie prawne w naszych dzisiejszych stosunkach może dać zarobek dla téj corocznie opuszczającéj choćby jeden tylko tutejszy uniwersytet młodzieży?....

Tymczasem cała masa zajęć stoi otworem i przedstawia mnóstwo stanowisk niezajętych. Wyliczać wszystkich—niepodobna. To téż w formie przykładu zatrzymam się na ogrodownictwie.

Mówimy tu oczywiście o ogrodnictwie racyonalném, na podstawach nauki i umiejętnéj praktyki opartém. Ludzi w tym fachu wykształconych jest tak mało, że z pomiędzy dwóch największych w Warszawie zakładów ogrodniczo-handlowych w jednym właściciel musi być swoim własnym *contre-maitre'm*, a w drugim własnym korespondentem. Na złe im to w części wychodzi, bo odbiera czas potrzebny na dozór ogólny interesu; ale cóż kiedy nie ma ludzi odpowiednio przygotowanych, więc muszą być swoimi oficyalistami. Nie takie jednak zależne stanowisko powinno być celem dążenia, wykształconego ogrodnika. Śmiało powiedziéć można, że w kraju naszym może miéć bardzo piękne utrzymanie przy niewielkim kapitaliku z pięćdziesięciu wykształconych i pracujących we własnych zakładach ogrodników.

Niedawno np. dowiedziałem się z pewnego źródła, że jeden z ogrodników (cudzoziemiec), utrzymujący szparagarnię w Skierniewicach, za same szparagi, w ciągu jednego sezonu do Warszawy dostarczone, miał sześć tysięcy rubli *netto*. To chyba wcale ładne utrzymanie, jakiego być może ani jeden ze stu tegorocznych prawników, a z pewnością $^9/_{10}$ z pomiędzy nich nigdy ze swego fachu

mieć nie będzie. Wracając do owego ogrodnika skierniewickiego, zdawało się mało wtajemniczonym, że nie potrafi on wytrzymać konkurencyi z ogrodnikami, mającymi ogrody tuż pod Warszawą, a to z powodu trudności dostania nawozu i wysokich kosztów jego transportu. Ponieważ to jednak nie był nasz pan brat niedołęga, ale Niemiec, a wiadomo, że Niemiec na wszystko jest przemyślny, skoro—jak mówią na Rusi — nawet małpę wymyślił, przeto i tu dał sobie radę. Wszedł w stosunek z kilkoma drobnemi fabryczkami wyrobów rogowych i nabywa od nich wyborny, w azot bogaty, a tani i do przewożenia łatwy materyał nawozowy, opiłki rogowe. No i zgarnia za same szparagi sześć tysięcy rubelków rocznie.

Nietylko jednak Niemcy żyją u nas z ogrodnictwa. Włościanie wielkoruscy produkują tu u nas, na dzierżawionych drogo pod Warszawą gruntach ogórki i inną ogrodowiznę, a po opłaceniu kosztów dzierżawy i podróży, wracają z zyskami do domu. Słyszeliśmy, że p. Jankowski, któremu owoce w tym roku nie obrodziły, miał za same wiśnie ze swego ogrodu 1800 rubli (daj mu Boże jeszcze więcéj, skoro umiejętnie pracuje); a p. Kurtz z Otwocka, sprzedający owoce nie wprost lecz przez pośrednictwo Tow. ogrodniczego, podobno ma w zły rok parę tysięcy rubli ze swego ogrodu. To są przykłady pojedyńcze. Liczba ich wzrasta, dotąd jednak dalecy jesteśmy od produkowania dostatecznéj ilości na potrzeby kraju, a bodajby nawet jednego miasta Warszawy. A nietylko na swój własny użytek, lecz i na eksport moglibyśmy produkować. Owoce jak wiśnie, czereśnie, renklody i t. p., już i dziś zaczynają iść od nas do Petersburga. Niektóre gatunki kwiatów, jak np. konwalie, idą od nas na wschód i na zachód Europy, w ostatnich zaś czasach żądane są nawet do Ameryki.

Tylko, żeby w ogrodnictwie dojść do odpowiednich rezultatów, potrzeba się uczyć i pracować niemało, może nawet więcéj niż dla skończenia wydziału prawnego. Oto np. jaki program nauk nakreśliło kółko specyalistów kilku młodym ludziom, którzy po ukończeniu 6 klas gimnazyum realnego, zapragnęli wykształcić się na uczonych ogrodników. Dwa lata praktyki u jednego z ogrodników warszawskich, prowadzących swój zakład w sposób handlowy, i podczas tych dwóch lat lekcye botaniki i łaciny. Następnie 2 lata w akademii pomologicznéj w Prószkowie (założonéj na miejscu dawniejszéj akademii rolniczéj). W końcu 2 lata praktyki w zakładach ogrodniczych Niemiec, Austryi, Francyi, Holandyi i Anglii. Razem lat 6 wykształcenia i praktyki specyalnéj.

Ale się to ukształcenie i ta praktyka opłaci w naszym kraju dla kilkudziesięciu jeszcze ludzi w fachu ogrodniczym. Również

mamy jeszcze miejsce dla odpowiedniéj, a może znaczniejszéj liczby specyalistów tkaczy, farbiarzy, chmielarzy, zdunów, fabrykantów kafli i t. d. Ale medyków, inżynierów, a zwłaszcza prawników, mamy w nadmiarze. A już najwięcéj mamy kandydatów do urzędów państwowych i prywatnych, ludzi uzdolnionych niby do wszystkiego, właściwie zaś do niczego, ludzi bez inicyatywy, pionków oczekujących manny niebieskiéj lub pieczonych gołąbków, biorących się do pracy chyba pod wpływem głodu i nędzy, podobnie jak niewolnik, który pracuje tylko pod grozą bata plantatora, i podobnie też jak niewolnik pracujących zawsze automatycznie i bezmyślnie.....

(— X —)

NEKROLOGIA

† **Maurycy Fierich**, urodził się 12 maja 1855 r. w Krakowie, gdzie też ukończył nauki gimnazyalne i uniwersyteckie, a w r. 1879 uzyskał stopień doktora prawa. Otrzymawszy stypendyum na studya zagraniczne, uzupełnił swe wykształcenie w uniwersytecie Lipskim. W roku 1881 stanął na katedrze w szkole jagiellońskiéj jako docent, a od roku 1886 jako profesor nadzwyczajny wykładał tam procedurę sądową austryacką i rzymską, oraz prawo hypoteczne. Zdolny i pracowity, zjednał sobie miłość i poważanie powszechne. Zmarł w kwiecie życia, nagle, tknięty paraliżem serca, 20 czerwca r. b. w Krakowie. Licznych pism jego wymieniać tu w zupełności niepodobna, przytoczymy więc tylko trzy prace: „O prawie hypotecznèm“, „O urządzeniach hypotecznych miasta Krakowa“, wreszcie „O przysiędze“.

† **Stanisław Zarański**, autor „Zarysu dziejów powszechnych“ i innych dzieł popularno-naukowych z zakresu historyi powszechnéj i polskiéj, zmarł w Krakowie 10 lipca r. b. w wieku podeszłym, liczył bowiem lat 72.

† **Witalis Wilczkowski**, urodzony w r. 1829 w Warszawie, po ukończeniu nauk w ówczesnèm gimnazyum gubernialnèm, kształcił się na lekarza w akademii medycznéj w Petersburgu, a otrzymawszy dyplom, odbył podróż naokoło świata na wyprawie admirała Putiatyna, w czasie któréj zebrał obszerne notaty, uzupełniając rękopis własnoręcznemi rysunkami. Następnie był ordynatorem w szpitalu Ś. Ducha i profesorem szkoły felczerów cywilnych. Z dzieł jego wymienimy: „*De morbo marino*“ (1852), „Chirur-

gia niższa dla użytku felczerów", „Nauka o nawiązkach", „Krótki rys anatomii opisowéj" (1862), „Przewodnik dla pielęgnowania chorych" (1863). Pochowany został na cmentarzu Powązkowskim 14 lipca r. b.

† **Lubin Eliasiewicz**, ur. 1824 pod Buczaczem, współpracownik najprzód „Gazety narodowéj", „Kraju" wydawanego w Krakowie, a następnie przez lat kilkanaście „Dziennika polskiego" we Lwowie, zmarł w témże mieście w miesiącu lipcu r. b., mając lat 47. Przed rokiem wydał zbiór swych poezyj pod napisem „Z nurtów życia".

Wydawca **W. Spasowicz**. — Redaktor **Piotr Chmielowski**.

OGŁOSZENIA.

= **Komitet Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiem** uprasza pp. artystów, aby dzieła swoje, wycofane z wystawy towarzystwa i nieobciążone pożyczkami, raczyli odebrać z lokalu Towarzystwa lub wskazać, komu mają być odesłane, gdyż Towarzystwo nie może przyjmować odpowiedzialności za całość dzieł takich, dla braku odpowiedniego pomieszczenia.

= **Komitet Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiem** przypomina pp. artystom rzeźbiarzom, iż w styczniu 1890 roku przypada termin wystawy konkursowéj działu rzeźby, na którą przyjmowane będą wszelkiego rodzaju dzieła rzeźby, snycerstwa i medalierstwa, wykonane w ciągu lat trzech ostatnich, i które poprzednio nie znajdowały się czy na wystawie Towarzystwa, czy na innéj wystawie w Warszawie. Nie kwalifikują się wszelkie kopie i dzieła artystów zmarłych na trzy lata przed otwarciem wystawy. Deklaracye komitet przyjmować będzie do dnia 15 grudnia r. b. Dzieła nadesłane być winny do lokalu Towarzystwa najpóźniéj 31 grudnia r. b. do godz. 6-éj wieczorem. Trzy nagrody pieniężne: po rs. 600, 300 i 200, oprócz listów pochwalnych, czyli odznaczeń, za dzieła mające istotną wartość artystyczną. Koszty transportu dzieł przysłanych (*par petite vitesse*) z opłatą cła od przysłanych z zagranicy, o ile dzieła te przyjęte będą przez Towarzystwo i cenzurę rządową, ponosi Towarzystwo. Regulamin szczegółowy wystawy wydaje, na żądanie, kancelarya Towarzystwa.

= **Komitet Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiem** zawiadamia, iż w kancelaryi Towarzystwa nabyć można:

1-o dzieło profesora Jana Rottera z Krakowa „Podręcznik perspektywy malarskiéj“ po rs. 6 za egzemplarz.

2-o dzieło p. Antoniego Narkiewicza-Jodko, z Wolicy: „Zarys dziejów malarstwa“, po rs. 18 za egzemplarz (w trzech tomach) oprawny. Połowę dochodu ze sprzedaży powyższego dzieła, autor przeznaczył na budowę domu dla Towarzystwa.

3-o reprodukcye Towarzystwa z lat dawniejszych po rubli dwa i po rublu za egzemplarz. Szczegółowy wykaz pomienionych reprodukcyj przejrzeć można u kustosza wystawy Towarzystwa.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w Kwartale II-gim 1889 r.

1. **Prawo** z dnia 7 (19) Marca 1888 r. dotyczące szkół przemysłowych. Przekład z tekstu urzędowego. Łódź, 1889, str. 15.
2. *Aleksander D. Dinga.* **Dziedziczność** instynktów, namiętności i uczuć. Odczyt. Z francuzkiego przełożył Dr. med. *Ludwik Wolberg.* Warsz. nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1889, 8-o, str. 36.
3. **Pisownia polska**. 50 praw Grafiki, Ortografji i Gramatyki do użytku piszących po polsku. Warsz. 1889, 8-o, str. 4.
4. Dr. *Witold Załęski.* **Zasady ekonomiki** (nauki gospodarstwa narodowego). Dzieło wydane z zapomogi Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowém imienia D-ra Józefa Mianowskiego. Warsz. 1889, 8-o, str. VII i 394.
5. *Mikołaj Rej z Nagłowic.* **Wizerunk własny żywota** człowieka poczciwego. Według wydania z r. 1560 wydał *Stanisław Ptaszycki.* Warsz. u Gebethnera i Wolffa, 1889, zeszyt 6 i 7, str. 227—286 i XXXV.
6. **Uprawa roślin przemysłowych**. Opisał *Fr. Gawroński.* Z 94 drzeworytami w tekście. (Wydawnictwo Redakcyi „Rolnika i hodowcy“). War. 1889, 8-o, str. III, 304 i IV (cena rs. 1 k. 75, z przesyłką rs. 1 kop. 95).
7. *G. Macztet.* Biełaja panna. Poema w prozie (Izdanie A. A. Karcewa). Moskwa, 1889, 16-o, str. 143.
8. **Marcin Teofil Polak**, malarz polski z pierwszéj połowy XVII stulecia, skreślił *Mathias Bersohn* (4 ryciny). Kraków, 1889, 4-o, str. 15.
9. **Alcybiades**. Fragment dramatyczny w 1-ym akcie, *Michała Wołowskiego.* Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1889, 8-o str. 53.
10. **Przyczynek do historyi** stosunków pomiędzy kościołem a państwem w Polsce w wieku XV (r. 1446, 1447) podał *Bolesław Ulanowski.* Krak. 1889, 8-o str. 32.
11. **Kuba Gąsior**. Opowiadanie prawdziwe przez *Adolfa Dygasińskiego.* Warsz. nakł. Redakcyi „Głosu“, 1889, 8-o str. 94 (cena kop. 15).
12. **Słownik geograficzny** Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, wydany pod redakcyą *Bronisława Chlebowskiego* i *Władysława Walewskiego*, tom. X. Warsz. 1889, zeszyt 114 (str. 401—480) i zeszyt 115 (str. 481—560).
13. **Unser Gymnasial-Unterricht**. Bekentnisse von *Alethagoras* Gymnasiallehrer. Braunschweig, 1889, 8-o, str. 52.
14. **Na Vidov-dan**. 1389—1889. Pieśni serbskie o Kosowskim boju w nowym przekładzie przez *Izydora Kopernickiego* z przedmową *T. T. Jeża.* Kraków, nakł. Gebethnera i Spółki, 1889, 8-o, str. 113.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi w roku 1889, jak dotychczas, na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnem uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Oboźna, 5.

Дозволено Цензурою, Варшава. 20 Іюля 1889. г.